

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/59

1952



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

ANKIETA „KULTURY”:

„NASZE ŻYCIE NA EMIGRACJI”.

J. Mieroszewski – **Kontynent na emeryturze?**

A. Hertz – **Przed amerykańskim listopadem**

SPRAWY I TROSKI ♦ ARCHIWUM POLITYCZNE ♦

SPRAWY KRAJOWE ♦ KRONIKA UKRAIŃSKA ♦

KSIAŻKI ♦ LISTY DO REDAKCJI.

SPIS RZECZY

Ankieta „Kultury”:	«Nasze życie na emigracji»	3
Juliusz Mieroszewski:	Kontynent na emeryturze?	11
Aleksander Hertz:	Przed amerykańskim listopadem.	18
Alexander Koval:	Sondaże (dok.)	29

Stanisław Mackiewicz:	Kamil Arago	37
»	Sizyś	43

Jerzy Pietrkiewicz:	Sielanka stołeczna	57
---------------------	------------------------------	----

SPRAWY I TROSKI

Eugeniusz Romiszewski:	Z dna nocy powszedniej	63
------------------------	----------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Jerzy Prądzyński:	List z Niemiec	78
Berlińczyk:	Kronika niemiecka	82
Londyńczyk:	Kronika angielska	86

SPRAWY KRAJOWE

P. Dunin:	Po VII Plenum Komitetu Centr. PZPR	93
Berlińczyk:	Kronika krajowa	100

KRONIKA UKRAIŃSKA

Beo:	Z historii stosunków polsko-ukra- ińskich	104
------	--	-----

KSIĄŻKI

Michał Sokolnicki:	Archiwum min. Szembeka	111
»	General Catroux	122
Wł. Bączkowski:	Krym	126
P. Dunin:	Trzy etapy niedorozwoju gospo- darczego Europy środkowej.	131
Lon.:	«Oder-Neisse Line»	134
Michał Sambor:	Literatura pod panowaniem «dy- rektorów»	136
J. Cz.:	«Łzy potęgi drugiej»	143
Józef Ursyn:	«Si quelqu'un tue Caïn»	146

J. Jasińczyk, H. Schoen- feld, T. Felsztyn, I. Wie- niewski, K. Hrabek, M. Belina, H. Wittlinowa, Z. Grabowski, A. Wa- sung:	Listy do Redakcji	148
---	-----------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień — Septembre 1952

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Stanisław MACKIEWICZ, ur. w 1896 r.; gimnazjum i uniwersytet ukończony w Wilnie. Za czasów gimnazjalnych starszy grupy "Petu" (tajna org. młodz. nar.), potem na uniwersytecie członek tajnego "Zetu". W 1917 r., w związku ze sprawą P.O.W., osadzony przez Niemców w więzieniu, skąd uciekł. W 1919 r. szeregowiec w oddziale jazdy partyzanckiej mjr. Dąbrowskiego, potem podporucznik 13 pułku ułanów wileńskich. Od 1922 r. redaktor naczelny dziennika "Słowo" w Wilnie. W latach 1928-1935 poseł wileński na Sejm, jako członek B.B.W.R. W 1939 r. osadzony w Berezie Kartuskiej na przeciąg trzech tygodni. Na emigracji wydawał tygodniki "Słowo" w Paryżu, oraz "Lwów i Wilno" w Londynie. Był członkiem I Rady Narodowej oraz wiceprezesem III i IV-ej. Prócz artykułów politycznych, w niektórych okresach życia codziennie pisanych, napisał następujące książki, w kraju: "Kropki nad i", "Dziś i Jutro", "Myśl w obcęgach", "Książka moich rozczarowań"; na emigracji: "Historia Niepodległej Polski", "O jedynastej — powiada aktor — sztuka jest skończona", "Klucz do Piłsudskiego", "Dostojewski", "Lata Nadziei". Specjalista historii literatury rosyjskiej XIX wieku. Obecnie pracuje nad biografią Stanisława Augusta.

Eugeniusz ROMISZEWSKI, urodzony w r. 1910 w Libawie na Łotwie. Dzieciństwo spędza w Rosji: Petrograd, Niżnij Nowgorod, Mariupol, Noworosyjsk, Moskwa. Powrót w 1920 r. W czasie studiów geograficznych na U.J. w Krakowie opisuje swoją podróż po Laponii na łamach "Tęczy", "Auta" i in.

Podczas wojny — w szeregach P.S.Z.: 1 p.s.p. w Polsce, 4 D.P. we Francji, 1 Sam. Bryg. Spadochronowa w W. Brytanii. W tym okresie poezje, reportaże, artykuły w "Polsce Walczącej", "Dzienniku Żołnierza" i in.

W 1944 r. zwolniony z wojska dla podjęcia pracy korespondenta wojennego P.A.T. Skacze na spadochronie z 1. Sam. Bryg. Spad. w Arnhem, następnie przebywa na froncie z 1. Dyw. Panc., wreszcie z wojskami okupacyjnymi w Niemczech.

W latach 1947-49 redaguje czasopisma przy londyńskiej centrali S.P.K. Stały współpracownik "Polski Walczącej". Redaktor ostatniego jej rocznika (1949).

Druk książki o Skandynawii pt. "W pogoni za niezachodzącym słońcem", przerwany przez wybuch wojny. Druk następnej książki, o spadochroniarzach, pt. "Od Małpiego Gaju do Arnhem", zapowiedziany przez londyńskiego wydawcę, nie dochodzi do skutku z powodu emigracyjnych trudności wydawniczych.

Jerzy PIETRKIEWICZ, urodzony 29 września 1916 r. w Fabiankach (Ziemia Dobrzyńska); pochodzi ze wsi. Ukończył wydział humanistyczny uniwersytetu w St. Andrews w 1944 r. (M.A.). Po trzech latach studiów na uniwersytecie londyńskim, w King's College, uzyskał stopień doktorski (Ph.D.) za pracę porównawczą z zakresu liryki angielskiej i polskiej (1947). Od roku 1947 wykłada na uniwersytecie londyńskim (School of Slavonic Studies).

Drukował utwory poetyckie od 1934 r., zaliczany do ruchu Awangardy i "autentystów". Należał do grupy "Prosto z mostu" od założenia tego tygodnika w 1935 r.

Opracował antologię przekładów z liryki angielskiej, od 14-go wieku do drugiej wojny światowej. Polski Teatr Dramatyczny w Londynie wystawił w r. 1949 jego sztukę z życia wsi pt. "Samy swoi".

Od roku 1945 mieszka w Chelsea, w Londynie.

IMPRIME EN FRANCE

Imprimerie S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant, Paris (20^e)

Ankieta «Kultury»

«Nasze życie na emigracji»

Zarówno w sensie historycznym, politycznym, socjologicznym jak i kulturalnym — obecna emigracja jest poważnym wydarzeniem w dziejach naszego narodu. Równocześnie, zjawisko to w dużej mierze jest sumą niewiadomych. W prasie polskiej mówiąc o emigracji operujemy ogólnikami, "sztancami" i jakże często frazesami. W wolnym świecie wybory do parlamentu, do przedstawicielstw samorządowych, organizacji politycznych czy zawodowych, ankiety i studia przeprowadzane przez instytucje naukowe — dostarczają bezcennego materiału, który opracowany socjologicznie pozwala tchnąć treść i sens w takie ogólniki jak np. "angielska klasa robotnicza", "młodzież amerykańska" czy "zawodowa praca kobiet".

Natomiast my żyjemy rozproszeni po wszystkich częściach świata, wśród obcych, i tworzymy odcięte od siebie ugrupowania, które praktycznie biorąc, nic o sobie nawzajem nie wiedzą. Niewątpliwie zupełnie inaczej układa się życie Polaków w Anglii czy we Francji a inaczej w Argentynie czy w Australii.

Ankieta "KULTURY" ma służyć dwojakiemu celowi:

1. Pragniemy lepiej poznać się nawzajem i dowiedzieć się czegoś więcej o nas samych. Musimy informować się o naszym życiu, jeżeli pragniemy w pełni rozumieć jedni drugich i w miarę możliwości nieść sobie pomoc.

2. Przebywamy na emigracji już od 13 lat. W tym okresie zaszły w świecie olbrzymie przemiany. Jest rzeczą kardynalnego znaczenia ustalić, choćby w ogólnych zarysach, po jakiej linii idzie rozwój poglądów emigracji. Czy jesteśmy za reformami i przebudową — czy jesteśmy zwolennikami programu federacyjnego, czy jesteśmy gotowi wziąć udział w odbudowie polskich formacji wojskowych, a jeżeli tak — to na jakich politycznych warunkach? To są sprawy zasadniczego znaczenia i im pełniej poznamy nasze poglądy w tych dziedzinach, tym realniej będziemy mogli planować i tym mniej napotkamy rozczarowań na naszej drodze.

Redakcja "KULTURY" zapewniła sobie fachową współpracę polskich socjologów, którzy przestudiują i opracują materiał ankietowy zarówno pod względem statystycznym jak i socjalno-psychologicznym. Zespół redakcji "KULTURY" opracuje wyniki ankietowe w świetle polskiej problematyki politycznej. Wszystko zależy od tego, ilu Polaków na emigracji weźmie udział w naszej ankiecie. Wnioski i opracowania będą tym prawdziwsze, tym wierniej odzwierciedlać będą rzeczywistość, im więcej Polaków na obczyźnie doceni wagę inicjatywy "KULTURY" i nadeśle w terminie starannie wypełniony kwestionariusz. Jesteśmy polskim pismem finansowo i politycznie całkowicie niezależnym, sądzimy przeto, że zasługujemy na pełne zaufanie.

Układ kwestionariusza jest prosty. Na większość pytań odpowiada się po prostu przez postawienie "X" w odpowiedniej rubryce. Np. Pytanie 19:

Gdzie Pan(i) był podczas wojny?

- a. w Polsce X
- b. w Niemczech X
- c. w Rosji
- d. na emigracji

Jeżeli pan Z. był np. przez 3 lata w Warszawie a następnie wywieziony został do obozu koncentracyjnego w Niemczech — postawi oczywiście "X" w dwóch rubrykach, jak wskazano powyżej. Pytania są z konieczności uproszczone. Dlatego bardzo są pożądane komentarze, które dodadzą ankiecie koloru i głębi. Komentarz należy zaopatrzyć numerem pytania ankietowego.

Regulamin ankiety

1. Tekst kwestionariusza ankietowego wydrukowany jest w niniejszym numerze oraz dołączony w formie broszurowanej do każdego numeru wrześniowego "KULTURY". Kwestionariusze ankietowe kolportowane będą również niezależnie, by umożliwić jak największym rzeszom Polaków na obczyźnie, wzięcie udziału w naszej ankiecie,

2. O wzięcie udziału w ankiecie proszeni są wszyscy Polacy przebywający na emigracji bez różnicy wieku. Ankieta dostępna jest zarówno dla prenumeratorów i czytelników "KULTURY" jak i dla tych, którzy naszego pisma nie czytają i nie kupują.

3. Odpowiedzi ankietowe należy nadsyłać pod adresem: "KULTURA", 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise), France. Termin zamknięcia ankiety: 31 grudzień 1952.

4. Odpowiedzi ankietowe mogą być podpisane imieniem i nazwiskiem lub mogą być anonimowe.

5. Biorący udział w ankiecie proszeni są usilnie o odpowiedzi na wszystkie pytania. Będą jednak przyjmowane kwestionariusze wypełnione tylko częściowo.

6. Opracowania i wyniki ankiety ukażą się w kolejnych numerach "KULTURY" po przestudiowaniu całości nadesłanego materiału.

Liczmy że prenumeratorzy i czytelnicy, doceniając znaczenie ankiety, nie tylko sami wezmą w niej udział, ale zainteresują nią wszystkich swych znajomych.

Kwestionariusz

0. mężczyzna kobieta

1. W jakim kraju Pan(i) mieszka?

2. Jestem tutaj od lat
miesiące

3. Czy w kraju w którym Pan(i) obecnie mieszka ma Pan(i) szanse zrealizowania swoich ambicji życiowych?

- a. tak
- b. nie

4. Czy zdaniem Pana(i) Polacy mogą się nauczyć czegoś cennego od mieszkańców kraju w którym Pan(i) mieszka?

- a. tak
- b. nie

Jeśli Pan(i) odpowie "tak" prosimy o dłuższą odpowiedź na osobnej kartce.

5. Czy zdaniem Pana(i) istnieje coś cennego czego mieszkańcy kraju w którym Pan(i) mieszka mogliby się nauczyć od Polaków?

- a. tak
- b. nie

Jeśli Pan(i) odpowie "tak" prosimy o dłuższą odpowiedź na osobnej kartce.

6. Czy zna Pan(i) jakieś książki napisane w języku kraju w którym Pan(i) mieszka, które zdaniem Pana(i) warto by przetłumaczyć na język polski?

- a. tak
- b. nie

Jeśli Pan(i) odpowie "tak" prosimy o konkretne sugestie na osobnej kartce — będziemy wdzięczni za uwagi dlaczego zdaniem Pana(i) dana książka zasługuje specjalnie na przetłumaczenie.

7. Czy zna Pan(i) jakieś polskie książki (wydane przed wojną lub po wojnie), które zdaniem Pana(i) warto by szczególnie przetłumaczyć na język kraju, w którym Pan(i) mieszka?

- a. tak
b. nie

Jeśli Pan(i) odpowie "tak" prosimy o konkretne sugestie na osobnej kartce. Będziemy wdzięczni za uwagi dlaczego zdaniem Pana(i) dana książka zasługuje specjalnie na przetłumaczenie.

8. W jakim jest Pan(i) wieku

9. Stan cywilny:

- a. żonaty (zameżna)
Z osobą narodowości polskiej
Z osobą narodowości obcej Jakiej?
- b. samotny(a)
c. wdowiec(a)
d. rozwiedziony(a)

10. Czy Pan(i) często czuje się osamotniony(a)?

- a. ciągle
b. często
c. czasem
d. rzadko
e. nigdy

11. Wśród jakiej z niżej podanych narodowościowych grup chciałby Pan(i) spędzić następne dwa lata emigracji?

- a. Polacy
b. mieszkańcy kraju w którym jestem
c. Europejczycy z Zachodniej Europy
d. Europejczycy "spoza żelaznej kurtyny"

Dlaczego? (prosimy o odpowiedź na osobnej kartce).

12. Jaki jest Pana(i) zawód?

13. Jeśli jest Pan(i) studentem co Pan(i) studiuje?

..... w jakiej uczelni

14. Czy Pan(i) pracuje?

- a. stale
b. dorywczo
c. nie pracuje

15. Jeśli Pan(i) odpowiedział(a) (a lub b) — prosimy o podanie gdzie Pan(i) pracuje:

- a. w fabryce
b. w biurze
c. wolny zawód
d. handel
e. inne

16. Czy dochody Pana(i) pozwalają

- a. jedynie na utrzymanie się przy życiu
b. niewystarczające nawet do utrzymania się przy życiu
c. na rozrywki kulturalne (teatr, książki, kino, podróże)
d. na zaoszczędzenie pieniędzy (lub kupno domu, auta, mebli, itd.)
e. na bardzo wygodne życie

17. Jakie jest Pana(i) wykształcenie?

Ukończona

- a. szkoła powszechna w Kraju Zagranicą
b. szkoła zawodowa w Kraju Zagranicą
c. gimnazjum w Kraju Zagranicą
d. uniwersytet w Kraju Zagranicą

18. Jaka jest Pana(i) religia?

- a. Katolicka
b. Protestancka
c. Mojżeszowa
d. Inne
e. Niewierzący

19. Gdzie Pan(i) był(a) podczas wojny?

- a. w Polsce
b. w Rosji
c. w Niemczech
d. na emigracji gdzie?
e. inne możliwości

20. Czy był Pan(i) w:

- a. niemieckim obozie koncentracyjnym jak długo
b. rosyjskim obozie pracy jak długo
c. na przymusowych robotach w Niemczech... jak długo
d. na przymusowych robotach w Rosji jak długo
e. w więzieniu niemieckim jak długo
f. w więzieniu rosyjskim jak długo
g. w innych więzieniach lub obozach jakich
jak długo
h. w obozie jenieckim jak długo

21. Jak Pan(i) ocenia swoje poglądy polityczne?

- a. prawicowo-konserwatywne
b. lewicowe
c. liberalne
d. inne
e. nieskrystalizowane

22. Jaki jest Pana(i) stosunek do: Rządu Polskiego na wygnaniu?

Jaki jest Pana(i) stosunek do: Rady Politycznej?

.....

Jaki jest Pana(i) stosunek do Komitetu Demokratycznego (Mikołajczyk)?

23. Czy należy Pan(i) do jakiejś partii czy ugrupowania politycznego?

24. Jakie Pan(i) czyta/prenumeruje polskie pisma emigracyjne?

25. Czy pragnąłby Pan(i) służyć w Polskich Siłach Zbrojnych gdyby odtworzono je na obczyźnie?

26. Gdyby Pan(i) mógł wyemigrować do jakiegoś innego kraju — czy zdecydowałby się Pan(i) wyemigrować czy raczej zostać w kraju w którym Pan(i) obecnie mieszka?

- a. wyemigrowałbym do
- b. pozostałbym na miejscu

27. A teraz prosimy o krótki statystyczny opis kilku osób, które Pan(i) uważa obecnie za najlepszych przyjaciół (nr "1" oznacza "przyjaciół 1" itd.):

- a. mniej więcej w tym samym wieku
1 2 3 4 5
- b. dużo starszy(a)
1 2 3 4 5
- c. dużo młodszy(a)
1 2 3 4 5
- d. narodowość polska
1 2 3 4 5
- e. narodowość kraju w którym mieszkam
1 2 3 4 5
- f. inna obca narodowość
1 2 3 4 5
- g. mieszkamy w tym samym mieście (wsi)
1 2 3 4 5
- h. studiuje to samo co ja
1 2 3 4 5
- i. pracuje tam gdzie ja
1 2 3 4 5
- j. należy do tego samego klubu, organizacji, towarzystwa, itp.
1 2 3 4 5
- k. ile razy na miesiąc widuje się Pan(i) z nim (nią)
1 2 3 4 5

28. Gdzie chciałby Pan(i) mieszkać w przyszłości (po zmianie obecnego reżimu w Polsce)

- a. w kraju gdzie obecnie mieszkam
- b. W innym kraju zagranicą
- c. W Polsce o ustroju takim jak przed 1939 r.
- d. W Polsce wchodzącej w skład Federacji Europejskiej
- Dlaczego? (odpowiedź na osobnej kartce).

29. Czy Pan(i) uważa, że Polacy raczej powinni czy nie powinni przyjmować obce obywatelstwo?

- a. powinni
- b. nie powinni
- Dlaczego? (odpowiedź na osobnej kartce).

30. Czy Pan(i) kiedykolwiek słyszał(a) o ideach Federacji Europy, o Rządzie Światowym, Międzymorzu itp. koncepcjach?

- a. tak
- b. nie

31. Jeśli Pan(i) odpowiedział(a) "tak", prosimy o odpowiedź: a. kiedy po raz pierwszy dowiedziałem się o tych koncepcjach

- b. z jakich źródeł

32. Czy Pan(i) jest za czy przeciwko stworzeniu Federacji Europejskiej?

- a. za
- b. przeciwko

Dlaczego? (Wszelkie komentarze na ten temat dostarczą bardzo cennego i ciekawego materiału. Prosimy się nie krepować ewentualną długością nadsyłanych komentarzy).

33. Gdy Pan(i) obecnie patrzy wstecz, czy uważa Pan(i) swoje lata spędzone w Polsce za:

- a. szczęśliwe
- b. nieszczęśliwe

Dlaczego? (Odpowiedź na osobnej kartce).

PREUVES

Cahiers Mensuels du Congrès
pour la Liberté de la Culture

*défend l'indépendance spirituelle de l'homme
partout où elle est menacée.*

Le numéro de 64 pages, illustré 70 fr.
Abonnement annuel : France 700 fr.
Etranger 1.000 fr.

PREUVES : 41, avenue Montaigne — PARIS (8^e)

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

NUMÉRO SPÉCIMEN SUR DEMANDE.

Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa
ogłasza

KONKURS LITERACKI

dla wszystkich

TEMATY:

- 1) "Najciekawsze przeżycie z lat 1939-1952". ...
Opowiadanie. Rozmiar nie mniejszy, niż 215 wierszy pisma maszynowego o podwójnym odstępie (15 minut czytania).
- 2) "List do Kraju. Co chciałbym powiedzieć przyjaciółom w Polsce".
Forma dowolna. Rozmiar: 140 do 215 wierszy pisma maszynowego o podwójnym odstępie (10 do 15 minut czytania).
- 3) "Co Zachód może przeciwstawić komunizmowi".
Forma dowolna. Rozmiar: 140 do 215 wierszy pisma maszynowego o podwójnym odstępie (10 do 15 minut czytania).

NAGRODY:

W każdym z wymienionych tematów zostaną przyznane trzy nagrody:

PIERWSZA	300 dolarów
DRUGA	200 dolarów
TRZECIA	100 dolarów

Autorzy prac wyróżnionych lecz nienagrodzonych otrzymają w razie wykorzystania tych prac — **podwójne honorarium**.

Autorzy prac niewyróżnionych i nienagrodzonych, lecz wykorzystanych w programie otrzymają **honorarium normalne**.

WARUNKI:

- 1) Przyjmowane będą tylko prace dotychczas nie ogłoszone w prasie lub w radio.
- 2) Prace nagrodzone oraz wszystkie zakwalifikowane do mikrofonu stanowią własność Rozgłośni Polskiej RWE.
- 3) Rozgłośnia ma prawo wszelkiej adaptacji prac przy wykorzystywaniu ich w programie.
- 4) Prace muszą być oznaczone godłem. Nazwisko i adres autora należy podać w zapieczętowanej kopercie, dołączonej do pracy konkursowej. Godło musi być umieszczone na kopercie.
- 5) Termin nadsyłania prac upływa z dniem 15 listopada br. W wypadku wątpliwości rozstrzygnie data stempla pocztowego.
- 6) Pracownicy Rozgłośni Polskiej RWE nie mogą brać udziału w konkursie.

Prace należy nadsyłać pod adresem: **RADIO FREE EUROPE — POLISH DESK; 1, ENGLISH GARDENS, MUNICH — GERMANY**, oraz opatrzyć uwagę na kopercie: "KONKURS LITERACKI".

Kontynent na emeryturze?

(Od londyńskiego korespondenta "Kultury")

Anglosasi prowadzą politykę empiryczną. Po prostu politykę od wypadku do wypadku. Jest to metoda dająca możliwości licznych kompromisowych rozwiązań. Polityka doktrynalna kompromis niemal wyklucza.

Jakże często czytamy w polskiej prasie, że "Stany Zjednoczone nie mają żadnej polityki zagranicznej" — albo, że "Wielka Brytania nie ma właściwie żadnej ustalonej linii w stosunku do Europy". Co to oznacza? Polski publicysta pragnie przez to powiedzieć, że Ameryka nie ma żadnej doktrynalnie sprecyzowanej hierarchii celów politycznych. W polityce amerykańskiej od czasu do czasu pojawiają się plany i programy, ale nigdy nie mają one charakteru doktrynalnego. To są zawsze plany operacyjne do rozegrania pewnych konkretnych sytuacji.

Nie ma na świecie drugiego narodu tak nie-imperialnego jak Amerykanie. Stany Zjednoczone, w swej krótkiej historii, miały już niejednokrotnie sposobność ufundowania światowego imperium. W r. 1919 Ameryka była największą potęgą świata — a nie jedną z dwóch największych potęg jak w r. 1945. Gdyby w r. 1919 Stany Zjednoczone chciały sięgnąć po rząd nad światem ... któż by wówczas mógł się im oprzeć? Dosłownie ... nikt. Ameryka wolała jednak wycofać się w zacisze własnego kontynentu.

Pod koniec drugiej wojny światowej St. Zjednoczone były wyłącznym dzierżycielem bomby atomowej. W historii brak przykładu by naród, który posiadał wyłączność w stosunku do tak potężnego źródła władzy, gotów był wydać swą tajemnicę i poddać ją międzynarodowej kontroli. Rosjanie, urodzeni imperialiści i doktrynerzy, nie mogli pojąć tego gestu i wietrzyli w całej sprawie podstęp.

Jest niepodobieństwem pogodzić dwóch partnerów, jeżeli jeden kieruje się polityką empiryczną, a drugi polityką doktrynalną. Albowiem to są dwie różne interpretacje rzeczywistości. Rosja nie może porozumieć się z Ameryką, ponieważ takiej Ameryki jaką widzą sowieccy doktrynerzy po prostu nie ma. Zgodnie z doktryną komunistyczną Ameryka jest imperialistyczna, zbroi się w celach zaczepnych, dąży do podboju całego świata i płonie chęcią poddania całej ludzkości wyzyskowi kapitalistycznemu. Dojść do wniosku, że powyższy obraz Ameryki jest fał-

zwywy, byłoby równoznaczne z utratą wiary w słuszność założeń dialektyki marksistowskiej.

Polacy w porównaniu z Sowietami są doktrynerami à rebours. Uważamy za pewnik, że Sowiety dążą do podboju całego świata, że nigdy nie zrezygnują z rewolucji i że trwały pokój ufundowany być może jedynie po obaleniu reżimu sowieckiego. Na poparcie tych tez Polak nie potrzebuje żadnych nowych dowodów. Mało — uważamy za absurd możliwość istnienia argumentów, które by tezy powyższe poddać mogły w wątpliwość. Oczywiście doszliśmy do tych tez na drodze doświadczalnej. Lecz nie to jest istotne. Istotna jest postawa psychiczna. W danym momencie empiryk może być tej samej opinii co i my ale empiryk gotów jest zmienić swój pogląd. Empiryk opiera swą politykę na założeniu, że zawsze istnieje potencjalna możliwość zmiany sytuacji, a więc zmiany w nastawieniu Sowietów w stosunku do reszty świata. My, z góry taką zmianę uważamy za wykluczoną.

Sądzę, że na podstawie dotychczasowych obserwacji można sformułować następujący wniosek: w strategii politycznej przeciw określonej doktrynie, zwolennicy doktryny o znaku przeciwnym mają zdecydowaną wyższość w ocenie i rozpoznaniu nad zwolennikami polityki empirycznej. Tym się tłumaczy, że to co dziś piszą o Sowietach w formie wielkich rewelacji takie gwiazdy jak John Foster Dulles na łamach "Life" — polska prasa emigracyjna powtarza od kilku lat. Ale Amerykanie swój sąd o Sowietach budują empirycznie z dnia na dzień w miarę rozwoju wydarzeń — a my z góry wiemy czego się należy spodziewać i co o danym posunięciu sowieckim sądzić. Opiaramy się bowiem na naszej anty-sowieckiej doktrynie.

Ala każdy medal ma dwie strony. Te same przyczyny, które powodują, że jesteśmy wnikliwymi znawcami polityki Sowietów sprawiają, że z trudnością pojmujemy empiryczną politykę Anglososów. Ten typ polityki działa nam na nerwy brakiem doktrynalizmu.

Jakże charakterystycznym i pełnym wymowy jest fakt, że o idei "przywództwa" amerykańskiego pisze się daleko więcej w Europie niż w Ameryce, a uniwersalistyczny "Pax Americana" jest w znacznie większym stopniu przejawem naszego "wishful-thinking" niż realnym planem Waszyngtonu.

Lecz "wishful-thinking" nie zawsze jest godny potępienia i nie zawsze bywa przejawem braku realizmu politycznego. Tkwi w tym głęboki sens historyczny, że idea zjednoczonego świata pod przywództwem St. Zjednoczonych ... w pewnej mierze jest wytworem europejskim. Po pierwsze, wszystkie wielkie idee polityczne od Rzeczypospolitej Platona po Manifest Komunistyczny Marksa, rodziły się w Europie. Po drugie — współczesny kryzys, choć jest kryzysem światowym — w znacznie większym stopniu jest kryzysem europejskim niż amerykańskim. Jest więc rzeczą całkowicie zgodną z tradycją historyczną, że "ideologię" dla Ameryki wypracowują mózgi europejskie. Europa była stoczną pierwszej rewolucji amerykańskiej — miejmy ambicję, by w

Europie zrodził się zarys i drugiej światowej "rewolucji" amerykańskiej.

Tak było i tak nadal być powinno. Idee, które powodowały przebudowę świata rodziły się w Londynie i w Paryżu. Napisanemu w Londynie "Kapitałowi" Marksa i europejskim pismom Lenina (które były niegdyś również tylko "wishful-thinking") — przeciwstawić należy myśl europejską. Bo w gruncie rzeczy cywilizacja zachodnia i jej kryzys są naszą sprawą i należą do historycznych kompetencji Europy.

Niestety zbyt mało Europejczyków zdaje sobie sprawę z tego zagadnienia. Tylko najbardziej światłe mózgi — jak Toynbee czy B. Russell — i najbardziej postępowe pisma widzą ów problem we właściwej perspektywie.

Równocześnie jesteśmy świadkami nowej "zdrady klerków". Mam na myśli tych intelektualistów i pseudo-intelektualistów, którzy widząc w Ameryce jedynie lodówki, Coca-Colę, samoloty, czołgi i lawinę dolarów — głoszą samobójczy izolacjonizm w celu ratowania niezależnych europejskich suwerenności przed "barbarzyństwem" amerykańskim.

Analizując konwencję republikańską w Chicago, jeden ze znanych polskich publicystów napisał: "można bez przesady powiedzieć, że rozstrzygnięcie walki w Chicago w pewnym stopniu wpłynęło na los każdego z nas, wszędzie na kuli ziemskiej".

Istotnie tak jest. Wybór prezydenta St. Zjednoczonych wpłynęło na losy zarówno tych, którzy pragną ściślejszej organizacyjnej więzi z Ameryką — jak i na losy tych, którzy są izolacjonistami.

Na izolacjonizm jest dziś za późno. Weźmy dla przykładu sprawę bombardowań elektrowni nad rzeką Yalu na Korei. Znaczny procent posłów w parlamencie brytyjskim uważał, że Amerykanie jednostronną decyzją niebezpiecznie zaostrzyli sytuację i przywieźli Zachód (a łącznie z nim Anglię) na skraj przepaści trzeciej wojny światowej. Gdyby istotnie tak się stało, że w odpowiedzi na bombardowanie elektrowni nad rzeką Yalu — Rosjanie i Chińczycy byłiby wybrali drogę otwartego konfliktu, większość polityków angielskich wierzyłaby święcie do końca życia, że Wielka Brytania wciągnięta została do wojny światowej na mocy decyzji w której nie miała żadnego udziału. I politycy ci "de facto" mieliby rację.

Pomijając fakt, że Amerykanie byli w prawie powziąć decyzję w sprawie operacji nad rzeką Yalu, pomijając fakt, że decyzja ta była całkowicie usprawiedliwiona — to niemniej zawiera ona w sobie memento, że w obecnym układzie Waszyngton jest władny każdego dnia powziąć postanowienie, które zaważyć może nie tylko na losie Anglii, ale na losie całego świata. Dopiero na tym tle nabierają właściwej wymowy słowa prof. Toynbeego, że tylko ścisły związek ze St. Zjednoczonymi przywróciłby Anglikom pełnię możliwości decydowania o losach Anglii. Te same słowa z zachowaniem pewnej propozycji każdy z nas może powiedzieć o Europie.

Światowa rewolucja amerykańska jest w toku i dziś tego procesu nie można ani zatrzymać ani odwrócić.

Polityka "powstrzymywania" opiera się jeszcze na przekonaniu, że owe dwie rewolucje światowe — sowiecka i amerykańska — z zachowaniem pewnych środków ostrożności mogą współistnieć obok siebie na jednej planecie. Polityka "powstrzymywania" jest poglądem pomocniczym a nie programem. Stanom Zjednoczonym nie brak materialnej siły koniecznej do budowy światowej koncepcji politycznej. Ale w masach mieszkańców Stanów Zjednoczonych idea światowej rewolucji amerykańskiej dojrzeć wolno i nie harmonizuje z wzrostem przemysłowo-wojennego potencjału.

Potęga sowiecka oparta jest na wręcz odwrotnych założeniach. W Rosji program buduje siłę — w Stanach Zjednoczonych siła rodzi program.

Ow program rośnie wolno ale stale. Deklaracja polityczna republikańców — która wiąże gen. Eisenhowera jeżeli w listopadzie zasiądzie w Białym Domu — przekreśla Jałtę. Od tego jeszcze daleko do polityki wyzwolenia, która musi mieć pełne pokrycie nie tylko w potencjale siły lecz i w woli większości obywateli amerykańskich. Nie ulega jednak wątpliwości, że rozwój wydarzeń idzie w tym kierunku. Najwydatniejszymi budzicielami opinii amerykańskiej są komuniści. Przyjdzie chwila, że polityka sowiecka przekona większość Amerykanów, iż na te dwie rewolucje nie ma miejsca na naszym małym globie.

Jeżeli cywilizacja nasza ma w swej treści pozostać tym czym jest — proces zmierzający do przebudowy świata pod przywództwem Ameryki — nie może się obejść bez twórczego współdziałania Europy. Europejczycy muszą sobie zdać sprawę, że w sensie zasadniczym sformułowanie odpowiedzi komunizmowi jest zadaniem Europy a nie Ameryki.

Gdyby było wiele czasu przed nami, można by ów proces pozostawić jego naturalnemu biegowi. Za 50 lat koncepcja "jednego świata" z wyżyn intelektualnego parnasu zesłaby "pod strzechy" tzw. szarego człowieka. Odległość pomiędzy laboratorium uczonego a kuchnią przeciętnego obywatela wynosi około pół stulecia.

Dramat polega jednak na tym, że nie mamy przed sobą pół stulecia. Wiele, a może wszystko — zależeć będzie od tego, czy tej naturalnej ewolucji zdołamy nadać tempo rewolucyjne.

Z europejskiego punktu widzenia sprawę ująć można w sposób następujący: Jeżeli dziś podsumowalibyśmy wyniki pojedynku amerykańsko-sowieckiego to analizując obiektywnie potencjały wojenne tak jednej jak i drugiej strony — musielibyśmy dojść do wniosku, że idea uniwersalna, którą dysponuje Rosja stanowi najpotężniejszy czynnik w jej potencjale wojennym. Nie waham się twierdzić, że ten czynnik w większym stopniu niż wszystkie inne elementy siły — decyduje o potędze Związku Sowieckiego.

I odwrotnie, najsiabszym punktem potencjału amerykańskiego jest brak politycznej koncepcji, która byłaby odpowiedzią na komunizm.

Bezmyślnie powtarzamy w kółko, że najlepszą odpowiedzią na materialistyczny komunizm jest zachodnio-chrześcijańska cywilizacja, a więc wolność, demokracja, poszanowanie praw jednostki itd. To wszystko jest prawdą ale zapomina się o tym, że ten system wartości nie postuluje żadnej koncepcji politycznej. Być komunistą to znaczy posiadać i wyznawać określoną, światową koncepcję polityczną. Można natomiast być wzorowym zachodnio-europejskim chrześcijaninem i nie mieć absolutnie żadnej koncepcji politycznej. I w tym sensie system wartości, który określamy mianem chrześcijańskiej cywilizacji zachodniej — nie jest odpowiedzią na komunizm.

Nasza cywilizacja i jej system wartości jest odpowiedzią na komunizm w jego aspekcie filozoficznym i częściowo socjalnym — nie jest natomiast odpowiedzią na komunizm w jego aspekcie politycznym.

Z punktu widzenia historycznego wydaje się rzeczą logiczną, że stworzenie koncepcji politycznej o skali światowej, która byłaby odpowiedzią na uniwersalizm komunizmu — jest odpowiedzialnością Europy a nie Ameryki. Wszystkie wielkie i rewolucyjne koncepcje naszej cywilizacji rodziły się w Europie a nie poza nią. W znacznie większym stopniu stworzenie ram organizacyjnych "jednego świata" leży w interesie Europy niż Ameryki.

Europejczycy nie dostrzegają podwójnego charakteru współczesnego kryzysu. W rzeczywistości mamy bowiem do rozwiązania dwa problemy — rosyjski i amerykański. Upadek reżimu sowieckiego problem amerykański doprowadzi do zenitu. Z tych dwóch zagadnień — zagadnienie amerykańskie jest niepomierne trudniejsze. Problem sowiecki pomogą nam rozwiązać Stany Zjednoczone — problem amerykański rozwiązać musimy sami.

35 lat temu świat składał się z ośmiu wielkich potęg, z czego pięć było państwami europejskimi. Z trzech poza europejskich potęg — Rosja była krajem zacofanym i bez przemysłu — Ameryka była notorycznym dłużnikiem Europy a Japonia na cywilizacyjnym dorobku. W przeciągu zaledwie trzech dziesiątków lat zapadliśmy się w głąb sceny. Skarleliśmy w cieniu Ameryki a nie Rosji i Ameryka a nie Rosja przemieniła w anachronizm nasze europejskie pojęcia o równowadze sił, suwerenności, potędze i bogactwie. Budżet zbrojeniowy dzisiejszej Anglii w porównaniu z analogicznymi cyframi amerykańskimi wyraża się proporcją 1:17. Jak w cieniu takich proporcji można marzyć o restauracji świata opartego o "balance of power", o koncercie europejskim suwerennych państw, o nowym, poprawionym nieco 19-tym stuleciu. A w rzeczywistości olbrzymi procent europejczyków o tym właśnie marzy.

Wydaje mi się, że problem amerykański może być rozwiązany przez Europę tylko w skali światowej. Jedyne poprzez udział w

federalnym czy międzynarodowym rządzie światowym Europa miałaby możliwość utrzymać swój wpływ i to nie tylko w sensie politycznym ale cywilizacyjno-kulturalnym.

W przeciwnym wypadku, nawet sfederalizowana Europa w stosunku do Stanów Zjednoczonych będzie prowincją z której rok rocznie emigrować będą za ocean najzdolniejsi i najbardziej ambitni by organizować życie w najpotężniejszym państwie świata o olbrzymich możliwościach. Najpierw eksportowaliśmy za ocean robotników — dziś eksportujemy elitę, mózgi.

Być może — życie w takiej "sprowincjonalniejszej", spacyfikowanej Europie byłoby miłe i pełne staroświeckiego wdzięku. Ale niech nikt się nie łudzi, że w takiej parafialnej Europie kwitła-by literatura, filozofia, malarstwo, muzyka. Byłoby to niewątpliwie koniec rozdziału naszej cywilizacji, która wyrosła z Grecji, Rzymu i Chrześcijaństwa. Taka Europa byłaby kontynentem na emeryturze, który zrzekł się swej misji dla wspomnień.

Utworzenie jednego federalnego czy międzynarodowego rządu pozwoliłoby Europie nie tylko wywierać wpływ na losy globu lecz współtworzyć politykę światową. Mimo, że geopolitycznie utraciliśmy swe stanowisko — byłibyśmy nadal w samym centrum spraw światowych. Cywilizacja i kultura europejska były by sprężnięte z głównym torem działalności ludzkiej i co najważniejsze — czynny wpływ kultury europejskiej na Amerykę byłby kontynuowany.

Nie wątpię, że bez współdziałania Europy świat zostanie również zjednoczony. Powracającego z Londynu sekretarza stanu Achesona prezydent Truman powitał na lotnisku w Waszyngtonie słowami: "witam pana w stolicy świata". Amerykanie robią postępy. Przewidywać jednak należy, że jeżeli zjednoczenie świata dokonane zostanie bez europejskiej współinicjatywy, jeżeli nie będzie nosiło znamion europejskiego twórczego rozwiązania — ów przyszły "zjednoczony świat" nie będzie naturalnym dziedzicem i kontynuatorem zachodniej europejskiej cywilizacji. Ów nowy "zjednoczony świat" powstanie wówczas nie z nas ale... po nas.

Demokracji nie może zbawić żaden prorok. Zagadnienie czy dana koncepcja jest realna, czy też nie — sprowadza się do pytania czy dany program liczyć może na poparcie większości. Mechanika postępu w świecie demokratycznym polega na tym, że oświecona mniejszość usiłuje przekonać większość. To jest zasadnicze prawo rozwoju — od elity ku masom.

Mój ojciec, który był lekarzem, spędził długi okres swego pracowitego życia na przekonywaniu górali, że tyfus plamisty przenoszą wszy. Wiele lat na Podhalu mój ojciec był w swych przekonaniach całkowicie odosobniony. A jednak przyszedł czas, że większość górali przyjęła jego pogląd.

Bertrand Russell, który w swych świetnych esseyach propaguje idee rządu światowego — skończył niedawno 80 lat i jest

wysoce wątpliwe czy dane mu będzie stwierdzić "realizm" jego wysiłku.

Obrońcy "status quo", izolacjoniści i reakcjoniści wszelkiego typu i kalibru zarzucają nieodmiennie brak realizmu tym, którzy propagują nowe idee.

Niedawno, na łamach londyńskich "Wiadomości" pewien profesor "realista" zarzucił federacyjnemu programowi "Kultury" ...eskapizm.

Jako regułę można przyjąć, że tzw. realisci uważają za nie-realne wszystko to, co nie mieści się w ich głowach. Panowie ci, którzy lubią powoływać się na "chłopski rozum", "common sense" itp. — skłonni są mniemać, że jedyną obowiązującą miarą realizmu jest ich własny brak wyobraźni.

Jest oczywistym głupstwem mówić o realizmie nie urzeczywistnionego programu. Można mówić tylko o stopniu prawdopodobieństwa danej koncepcji — przy czym ów stopień nie jest wartością stałą, lecz zmienną, zależną od rozwoju sytuacji światowej. To co dziś wydaje się mało prawdopodobne za dwa lata może być oczywiste. Przykładów chyba obecnie nie brak na potwierdzenie tej tezy.

Tylko ludzie tchórzliwi i bez przekonań oceniają wartość nowej idei pod kątem widzenia prawdopodobieństwa. Ogarnia ich bowiem panika na myśl, że mogliby się znaleźć w mniejszości.

W tych sprawach istnieje tylko jedno uczciwe kryterium oceny, a mianowicie odpowiedź na pytanie czy dana idea jest słuszna — czy nie? Jeżeli jest słuszna należy odważnie ją poprzeć, nawet, jeżeli stopień jej prawdopodobieństwa i "realizmu" — w danym momencie — byłby znikomym. I dlatego dziś nie ma innej realnej drogi dla tych co popierają idee federacji i "rządu światowego" poza akcją, której służy zespół "Kultury". Albowiem idea staje się tym bardziej realna im więcej ludzi ją popiera. Trzeba przekonywać ludzi. Rolę pisma i publicysty porównać można w tym wypadku do roli obrońcy — gdyż każda wielka idea rozpoczyna swą publiczną karierę na ławie oskarżonych. Oskarżycielem jest z zasady rzecznik wielkiej potęgi, której na imię "status quo". Polityczne "credo" tej potęgi najlepiej ilustruje powiedzenie Lorda Balfoura: "lepiej zrobić rzecz niedorzeczną, którą robiło się zawsze — niż rzecz mądrą, której nie robiło się nigdy". Profesor z łamów "Wiadomości" jest w swych wywodach wruszając wierny powyższej dewizie.

Walka o realizację słusznej idei, o nowy sprawiedliwy ład i program nigdy nie jest eskapizmem. Jeżeli jakakolwiek polityka jest realna to tylko ta właśnie, a nie żadna inna.

Jedno jest całkowicie pewne. Jeżeli w ogóle można mówić o postępie — to wszelka nadzieja poprawy związana jest z takimi ludźmi jak B. Russell, którzy głosząc śmiało i słuszne idee mają odwagę być dziś w mniejszości dla dobra przyszłej większości.

Przed amerykańskim listopadem

I

W chwili, gdy słowa te są pisane, w Chicago zakończyła się konwencja Partii Republikańskiej. Następnie, w tym samym mieście zebrali się delegaci demokratyczni.

Każda konwencja ma cel podwójny: ma wysunąć kandydatury członków swej partii na stanowiska Prezydenta i Wiceprezydenta Unii i ma opracować program polityczny (platformę) dla nadchodzącej kampanii wyborczej. Program ów będzie tym znakiem, pod którym kandydaci staną w szranki wyborcze, by w nich zatriumfować lub ponieść klęskę. Zarazem program ten, w razie zwycięstwa, wyznaczy te cele i zadania, którym nowa administracja zobowiąże się służyć.

Konwencje są to więc zgromadzenia o ogromnym znaczeniu dla narodu amerykańskiego. Odbywają się tylko co cztery lata, w roku wyborów prezydenckich, i decydują o polityce amerykańskiej na nadchodzące czterolecie.

O konwencjach pisano bardzo dużo. Wielu obserwatorów i podróżników europejskich podało żywe i wszechstronne opisy tych zgromadzeń. W opisach tych dominowało jedno uczucie: zdumienie, że zgromadzenia, odbywające się w taki sposób, mogą podejmować decyzje o takiej doniosłości. Dziwił się temu już Bryce, przyzwyczajony do powagi angielskich zgromadzeń parlamentarnych. Nic z tej powagi nie mógł znaleźć na amerykańskich konwencjach, których był widzem. Doskonały obserwator, umiał on jednak zauważyć w konwencjach coś, czego inni obserwatorzy europejscy na ogół dostrzec nie potrafili: ład tego kolosalnego widowiska, jego zwartość, precyzyjność wszystkich jego szczegółów. Nic tu nie było zdane na przypadek — nawet w momentach największego szaleństwa. W obrębie ściśle przestrzeganych reguł zabawowych konwencja była nie mniej jakąś karnawałową dziecinnadą, jakimś kolosalnym widowiskiem o atmosferze bardziej przypominającej cyrk, niż powagę europejskich zebrań politycznych.

Od czasów Bryce'a minęło już blisko lat siedemdziesiąt. Dużo zmieniło się w życiu amerykańskim i dużo zmieniło się w życiu amerykańskich stronnictw politycznych. Ale zabawowo-widowiskowy charakter konwencji pozostał bez zmiany. Naturalnie i

tu wtargnęła nowa technologia naszych czasów. Mikrofony i telewizja, efekty świetlne i zmodernizowana technika reżyserowania barwnych korowodów — to są rzeczy nowe. Narzędzia wytwarzania hałasu (noisemakers) też są dziś bardziej doskonałe, niż były ze czasów Bryce'a. Tworzą one harmider, o jakim dawne niewinne gwizdawki i trąbki marzyć nie mogły. Widowisko jest bardziej głośnie, bardziej kolorowe, bardziej utęchnione — ale jest wciąż wielką zabawą karnawałową. Prawda — zastosowanie radia skróciło czas owacji — owacja taka byłaby zbyt kosztowna, ale tańce delegatów, ale szaleństwo wielotyśięcznego tłumu po nominowaniu kandydata jest wciąż czymś jedynym w swoim rodzaju. Choć możliwe, że telewizja i tu wprowadzi ogromne zmiany; może ona ostudzić zapał uczestników konwencyjnej zabawy. Przy telewizji trzeba się mieć na baczności: zbyt wielu jest tu postronnych obserwatorów!

Jak sobie wytłumaczyć te dziwne z europejskiego punktu widzenia zwyczaje konwencji amerykańskich? Czy tym, że Amerykanie są głuptasami, dużymi dziećmi, które robią sobie zabawę z rzeczy najpoważniejszych? — Byłoby to jednak wyjaśnieniem zbyt uproszczonym. Amerykanie lubią się bawić, jak mało który naród na świecie, w zabawie zachowują się jak dzieci. To wszystko jest prawda. Ale zabawowy charakter konwencji musi jednak wypływać z jakichś innych źródeł, musi mieć jakieś głębsze podłoże.

Bryce miał zupełną słuszność, gdy pisał, że w tej zabawie nie ma nic przypadkowego, że trzyma się ona ściśle określonego porządku, że jest w niej coś z rytuału. Z gruba rzecz biorąc, widowisko to ma trzy zasadnicze momenty. Jest to przede wszystkim cały szereg obrzędów, bardzo barwnych i wymagających udziału całego zgromadzenia, które zmierzają do tego, by zespolić zgromadzenie, stworzyć w nim entuzjazm jedności i solidarności. Są — dalej — zgiełkliwe manifestacje, towarzyszące stawianiu kandydatur I — wreszcie — jest punkt kulminacyjny: szaleństwo sali, gdy jeden z aspirantów zwycięża i staje się przyszłym nosicielem sztandaru partii w wyborach.

Te trzy momenty mają swój sens dramatyczny. Pierwszy to wywołanie czy zaklęcie ducha jedności przed obradami. Jest to jakiś kolosalny obrzęd magiczny, nie pozbawiony zresztą elementów religijnych, który ma związać zgromadzonych w jednolite ciało partyjnej konwencji. Ale ta jedność jest osiągnięta tylko na czas pewien. Wysuwani są różni aspiranci do godności kandydata na prezydenta, dochodzi do zaciętych walk frakcyjnych, takich jak te, które miały miejsce niedawno na konwencji republikańskiej. Prawdziwa walka toczy się za kulisami; sala jednak ma w niej udział bardzo poważny. W zgiełku, w krzyku, wśród korowodów i zabaw, przy użyciu najbardziej dziecinnych środków inscenizacyjnych, każda grupa próbuje skoncentrować uwagę reszty delegatów dokoła swego kandydata.

I wreszcie przychodzi moment ostatni, moment najwyższego napięcia. Jeden z aspirantów zwyciężył. Partia ma się teraz przy

nim skupić. Przez jego zwycięstwo jej jedność ma być teraz osiągnięta. I konwencja szaleje z radości: "habemus papam!" Partia jest znów jedna i pójdzie do walki wyborczej jako jedna i jednolita.

Tak w najprostszej formie da się wyrazić sens wielkiej zabawy konwencyjnej. Sens ten jest łatwo uchwytany dla Amerykanina. Nie jest taki jednak dla Europejczyka. Ostatecznie, podobne problemy są rozważane na zjazdach stronnictw starego świata. I tam są walki frakcyjne, i tam jest dążenie do jedności. Wszystko to przecież wygląda jakże inaczej. Zapomina jednak Europejczyk, że funkcje obu partii w amerykańskim życiu narodowym są bardzo specyficzne i zupełnie różne od funkcji partii europejskich. Konwencje amerykańskie mogą być zrozumiane tylko na tle tej roli, jaką w demokracji amerykańskiej odgrywa Prezydent i partie polityczne.

II

Przeciętny i inteligentny Europejczyk ma pojęcie o tych funkcjach, jakie Konstytucja Stanów Zjednoczonych powierza Prezydentowi. Wie, że w osobie Prezydenta koncentruje się cała władza wykonawcza Unii, że dzięki prawu weta ma on wpływ na władzę ustawodawczą, że przez mianowanie (co prawda za zgodą Senatu) sędziów Sądu Najwyższego i innych dygnitarzy sądownictwa federalnego ma pewien wpływ na władzę sądową. O tych rzeczach wyraźnie mówi Konstytucja i mówi o nich każdy szkolny podręcznik historii nowożytnej. Ale ani Konstytucja ani podręczniki nie mówią o innych funkcjach Prezydenta Unii — o funkcjach co najmniej równie ważnych, jeżeli nie ważniejszych, niż te, które są mu konstytucyjnie zastrzeżone.

Aby zrozumieć sens konwencji amerykańskich, wypadnie nam zatrzymać się na pozakonstytucyjnych funkcjach Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Na pierwszym miejscu trzeba tu wymienić wielką i ważną funkcję natury **moralnej**: w osobie Prezydenta uosabia się jedność narodu Unii. Stale i na każdym kroku trzeba powtarzać, że Stany Zjednoczone są unią, że są federacją, związkiem 48 oddzielnych państw. W języku polskim dziwaczna nazwa "stan" walenie się przyczynia do zaciemnienia obrazu struktury państwowej narodu amerykańskiego. Stan jest państwem, o ograniczonej co prawda suwerenności, ale niemniej państwem. Inna rzecz, że w tych 48 państwach żyje jeden naród, jako jednolita wspólnota kulturowa, polityczna, związana wspólnymi tradycjami, wspólnymi dążeniami, wspólną cywilizacją. I wspólnymi urządzeniami. Z tych urządzeń żadne nie uosabia w większym stopniu moralnej jedności narodu, niż urząd i osoba Prezydenta.

Stanowisko to jest obsadzone przez głosowanie ogólnonarodowe. Takich stanowisk w Stanach Zjednoczonych jest więcej — że wymienimy na pierwszym miejscu skład Kongresu. Ale

Senat jest bądź co bądź reprezentacją Stanów. U podstaw istnienia i działania tego ciała spoczywa zasada reprezentacji federalnej. Każdy stan jest reprezentowany w Senacie przez taką samą liczbę senatorów. Izba Reprezentantów jest w wyższym stopniu, niż Senat, organem przedstawicielstwa ogólnonarodowego. Ale rola tego ciała jest stosunkowo ograniczona, a w praktyce najczęściej dominuje w nim zainteresowanie dla spraw lokalnych. Ani Senat ani Izba Reprezentantów nie wyrażają w takim stopniu idei jedności narodowej i przywództwa narodowego, jak czyni to Prezydent.

Oczywiście w praktyce nie zawsze Prezydent staje się wyrazicielem jedności narodowej. Jest przede wszystkim człowiekiem swej partii, dochodzi do władzy przez walkę i zwycięstwo wyborcze. Dzięki specyficznym właściwościom amerykańskiego systemu wyborczego może się zdarzyć — a i zdarzało się — że Prezydentem zostaje kandydat, na którego padła mniejszość głosów w całym kraju. Niemniej jednak moralne znaczenie Prezydenta jako symbolu jedności całego narodu jest ogromne. Z tej jego jednoczącej funkcji dobrze sobie zdają sprawę nawet jego najbardziej fanatyczni przeciwnicy, którzy często mu zarzucają, że przez swą partyjnicką politykę nie umie zjednoczyć narodu. I nie było ani jednego Prezydenta amerykańskiego, który by zdołał uniknąć takich zarzutów.

Kiedy konwencja wybiera kandydata na Prezydenta, wybiera tym samym kandydata na stanowisko tego, który ma stać się gwarantem jedności narodu i moralnym jego przywódcą. Ten nosiciel partyjnego sztandaru ma stać się nosicielem sztandaru narodowego. Jest to więc wielki moment każdej konwencji. Moment wielkiego wyładowania uczuć, moment kolosalnej ulgi, odczuwanej przez delegatów i widzów: oto jest ten, który będzie — jeżeli zwycięży — kierownikiem narodu jednego i niepodzielnego w 48 samodzielnych jednostkach państwowych.

Nie jest to jednak wszystko. Albowiem Prezydent spełnia jeszcze drugą niezmiernie ważną funkcję pozakonstytucyjną. Jest on przywódcą swej partii. Jest to funkcja o kolosalnym znaczeniu. W kraju demokracji dwupartyjnej, w ustroju, w którym wielkie stronnictwo polityczne jest głównym motorem działania, sprawność aparatu demokratycznego zależy w ogromnym stopniu od sprawności aparatu partyjnego. Tu znów kierownictwo zajmuje miejsce centralne. Jest to tym ważniejsze, że — jak o tym przekonamy się dalej — amerykańskie stronnictwo polityczne jest ciałem bardzo luźnym, o bardzo słabej więzi organizacyjnej.

Wybierając kandydata na Prezydenta Unii, konwencja tym samym wybiera swego przywódcę partyjnego. W zasadzie będzie on tym przywódcą na najbliższe czterolecie, bez względu na to, jaki los szykuje mu miesiąc listopad. Aż do wyboru przez konwencję chicagorską Eisenhowera jako republikańskiego kandydata na Prezydenta, Dewey był wciąż przywódcą Partii Republikańskiej. Bardziej zresztą nominalnym, niż rzeczywistym.

Przywódca, który poniósł klęskę w wyborach narodowych, szybko traci swój autorytet. Amerykanin nie ma zaufania do ludzi, którym towarzyszy sukces. W praktyce też przywództwo w partii opozycyjnej jest bardzo słabe i często wypada z rąk tego, któremu konwencja powierzyła zadania przywódcze. Inaczej jest w partii zwycięskiej. Tu Prezydent — triumfator listopadowy — jest uznanym wodzem swej partii i nieraz rzeczywiście trzyma w swym ręku cały aparat partyjny.

Zauważmy, że w Ameryce — inaczej niż w większości demokracji europejskich — partyjny charakter Prezydenta nie jest ukrywany, lecz przeciwnie — mocno i stanowczo podkreślany. Co więcej — partyjno-przywódcze zadania Prezydenta są uważane za co najmniej równie ważne, jak jego funkcje konstytucyjne. Jest to zrozumiałe. System partyjny stał się integralną częścią demokracji amerykańskiej i demokracja ta w podwójnej roli Prezydenta znalazła środek związania ze sobą systemu i państwa.

Entuzjazm, jaki na konwencji towarzyszy ogłoszeniu wyniku końcowego głosowania, ma więc swe pełne uzasadnienie. Partia zjednoczyła się przy swym wodzu. Partia wierzy, że on ją poprowadzi do zwycięstwa, że da jej jedność, zwartość, sukces. "Habemus papam" — mogliby wołać delegaci. Partia jest znów jednolita, może — choćby tylko do listopada — spokojnie patrzeć w przyszłość.

III

Wszystko to, cośmy dotąd mówili o konwencjach, wciąż nie daje nad pełnego obrazu rzeczywistości. Konwencje są zjazdami partyjnymi. Chcąc mówić o konwencjach, musimy mówić o partiach.

Wśród różnych składników amerykańskiego życia zbiorowego, trudnych do wyjaśnienia Europejczykowi, charakter, funkcje i rola obu wielkich stronnictw politycznych są czymś specjalnie trudnym. Europejczyk z natury rzeczy szuka analogii spośród doświadczeń własnych krajów. I im bardziej takich analogii szuka, tym bardziej oddala się od rzeczywistości amerykańskiej.

Amerykańskie stronnictwo polityczne jest czymś zupełnie specyficznym, nie dającym się przyrównać do stronnictw innych krajów. Nie możemy tu wchodzić w dokładne przeanalizowanie tych odrębności, ani w wyjaśnienie ich przyczyn. Aby to zrobić, trzeba by rozpatrzeć całą historię narodu amerykańskiego, całe dzieje jego instytucji politycznych. Musimy przeto zadowolili się bardziej ogólnymi uwagami.

Ojcowie-Założyciele Republiki nie odnosili się życzliwie do partii politycznych. Posługując się terminologią, popularną w Polsce lat przedwojennych. — byli wrogami partyjnictwa. Pod tym, co o partiach mówił Washington, podpisałby się niewątpliwie niejeden z naszych domorosłych filozofów antypartyjnictwa. Nie lubił partii Alexander Hamilton, ostrzegał przed nimi Madison. "Partia" w ówczesnej Ameryce była synonimem tych sił spo-

lecznych, które, skupione przy Tomaszu Jeffersonie, walczyły z konserwatyzmem Ojców Konstytucji. Jednakże ci ostatni mieli przewagę i ich niechęć do partii znalazła dla siebie wyraz w nowej Konstytucji.

Konstytucja starała się wyeliminować udział czynnika partyjnego z życia młodej Republiki. Ale, jak zawsze bywa w takich wypadkach, były to wysiłki bezowocne. Partyjnictwo, wyrzucone drzwiami, wróciło oknem, bardziej agresywne i potężne, niż gdyby było znalazło dla siebie bardziej życzliwe ramy prawne.

Albowiem, dążąc do ograniczenia partyjnictwa, Konstytucja bardzo ogólnikowo i niejasno potraktowała to, w czym rola elementu partyjnego z reguły jest największa. Mianowicie: wybory i ich organizację. Tu Konstytucja ograniczyła się do bardzo ogólnikowego sformułowania pewnych zasad, stronę techniczną bądź pozostawiając stanom, bądź w ogóle pomijając milczeniem. Nie opracowano też oddzielnej ustawy o ordynacji wyborczej, ustawy, która by sprecyzowała technikę i organizację wyborów.

Słowem — wytworzyła się luka. Ażeby jednak przedstawicielska republika mogła działać, luka ta niezwłocznie musiała być jakoś zapełniona. I została zapełniona. Technikę i organizację wyborów wzięły na siebie ciała, nieprzewidziane przez Konstytucję — partie polityczne.

To od razu określa nam pierwszą zasadniczą cechę amerykańskiego systemu partyjnego i amerykańskiego stronnictwa politycznego. Partia amerykańska jest organem technicznym, narzędziem, służącym dziełu organizowania wyborów. W Stanach Zjednoczonych terminy takie, jak "partia", "polityk", "politykowanie", nie kojarzą się z ideologiami i programami. Kojarzą się one z wyborami, z ich techniką, z ich organizacją, z ich następstwami. W kraju tym partia polityczna ma ściśle instrumentalny i techniczny charakter.

Nie znaczy to, by była ona zupełnie wyprana z treści ideowych. Tak nie jest, jak o tym jeszcze wypadnie nam mówić. Ale w swej istotnej treści, w swych zasadniczych celach i funkcjach — amerykańskie stronnictwo polityczne jest instrumentem wyborczym, jest zespołem technicznym, nie zaś ideologicznym.

W tym miejscu przypomnijmy sobie, że w żadnym kraju na świecie wybory nie odbywają się tak często i nie odnoszą się do tylu stanowisk, jak to się dzieje w Stanach Zjednoczonych. Co dwa lata wybierana jest Izba Reprezentantów i trzecia część Senatu, co cztery lata wybierani są Prezydent i Wiceprezydent. W różnych — z reguły krótkich — odstępach czasu wybierani są gubernatorzy, legislatury stanowe, władze samorządowe, sędziowie, niezliczone ilości różnych urzędników lokalnych. W praktyce nie ma roku, by na terytorium Unii nie odbywały się jakieś wybory.

Ludzie, których w partii skupiły zadania i cele o charakterze technicznym, z natury rzeczy nie mogą przedstawiać zespołu jednolitego pod żadnym innym względem. Zwłaszcza w kraju

tak wielkim i tak różnorodnym jak Stany Zjednoczone. Stąd amerykańskie stronnictwo polityczne jest zespołem bardzo luźnym, który tylko dla akcji wyborczej zwiera swe szeregi i w tym wykazuje swą jednolitość.

O amerykańskim stronnictwie politycznym można powiedzieć (jest to definicja powszechnie przyjęta przez badaczy zagadnienia), że stanowi ono luźną koalicję albo kombinację, stworzoną dla celów wyborczych, składającą się z organizacji stanowych, grup interesów gospodarczych, społecznych, kulturalnych, oraz z zespołów ideowych.

Poza wyborami jest to organizacja bardzo luźna, szczególnie na szczeblu ogólnonarodowym. Zjazdy jej odbywają się raz na cztery lata i mają na celu ustalenie kandydatury na Prezydenta. Zjazdy te uchwalają co prawda i programy, ale są to programy na wybory. Programy te nie są traktowane zbyt poważnie i nie są czymś wiążącym dla grup partyjnych w praktycznej działalności tych ostatnich.

Uderza słabość i przypadkowość centralnych organów partyjnych. Partia rządząca ma w osobie Prezydenta uznanego przywódcę, który często jest rzeczywistym i sprężystym kierownikiem partii. Ale w partii opozycyjnej autorytet nominalnego przywódcy jest słaby i szybko ulega zanikowi. Każda partia ma swój Komitet Narodowy, złożony z przedstawicieli organizacji stanowych. Ale Komitety zbierają się rzadko i faktycznie zaczynają działać dopiero w okresie przedkonwencyjnym. Dyscyplina partyjna nieznana jest w amerykańskich stronnictwach politycznych. Przeważnie nieznany jest też system płacenia składek. A i samo wstąpienie do partii jest czystą formalnością. Każdy wyborca może się "zarejestrować" w danej partii przy ogólnej rejestracji przedwyborczej. W większości stanów daje mu to prawo udziału w tzw. primaries czyli w prawyborach, ustalających kandydatury wyborcze. Taka jednak "rejestracja" w praktyce do niczego nie obowiązuje i jej konsekwencje polityczne są minimalne.

Na szczeblach stanowych i lokalnych partia amerykańska jest ciałem stosunkowo bardziej zwartym. Ale i tu jest to zwartość natury głównie instrumentalnej, nie zaś ideologicznej. Najbardziej zwarte są lokalne "maszyny", które są grupami czysto instrumentalnymi i które z reguły są jak najdalsze od wszelkiej ideologiczności, nie mówiąc już o ideowości.

Jakie są elementy owych luźnych koalicji czy kombinacji partyjnych? Z gruba rzecz biorąc, w każdą z nich wchodzi wszystkie te grupy, które uznają, że dana koalicja daje każdemu z uczestników największą szansę osiągnięcia najlepszych wyników wyborczych. Decydują tu więc względy czysto praktyczne, oportunistyczne, względy sukcesu wyborczego.

Oczywiście tym względem praktycznym towarzyszą jeszcze inne, wynikające ze swobodnych warunków życia narodu amerykańskiego i z jego historii. Względy historyczne sprawiły, że Południe jest domeną Demokratów, i że np. w obu Dakotach czy w

Vermoncie bezapelacyjnie panują Republikanie. Dużą rolę odgrywają tradycje rodzinne: są rodziny tradycyjnie republikańskie i rodziny tradycyjnie demokratyczne. Działają względy prestiżu towarzyskiego: w wielu okolicach jest eleganciej być Republikaninem niż Demokratą. Wszystkie jednak te względy — historyczne, emocjonalne, towarzyskie itp. — nie zmieniają zasadniczego charakteru amerykańskiej partii politycznej jako szerokiej koalicji technicznej.

I dlatego to podział na Demokratów i Republikanów sam przez się tak mało mówi o ideologicznym zróżnicowaniu narodu amerykańskiego. Dla zróżnicowania tego istotny jest podział na liberałów i konserwatystów, podział, który — choć w niejednakowym stopniu — przebiega przez obie partie, i którego centra filozoficzne leżą w zespołach pozapartyjnych.

William Allen White, wielki dziennikarz i jeden z najszlachetniejszych ludzi Ameryki, opowiada w swej wspaniałej "Autobiografii", jak rozpoczął swą karierę polityczną. Był młody i światoburczy, żadna z partii mu nie odpowiadała. Zwrócił się przeto po radę do jednego ze swych profesorów. I taką oto radę otrzymał: jesteś wrogiem ceł ochronnych, powinieneś więc zostać Demokratą. Ale w Kansas (gdzie White mieszkał) Demokraci nie mają najmniejszych szansy. Wobec tego wstąp do Republikanów i zwalczaj ich program od wewnątrz.

White'owi rada ta bardzo się spodobała. Został Republikaninem.

Zapytacie się: — Wallenrodizm? — Nic podobnego. — Oportunizm? — White był człowiekiem absolutnej uczciwości, człowiekiem, który całe życie swe poświęcił walce o swe ideały. — Więc jak to zrozumieć?

White był Amerykaninem. Dla niego partia polityczna była tym, czym jest dla każdego Amerykanina: narzędziem. Wstąpienie do Demokratów nie miało sensu dla żywego i ambitnego młodzieńca. W Kansas tylko Republikanie mogli mu dać techniczne warunki dla walki o jego ideały. Decyzję powziął łatwo, bez wahania, bez myśli o możliwości jakichś wyrzutów sumienia. I nie robił tajemnicy ze swych motywów.

IV

Partia amerykańska jest koalicją natury regionalnej. Partia Demokratyczna jest kombinacją wielkich miast przemysłowych i agrarnego Południa. Partia Republikańska z kolei jest kombinacją czysto agrarnych okręgów północnej Nowej Anglii, obu Dakot, środkowego Zachodu i Dalekiego Zachodu, oraz różnych innych terenów o średnim uprzemysłowieniu.

Dalej, partia amerykańska jest koalicją grup interesów. W Partii Demokratycznej złączyli się: średniozamożni farmerzy, robotnicy, pewne kategorie mniejszego businessu, szereg grup emigracyjnych, Murzyni, inteligencja. Partia Republikańska jest kombinacją zamożnych farmerów (z wyjątkiem Południa), za-

możliwszych elementów małych miast, oraz wielkiego businessu.

W partii amerykańskiej spotykają się różne zespoły ideologiczne. W Partii Demokratycznej wytworzyła się osobliwa kombinacja skrajnych reakcjonistów Południa i liberałów Północy. W Partii Republikańskiej antykapitalistyczni farmerzy Północnej Dakoty i Vermontu znaleźli wspólne miejsce z ludźmi z Wall Street, z magnatami Chicago i Pittsburgha.

Stąd ta fantastyczna mozaika ideologiczna, jaką dostrzega się na terenie każdej z obu wielkich partii amerykańskich. W tej samej partii są liberał Senator Lehman z New Yorku i skrajny reakcjonista Senator MacCurran z Nevady, bojowy liberał Morse z Oregonu i znakomity McCarthy z Wisconsin. Północne związki zawodowe i reakcjoniści południowi spotykają się na konwencjach demokratycznych, kooperatyści Północnej Dakoty i senator Taft z Ohio — na konwencjach republikańskich.

Co ludzi tych trzyma razem, to przekonanie, że partia, w której się znaleźli, właśnie przez swój czysto techniczny i instrumentalny charakter, daje im najwięcej szans osiągnięcia ich celów, pod każdym względem tak zupełnie różnobarwnych.

Skale aspiracji tych ludzi mogą być bardzo różne. Jedni mogą widzieć w partii środek walki o wielkie cele i ideały, drudzy — przez partię starają się utrzymać swe wpływy, swe posady, synekury, beneficja wszelkiego rodzaju. Amerykańska idea "to the victors belong the spoils" wciąż jeszcze jest motywem politycznym. Nie tak ważnym, jak przed laty, ale wciąż bynajmniej nie bez znaczenia.

Nie możemy tu wdawać się w rozważanie, dlaczego amerykańskie kombinacje partyjne wytworzyły się w takim, a nie w innym składzie. Wymagało by to długiej ekskursji w dziedzinę historii Stanów Zjednoczonych. Tu zaznaczymy jedynie, że skład tych koalicji nieraz ulegał znacznym zmianom. Tak np. Murzyni, którzy tradycyjnie szli za partią Prezydenta-Oswobodziciela Lincolna, od czasów New Deal'u ławą stanęli za partią Prezydenta-Oswobodziciela F. D. Roosevelta. Związki zawodowe, które za czasów Samuela Gompersa prowadziły politykę neutralnego lawirowania między obu partiami, znów od czasów New Deal'u stały się ważnym czynnikiem koalicji demokratycznej. Od czasów też Roosevelta Demokraci stali się wyraźnie partią większości.

Na ogół Partia Demokratyczna, zwłaszcza poza Południem, utożsamia się z interesami warstw średniozamożnych — robotników, farmerów, małego businessu, inteligencji pracującej. Urbanizacja Ameryki, wzrost uprzemysłowienia, powstawanie wielkich metropolii — oto główne czynniki siły Demokratów. Republikanie są partią Ameryki małych miasteczek i zamożnych farm. Są oni ponadto partią big businessu. Kurczenie się agrarnej i małomiasteczkowej Ameryki stało się przyczyną słabości republikańskiej i uczyniło z tej partii partię mniejszości.

Fakt, że partia amerykańska jest aż tak różnorodnym zespołem, skupiającym ludzi wszelkich poglądów i sprzecznych inte-

resów, musi z konieczności prowadzić do tarć wewnętrzzopartyjnych. Tarcia takie tylko w wyjątkowych wypadkach prowadzą do rozłamów. Partia właśnie dzięki swemu techniczno-instrumentalnemu obliczu umożliwia rozgrywanie się tych konfliktów bez konieczności uciekania się do bardziej drastycznych rozwiązań. Rzecz znamienna, że rozłamy były na ogół krótkotrwałe i najczęściej kończyły się powrotem rebeliantów na łono dawnej partii. W każdym razie jakiś kierunek wewnątrz partii bierze górę i stara się wycisnąć swe piętno ideologiczne na całości. Za czasów Roosevelta liberałowie nadawali ton Partii Demokratycznej, a i za czasów Trumana wpływ ich wciąż jest wcale poważny. W Partii Republikańskiej natomiast konserwatywna "Stara Gwardia" wzięła górę nad bardziej liberalną opozycją. Od roku 1940 opozycja ta stale triumfowała na konwencjach, przeprowadzając swych kandydatów (Willkie, Dewey, obecnie — Eisenhower), by po wyborach znów dać się zepchnąć przez "Starą Gwardię" na miejsce podrzędne.

Podstawowym zadaniem konwencji jest jakieś zespolenie tych tak różnorodnych grup, reprezentujących tak różne tereny, interesy i poglądy. Bez takiego zespolenia nie ma szans na sukces wyborczy. A o ten sukces chodzi wszystkim — tym z Południa i tym z Północy, tym z Nowej Anglii i tym ze Środkowego Zachodu; do niego dążą liberałowie i reakcjoniści, farmerzy i big business, związki zawodowe i "maszyny". Niewątpliwie każda z tych grup chce przez zwycięstwo urzeczywistnić inne cele, ale wszystkie razem jednoczą się w dążeniu do zwycięstwa.

Zjednoczenie to nie jest rzeczą łatwą. Różnice są bardzo duże. Z reguły w parze z nimi idą rywalizacje osobiste, ambicje przywódców, pretensje grup lokalnych, itp. Każda grupa uważa, że jej kandydat i jej program daje najlepsze szanse sukcesu wyborczego. Nic też dziwnego, że kulisy konwencji, owe "smoke filled rooms" w hotelach, są scenami dramatycznych targów i przetargów, schlebów, przekupstw, pogróżek. Atmosfera w tych pokojach hotelowych może być bardzo gorąca, uczucia dalekie od miłości braterskiej, ale każdy z uczestników wie, że **na zewnątrz**, na samej konwencji, partia musi wystąpić jako jednolita i zwarta armia, gotowa do marszu w dniu wyborów.

Zaiste ciężkie to zadanie. Trzeba znaleźć takiego kandydata na Prezydenta, który zadowoli wszystkie grupy w obrębie partii i który ponadto w listopadzie pociągnie za sobą masy wyborców. I analogicznie, trzeba ułożyć taki program, który możliwie zadowoli wszystkich i w partii i poza partią.

Gdy chodzi o program, zadanie jest stosunkowo mniej trudne. Program, który ma zadowolić Tafta i Morse'a, który ma wzbudzić entuzjazm w nowojorskim Murzynie i południowym "white trash", musi składać się z samych ogólników. Niekiedy co prawda musi powiedzieć coś bardziej konkretnego, jak np. w sprawie federalnego ustawodawstwa antydyskryminacyjnego, zwłaszcza gdy ma być programem Demokratów. Ale, pomijając te specjalne zagadnienia, program taki musi być arcydziełem kom-

promisu, czyli musi być wyprany z tego wszystkiego, co w jakimś stopniu mogłoby urazić którąś z grup kombinacji partyjnej. Nic też dziwnego, że nikt w Ameryce nie traktuje zbyt poważnie owych programów. Wiadomo, że bardzo mało z nich jest wykonywane, nawet gdy chodzi o najbardziej konkretne obietnice.

Wybór kandydata jest rzeczą znacznie trudniejszą. Ostatnia konwencja republikańska zademonstrowała w całej pełni, jak dalece dramatycznym może być przebieg takiego wyboru. Trzeba stale pamiętać, że w Ameryce człowiek w znacznie większym stopniu, niż program, może wyrażać pewne zasadnicze rozbieżności polityczne czy filozoficzne. Taft reprezentuje tradycyjny konserwatyzm, tęsknotę za dawnymi dobrymi czasami. Dokoła Eisenhowera skupili się republikańscy liberałowie i te siły big businessu, które rozumieją, że do przeszłości powrotu nie ma, że trzeba znaleźć jakąś nową formułę rozwiązywania zagadnień społeczno-gospodarczych, formułę, która, nie naruszając interesów i stanu posiadania big businessu, byłaby przeciwieństwem do przyjęcia dla innych grup gospodarczych.

Konwencja ma znaleźć człowieka, który potrafi skupić dokoła siebie całą różnorodność koalicji partyjnej, i który w listopadzie potrafi skupić dokoła siebie całą różnorodność nowoczesnego społeczeństwa. I nic dziwnego, że, gdy w końcu głosowanie daje zwycięstwo jednemu z aspirantów, na sali konwencyjnej rozgrywają się sceny trudne do opisanego. Jest też przyjęte, że inni aspiranci oddają wtedy głosy, które na nich padły, do dyspozycji zwycięskiego rywala. I tu chodzi o stworzenie atmosfery jedności, o wykazanie, że cała partia stoi za elektem. O zajądłości rywalizacji Taft-Eisenhower świadczy najlepiej, że spora grupa zwolenników Tafta aż do końca odmawiała oddania swych głosów Eisenhowerowi, uniemożliwiając w ten sposób osiągnięcie fikcji jedności.

"Habemus papam!" — okrzyk triumfu i ulgi. Jedność partii jest osiągnięta — jeden jest pasterz i jedno stado. Partia na krótko zapomina, że jest techniczną kombinacją najbardziej różnorodnych składników, i staje w jednym szeregu do rozprawy wyborczej. Jej wódz ją zjednoczył. Możliwe, że w listopadzie w taki sam sposób zjednoczy cały naród amerykański. Taki jest sens owych osobliwych widowisk, które noszą nazwę amerykańskich konwencji partyjnych. Pod fasadą zabawy kryją się treści bardzo poważne — mechanizm działania demokracji amerykańskiej. I przy wszystkich swoich brakach, mechanizm ten działa wcale nie najgorzej, gwarantując narodowi Stanów Zjednoczonych jego wolność polityczną. A już w charakterze Amerykanina leży to, że lubi się bawić — hałaśliwie i po dziecinnie. I jest to widać jego cechą naturalną, że w jego oczach nie ma sprzeczności pomiędzy szatą karnawałowej zabawy a poważną treścią, jaka się pod nią kryje.

Aleksander HERTZ

Sondaże (dok.)

II. MISTRZOWIE.

Generacja poszukujących właściwie raczej przyzepia się do mistrzów, a nie skupia się dokoła nich. Jakżeż teraz wyglądają ci mistrzowie? Ośrodkiem nadziei są Ernst Jünger, Gottfried Benn i Berthold Brecht. Na marginesie wykazać można jakby rozplywające się wpływy Rudolfa Alexandra Schrödera, Hermana Hessego i Hansa Carossa. To byliby żyjący. Do tego dochodzi jeszcze oddziaływanie przeminionych wielkości, jak Stephan George i Rainer Maria Rilke, o których trudno wspominać w krótkim szkicu, a którzy oddziałują raczej promieniując na wszystkie grupy, niż tworząc wyraźne ośrodki. Po roku 1945 wydawało się, że cała liryka ciąży ku Rilke, ale z wejściem na scenę Gottfrieda Benn i Bertholda Brechta ci epigonowie rozproszyli się i Rilke pozostał w wonnych rączkach początkujących poetek, podczas gdy młodzi zwracali się coraz bardziej ku Gottfriedowi Bennowi, Bertholdowi Bechtowi i w końcu ku Jüngerowi. Dla charakterystyki wielkiego kręgu poetów-epigonów trzeba jeszcze powiedzieć, że tu u nas w Niemczech (od 1945 r.) zalicza się ich, mimo ukończonego 50-roku do narybku i ich utwory drukują antologie "młodej poezji" (nie tylko w Niemczech, przyp. tłum.).

Wpływ Ernsta Jüngera jest znaczny. Autor ten zdobył w Niemczech zasłużoną sławę jako stylistą, a także dzięki niesamowitej pewności w doborze swych modeli. Dzięki tej pewności mocno uchwycił strukturę naszego współczesnego życia w ujęciu takich tematów jak "Ueber den Schmerz" (O istocie bólu), "Feuer und Bewegung" (Ogień i ruch) oraz "Die Staubdämonen" (tytuł niemożliwy do przetłumaczenia, coś jakby Demony z prochu). Jemu przypadł w udziale smutny los użycia po raz pierwszy, w tytule większego essay'u, słów "Mobilizacja totalna". Poeta ten często i złośliwie piętnowany jako militarysta jest w rzeczywistości poetą, który w pierwszej wojnie światowej, mając 23 lata, jako podporucznik oddziałów szturmowych, dekorowany był najwyższym niemieckim orderem "Pour le Mérite". Mimo wielokrotnych wezwań nie paktował z nazizmem, lecz wprost przeciwnie napisał wydaną pod nosem nazistów jedyną godną wzmianki książkę oporu "Die Marmorklippen"

(Marmurowe rafa). Duch Jüngera związany jest nierozdzielnie z przeżyciami pierwszej wojny światowej. Ale wielbiciel francuskich moralistów, podziwiający szlachtę tego okresu, w którym indygenat wyróżniał rzeczywiście najszlachetniejszych i najważniejszych, nie mógł być ani faszystą, ani militarystą. Czył się żołnierzem i przeniósł beztrząsco pojęcia żołnierskiej dyscypliny do nowego kodeksu honorowego męskiego życia — nazywa na przykład dyscyplinę najbardziej nieprzeniknioną maską wolności. Nie obyło się przy tym bez wpadków, narażających Jüngera często na szyderstwo. Był to jednak człowiek, który w rewolucji oficerskiej 20. lipca działał przeciw Hitlerowi. W związku z tym warto wspomnieć, że Jüngera obroniła przed siepaczami Gestapo skuteczna opieka tego samego generała Speidla, którego nazwisko wymienia się w prasie w związku z układem generalnym, a tym samym z nową armią niemiecką. Jako kawaler orderu "Pour le Mérite" rozświetlił blaskiem swej poezji ideę szlachetnego bractwa orderowego. W szczegółach, tzn. tam, gdzie uwydatnia się szczególnie charakterystyczne podejście Jüngera, rozwinięty przez niego kodeks nabiera cech skamieniałości. W dziełach okresu 1920-1938 ukazuje się nam myśliciel i poeta godny szacunku. Osiągnięciami tego okresu Jünger potrafił stworzyć punkt oparcia zwłaszcza w wyczelowanym rzemiośle. Ci którzy kształcili się na jego darze obserwacji i jego stylu z wczesnego okresu twórczości stali się sami godnymi uwagi essayistami.

Gdy dziś pomyśli się o ostatnich pismach Jüngera "Heliopolis", "Besuch auf Godenholm", o jego dzienniku "Strahlungen", o "Der Waldgänger" itp. to trudno poznać dawnego mistrza. Jego styl wykończyła rutyna, a obserwatora essayistę wyniszczyły przedsięwzięcia powieściowo-nowelistyczne. W tym stadium, co niebezpieczne i uwodzicielskie zamieniło się w światopoglądowy kicz. W tej płataninie giną niezliczone ofiary z szeregów generacji, poszukującej mistrza. Ginę tak samo, jak dawna wielkość Ernsta Jüngera. Niegdyś pisarz ten umiał wyczuć i opisać ROBOTNIKA i jego świat, ale niezdolny jest do stworzenia w powieści pary zakochanych. Jeżeli mimo tej niezdolności próbuje, to jego opowieści mają woń zbutwiałego aksamitu, który wypromieniowuje jakiś fatalistyczny symbolizm, który znakom kościoła nadaje równe pseudo-znaczenie jak runom. W "Besuch auf Godenholm" rozbrzmiewają przy tym dźwięki uduchowiczej muzyki "Z grotty króla gór" Griega...

I cóż ma do powiedzenia wydawca tego obwieszczenia upadłości Ernsta Jüngera? Powiada tak: "Besuch auf Godenholm jest duchowym wypadem w nieruchome centrum mknącego koła czasu". Ku memu przerażeniu nie zostało mi oszczędzone i to, że wpadło mi w ręce specjalne wydanie fragmentu powieści "Heliopolis", które wydano w osobnym tomie pt. "Opowiadania Ortnera" z ilustracjami niejakiego pana Ernesta Augusta von Mandelsloh. Musimy przyjąć, że Jünger aprobował te ilustracje. Gdyby był zdania, że to co mu zaproponowano nie odpowiada

jego gustom i zamierzeniom mógłby te malowidła odrzucić. Człowiek, którego bojaźliwi cudzoziemcy i suchotniczy wielbiciele nazywają tajemnym królem w Niemczech powinien chyba mieć na tyle autorytetu. Rysunki te stoją na poziomie okładek sensacyjnego śmiecia sprzedawanego w tysiącach egzemplarzy przez kioski kolejowe. Nie do wiary, że przy tym na najlepszym papierze! Jünger, który w "Staubdämonen" stworzył jedno z najlepszych studiów upadku świata mieszczańskiego i w związku z tym udowodnił, że umie czytać w znakach nowoczesnego malarstwa i grafiki!

Gdy się to wszystko czyta i ogląda chciałoby się, aby z arcydzieł tegoż Jüngera wznosił się trybunał doraźny, by rozstrzelać i uchronić przed dalszą hańbą zdrajcę ich ducha!

Muszę tu z naciskiem podkreślić szkicowy charakter moich notatek. O Jüngerze byłoby jeszcze dużo więcej do powiedzenia. Nie dość na tym, że ten ongiś awangardowy duch spadł do poziomu mieszczańskiej literatury moralizatorskiej i w swcim upadku, tracąc całą swą przenikliwość, chwytą fragmenty Nietzschego, a później znowu fragmenty Kościoła — swoją obecną postawę podaje on jako wzór do naśladowania. Tam gdzie w innym wypadku właściwe byłoby współczucie, jeśli chodzi o Ernsta Jüngera, trzeba wystąpić z najostrejszym sprzeciwem. Szerokie koła w Niemczech już to zrozumiały. Rzućmy na tę postać żalobną zasłonę. Może kiedyś on sam odrzuci ją od siebie, by z błędnych ścieżek powrócić na drogi swego prawnego przeznaczenia.

Nie można powiedzieć o Gottfriedzie Bennie, by przeszedł taką krzywą upadku jak Ernst Jünger. Dziś jeszcze praktykujący lekarz chorób skórnych i wenerycznych (w pierwszej wojnie światowej oficer sanitarny, nadzorujący żołnierskie lupanary, w drugiej lekarz wojskowy rozpatrujący podania o emeryturę) został właśnie teraz odkryty przez Francję jako poeta liryczny. Zwłaszcza jego dawniejsze utwory "Gehirne und Spaltungen" (Mózgi i rozdwojenia) we francuskim przekładzie Alain Bosqueta zrobiły duże wrażenie. Najzupełniej słusznie. Poeta Gottfried Benn napisał wiersze głębokie i piękne. Jest o wiele bardziej konsekwentny, niż Ernst Jünger, który bezwstydnie okrada Nietzschego; dla Jüngera, jak sam przyznaje, Nietzsche stał się marzeniem; mówi on: "...i nie zrobimy ani jednego kroku więcej na naszej drodze, nie wielbiąc tego marzenia". Mózg człowieka fascynował młodego Gottfrieda Benna, aż do uwielbienia. Dla Benna essayisty, jego dziedziną jest szczególnie sprawa świadomości i stopniowego wzmagania świadomości aż do "umóglowienia". Nowe idee rodzą się u niego z "celebralnej mutacji". Liryka Benna, światopoglądowo ciężąca ku Nietzschemu i Spenglerowi, patrząca na zmierzch Zachodu jako na coś nieodwołalnego jest, od początku aż do dziś, cierpką pieśnią pożegnalną zde gustowanego, wykształconego człowieka ze środkowej Europy, poprzedzającą wdarcie się ROBOTNIKA (przy tym nie odgrywa to żadnej roli, czy, jako postać duchowa, rzuca on

swój cień na Europę z Ameryki czy też z Rosji Sowieckiej). Jak dotychczas, odrzuca on polityczny sposób patrzenia. To mu nie przeszkodziło przyłączyć się w Niemczech nazistowskich do frontu, zwróconego przeciw emigrantom i flirtować z rządem, który przecież udawał, że wielbi Nietzschego. Oto do czego się dochodzi, gdy się osadza świat tylko wedle wagi mózgu w klasach panujących. Byłoby pozbawione sensu oczekiwać muzyki przyszłości od takich ludzi jak Gottfried Benn, którzy przemawiają wciąż jeszcze z mieszczańskiego punktu widzenia. Wkład Benna do dziejów ducha jest więc istotnym wkładem do dzieła: świadomość mieszczańska, ale nie stanowi prawie żadnego wkładu, jeżeli chodzi o świadomość jako taką. Wkład ten nie jest już alarmujący; jest on potwierdzeniem diagnozy zmierzchu umóglowionej klasy, świadomej tego stanu rzeczy. Tym samym pozostaje w ramach otwartych ku przyszłości tylko jak wrota muzeum.

Jakkolwiek u Gottfrieda Benna, podobnie jak u Ernsta Jüngera, pojawia się już zrozumienie, nie może ono z punktu wyjścia "po nihilizmie" rozsadzić dawnej struktury duchowej i sprawić, aby jak motyl z poczwarki powstawał nowy poeta. Tematyka liryczna Gottfrieda Benna od czasu "Wierszy statycznych" straciła wiele siły, płynącej z intelektualnego smętku. Wdarł się tam niszczący banał i dokonuje ze znużonym uśmiechem pogardy tego, co się w nim zaczęło przed czterdziestu laty jako liryka ciała przemijającego i rozkładającego się, liryka kształcona pod wpływem Georga Heyma.

Nieoczekiwanie w ostatnim utworze Benna — w słuchowisku "Głos zza kurtyny" — głos jakiegoś nienazwanego bóstwa wyszeptuje hasła, komentujące tragedię człowieka. Tak jak z nim ma się rzecz i z jego uczniami: na początku było obrzydzenie, a na zakończenie sentymentalizm wystarczający jeszcze na to, by twarzom starzejących się ludzi negacji nadać ludzkie rysy, ba, nawet wycisnąć z ich oczu łzy.

Gottfried Benn śledzi uważnie wszystko co nowe, o ile dotyczy ono czystej liryki, niejako lirycznego centrum. Nie można jednak mieć żadnych złudzeń co do tego, że usystematyzowanie nowych zjawisk nie dokonuje się wedle nowych praw, lecz wedle starego schematu, który powstał nie bez chwalebego udziału Gottfrieda Benna.

Młdzień poszukująca swej drogi puka także do drzwi tego mistrza. Benn otwiera je przyjaźnie i wysłuchuje przychodzących. Drzwi zamykają się za tymi, którzy przyszli za późno, a w gabinecie lekarza chorób skórnych i wenerycznych zostaje poeta, który wśród tysiąca epigonów nie może znaleźć żadnego prawdziwego dziedzica.

W ostrym przeciwieństwie do Gottfrieda Benna stoi Berthold Brecht, mieszkający w okupowanym przez Rosjan wschodnim Berlinie. Twórca "Opery za trzy grosze", "Hauspostille", "Mut-ter Courage und ihre Kinder" po swym powrocie do Berlina, jak już powiedziałem u wstępu, stał się największym rozczaro-

waniem dla młodej generacji, poszukującej nowej miary. W latach dwudziestych, jako liryk, pozostawał pod wpływem Heyma, tak samo jak Gottfried Benn i jego dystans od centrum duchowego Benna nie był zbyt wielki. Decyzja Brechta, by przejść od oglądania się w lustrze subiektywizmu do krytyki społeczeństwa, do przekształcenia naszej planety, działała odświeżająco, jako przeciwieństwo liryki, w której codziennie pisze się sobie samemu zaszyfowaną pieśń o śmierci.

Brecht usiłował uniknąć losu upadającej klasy, z której sam pochodził. Jego opukiwania i badania potwierdzały tezę o nadchodzącym końcu tej klasy. Ale podczas gdy głos Gottfrieda Benna dochodził nas z wnętrza rozpadającej się budowli wydawało się, że słowa Bertholda Brechta przynoszą nam z zewnątrz, z ulicy, trzeźwe zestawienie informacji o postępującym rozpadzie. W ten sposób jego głos nabrał zimnego, osądającego tonu mieszczańskiego apostaty, którego ta sprawa już nie dotyczy. Nie płakał nad tą zagładą. Sam nad nią pracował. Cieszył się z tego, że został, jak sam mówi, wygnany ze swej klasy, wygnany ze słusznych powodów. Czy jednak udało mu się istotnie przeobrazić się z mieszczańskiego syna w robotnika, którego postać rysującą się na horyzoncie 1932 roku, widział Ernst Jünger? Nie, to się Brechtowi nie udało. Ów robotnik należy bowiem wciąż jeszcze do przyszłości. Jeszcze go wcale nie ma. Ale będzie, i Berthold Brecht nie będzie ostatnim z tych, którzy mają powody do tego, by się jego nadejścia obawiać. Niemcom postać ta, gdy miną współczesne nam wzruszenia i spory, przypominać będzie Ernsta Jüngera, Gottfrieda Benna i Bertholda Brechta. Robotnikowi bliskie będzie pojęcie dyscypliny, rozumiałej jak u Jüngera jako nieprzeniknionej maski wolności; weźmie on pod uwagę rady Gottfrieda Benna, by doprowadzić do rozkwitu swój mózg i być może, jak to kiedyś radził Benn, każe on swym dzieciom pod nadzorem lekarskim aplikować Pervitynę podczas godzin szkolnych dla pobudzenia mutacji cerebralnej; będzie też (na pewno po-bliżliwiej niż my współcześni) wspominać Bertholda Brechta. W gruncie rzeczy będzie się jednak ta postać odchyłać od pojęć trzech wymienionych twórców czymś, czego żaden z nich przewidzieć nie zdołał.

Bertholdowi Brechtowi nie udało się odskoczyć. Jego los jest losem klasy, w której Ernst Jünger i Gottfried Benn, ludzie o znacznie mocniejszym charakterze, pozostali. Pozostali jedynie w sensie duchowym, tak jak anteny mieszczańskich domów wspierają się wprawdzie na dachach, ale wznoszą się ku niebu i mogą odebrać wieść, że przychodzi nowa ludzkość.

Brecht uważa się za ortodoksyjnego marksistę i leninistę. Na jego biurku stoi Marks w takich ramach, w jakich w XIX wieku oprawiano fotografie rodzinne. Chętnie powołuje się na "historyczny i dialektyczny materializm" i tam, gdzie utwory Brechta wykazują jego wpływ, są one też najsłabsze. Brecht, omawiając problemy klasowe, widzi historię w kierunku od dołu

ku górze. Gdy umieszcza swe postaci w społeczeństwie sowieckim, jak w "Kredowym Kole" (widowisko) lub "Hodowli Prosa" (poemat na cześć Miczurina), poeta zawodzi i wpada w pseudoidealizm, jaki stawia się w Rosji za wzór poetom przy akompaniamencie pogroźek. Występuje to też wyraźnie, gdy Brecht w swej komedii "Puntilla", zwróconej przeciw wielkim właścicielom ziemskim, zaleca taką charakterystykę, by twarze wielkoziemiańskie miały wyraz zdegenerowany i odrażający, podczas gdy wyzyskiwane dziewczęta mają mieć oblicze średnio-wiecznych madon. Nazywam to sentymentalnym socjalizmem mieszczańskim. Mimo starań Brechta by jak najbardziej zacieścić ślady, jego socjalizm jest jakimś nieporozumieniem klasy, która się samobójczo i histerycznie nienawidzi. Wyraża się tu głębokie poczucie winy, które jest tak silne, że dotknięty nim zniekształca i zaciera obraz proletariatu, by uwolnić się od tego znienawidzonego sentymentalizmu. Poeta podziwia siebie w roli chłodnego i niemilosierdnego myśliciela. Potrzebuje jednak sam jakiejś solidnej podpory i chwytą się bojaźliwie w swej krótkowzroczności za konstrukcję Stalina, którą bierze za łuk triumfalny proletariatu. Nie jest ona niczym innym jak gilotyną, do której Brecht, może nie zdając sobie z tego sprawy, niebezpiecznie blisko podsuwa głowę.

Od czasu zamieszkania we wschodnim Berlinie, poeta niemal bez przerwy oddaje się złudzeniom. "Wiem — oświadczył raz w rozmowie na temat swych eksperymentów formalnych, których wartość jest bezsporna także dla świata teatralnego nieniemieckiego, — że sztuka jest rośliną wiotką. Chodzi o to, by ją przeprowadzić przez burzę walki klasowej. Jest zawsze w niebezpieczeństwie. Najlepsze, czego się możemy spodziewać, to to, że nam pozwolą dalej pracować nie zwracając na nas uwagi. Jak Majakowski — nie mając uznania ale także nie napotykać na przeszkody mógł dalej tworzyć!" Czyż to zdanie nie wystarczy by wykazać, jak bardzo łądzi się Brecht? Czyż nie zna losu Majakowskiego? Prawdą jest, że nie wierzy w "wykończenie" Majakowskiego. Wierzy w sowiecką wersję urzędową, wedle której to trockiści mieli doprowadzić do jego zgonu. Można by tak przejść punkt po punkcie i wykazać, że można być poetą i równocześnie człowiekiem bezdennie głupim. Brecht nie jest człowiekiem zdolnym do samokrytycyzmu i do radykalnego przedstawienia swego życia, na jakie zdobył się twórca Stalingradu Teodor Piłwier, który dziś, nie zdradziwszy socjalizmu, przebywa i pracuje w Niemczech Zachodnich.

Wielbiciele Brechta urzeka jego estetyka. Próżno ich szukać między proletariatem, między robotnikami. Są nimi mieszczenie i drobnomieszczenie oraz naiwni esteci. Spory udział mają w tym także kompozytorzy Weill, Dessauer i Hans Eisler, brat ministra propagandy sowieckiej niemieckiej "demokracji ludowej" Gerharda Eislera. Nadali oni pieśniom Brechta to agresywne *espressivo*, które przyprawia burżuazję o dreszcze. Ale nie o dreszcze trwogi, o nie! Burżuj niczego chętniej nie podśpiewuje niż

pieśni Villona, z których Brecht wziął wszystko co w nich jest. Można dziś słyszeć tony tych *song'ów* "Opery za trzy grosze", wydobywające się na ulice z najbardziej feudalnych barów Berlina, Rzymu, Londynu, czy też Nowego Jorku. Śpiewają je nierzadko milionerzy, których łączy z Brechtem tylko sentymentalizm, a może jeszcze zamiłowanie do azjatyckiej sztuki maskowania się. To by było jednak wszystko. Burżuj rozpozna siebie w morałach Brechta, nawet mogą go one miażdżyć. Ale nie ma powodu do obawy: to wszystko jest jeszcze jednym więcej powodem do sięgnięcia po kieliszek, którego zawartość spłucze wszystko. Brecht chciałby uderzać właśnie w tego mieszczanina, którego nienawidzi w sobie. Ale, parafrazując powiedzenie Hegla, można by mówić u Brechta o "podstępnie sztuki", która zdaje się niezbyt uczciwie odnosić się do walki klas. Burżuj nie czuje się zaatakowany przez Brechta. Wzdycha na temat sztuki Brechta: "Tak, tak, tacy już są ludzie! Tak, tak życie jest ciężkie!" Gdyby Brecht żył w obozie zachodnim, do którego właściwie należy jego twórczość, to swego rodzaju interpretacja krytyczna postarałaby się już o to, by strzały trafiały w serce mieszczaucha. Dziś jednak chybiają one celu, a ten, którego nie trafiono, podziwia beztronsko ich uskrzydłony, podniebny lot w błąkit eteru.

Nie należy przy tym zapominać, że Brecht zapoczątkował pisanie tego rodzaju sztuk teatralnych, opartych na dialektyce. Nie stworzył on szkoły w Niemczech sowieckich czy też w sowieckiej Rosji, ale może ją stworzyć wśród młodego pokolenia na zachodzie. Pierwsze strzały, zdobne w brechtowskie piórka, już mkną i trafiają, jak sztuki teatralne Szwajcara Dürrenmata (Małżeństwo pana Mississippi) jeśli nie dokładnie w sedno to w każdym razie tuż obok celu, o który tu idzie. Dürrenmatt ma odwagę. Brecht jest tchórzem. Taki już jest jego los. Tchórzostwo nie przeszkadza nikomu być genialnym, mieć trafne poglądy, ba, nawet czasem słyszeć, jak rośnie trawa przyszłości. Ale tchórzostwo wykastrowuje to poznanie, ponieważ temu, który być może trafnie rozumował zamyka drogę do konsekwencji. Pozostawia tylko otwarte drzwi hańby. Nie byłoby obelgą dla Brechta, gdyby mu się włożyło w usta słowa: "od tej hańby nie umrę, chodzi o to, bym żył". A jednak Berthold Brecht od tej hańby już umarł w świadomości i w sercach tych niezliczonych, których rozczarował. Nieodwołalnie.

Zmarłemu zaświadcza się. Od 1920 do 1952 roku był największym z żyjących dramaturgów w niemieckim teatrze. Umarł z tchórzostwa, choć był człowiekiem wielkiego serca. Jego duch zablakał się już za życia. Ojcem jego purytańskiej moralności klasowej był humanizm. Kiedy świat, w którym żyje Gottfried Benn, zacerznie nową otuchę ze słów, że są jakieś zaświaty poza nihilizmem, Berthold Brecht będzie musiał pozostać po tej stronie, na ziemi niczyjej. Wówczas ludzie zrozumieją, że jego wiara w przyszłość była tylko gałązką z drzewa postępowej uczoności mieszczańskiej, jego humor uszmiokowany barwami we

sołka cynicznym nihilizmem. Bolejemy nad tym, że przez jego tchórzostwo straciliśmy człowieka, którego dzieło, mimo tej plamy na osobie twórcy, długo będzie czekać na zajęcie w przyszłości tego miejsca, jakie mu się słusznie należy. Wówczas się okaże, że dzieła tego pisarza, które dały mu najwięcej uznania, stoją na indeksie stalinistów. Szukał pomocy w obozie swoich wrogów. Niech prochy jego spoczywają w pokoju.

Trzy najsilniejsze ośrodki promieniotwórcze niemieckiej poezji, trzech ludzie nie do pogodzenia osobiście, myślą i pracują jeszcze.

Każdy z tych trzech ludzi trzyma w kręgu swych wpływów dużą część młodych sił. Poza tym jednak dostrzec można działalność grupy czwartej: całkowicie na własne siły skazanej, przeważnie bardzo samotnych umysłów, które, nie oglądając się na nic, zdolne są łączyć trzy przeciwstawne fenomeny życia duchowego Niemiec.

Prawie każdy z należących do tej grupy przeszedł przez ogniową próbę uwielbienia dla jednego z trzech. Często nawet przechodzili przez strefy wpływów wszystkich trzech, jak przez płonące pasy, zanim odnaleźli siebie. Kto przez ten proces przeszedł, przeszedł hartowanie, które uczyniło go zdolnym do wytrzymania burz, które nadejdą. Nazwiska mówilyby niewiele w tych sondażach współczesnej literatury niemieckiej. Ale można powiedzieć światu, żyjącemu od stu lat w obawie przed niemieckim nacjonalizmem, że nieznanymi poeci niemieccy tej grupy zaliczają się do ludzi, którzy snią o jednym świecie pokoju i dla których sprawiedliwa Europa nie jest żadnym mirażem. Ich poezje demaskują ich przed wrogami ludzkości i pokoju w tym stopniu, że wielu z nich do dziś dnia wstrzymało się przed wystąpieniem na widowię. Można ich rozpoznać tylko tam, gdzie dzieła dobra, miłości i ludzkości nagłym blaskiem rozświecają mroki naszego stulecia.

Tą poezją zdaje się kierować hasło: nie trzeba nam nowej pozy, lecz nowej myśli. Kto poszukując spogląda w stronę Niemiec ten niewiele dziś jeszcze odnajdzie z tej poezji. Musi wierzyć mojemu słowu, że ta poezja jest, a jej pierwcy albo jako poeci złamią, zjawisko promieniowania Jüngerów, Bennów, Brechtów, Schröderów czy Hessów, albo padną bez chwały w przyszej walce przeciw tyranii. Poezja może dziś zdradzić poetę a milczenie młodej poezji w Niemczech musi być ocenione jako zapowiedź zmagania, w których zdradliwe znamię poezji może być dla tego, kto je nosi, wyrokiem śmierci — jeżeli stoi po stronie człowieka. Nie jest to, — jak wielu sądzi — oznaką że duch poezji w Niemczech umarł. Tą uwagą chciałym zamknąć moje "Sondaże".

Alexander KOVAL.

Kamil Arago

(Jednoaktówka)

OSOBY :

Starszy pan.
Andrée.
Muette.

(Rzecz dzieje się w Monte Carlo, na skale, nad morzem).

(Scena przedstawia ławkę, opartą o skałę. Późny wieczór. Na skale siedzi Andrée).

Muette (pojawia się z prawej strony sceny, podchodzi do ławki. Andrée podnosi głowę).

Muette: Ach to ty, Andrée. Nie poznałem cię. Myślałam, że to kto inny.

Andrée: Tak, to ja.

Muette: Cóż tu robisz?

Andrée: Kwiaty tak pachną, migdały także, i morze tak pachnie i wiatr także pachnie. Taki śliczny był wieczór i ta noc będzie także ładna.

Muette: A ty tak siedzisz i wachasz?

Andrée: I tak pracować dzisiejszej nocy nie mogę. Przecież i ty lubisz morze i jego zapach i mówiłaś, że kochasz, gdy wiatr jest taki chłodny, a nie tak duszny i upalny, jak twoje sirocco.

Muette: Wiesz, co ci powiem, choć wiem, że będziesz mi odmawiać. Dziś jeszcze w nocy spróbuję mokrej roboty.

Andrée: Muette!

Muette: Na pewno spróbuję, choćbym na całe życie miała iść do mamra. Powinnaś zrozumieć jak to wciąga, właśnie to ryzyko, to zrobisz, czy nie zrobisz, to zdecydujesz się, czy nie zdecydujesz się.

Andrée: Przecież to się nigdy nie udaje. Ciągłe czytanie gazet. Tego zlapali, tamtego także zlapali.

Muette: Dlaczego mnie się tak udawało za czasów résistance i tutaj we Francji i u nas we Włoszech?

Andrée: Za czasów résistance to było co innego. Działałaś na czyjś rozkaz.

Muette: (odwraca się i rozkłada ręce). Rzeczywiście jaki śliczny wiatr. Masz rację, to morze pięknie pachnie. Po résistance także mi się udawało. Pamiętasz, jak ci opowiadałam, jak zakatrupiłam tego grubasa w Neapolu. Nawet mi się nie śni. A tutaj? Przecież wiesz, że szef od tutejszych kryminalistów w całym księstwie Monaco jest moim przyjacielem. Pierwszy się domyślił, że to ja, bo mu to ciągle obiecuję i ze skóry wylezie, aby wylizać wszystkie ślady, bo będzie się bał, że będę go sypała na sądzie. Zresztą mnie to tak ciągnie, tak ciągnie.

Andrée: Ciągnie, aby kogós zabić. Nie rozumiem, to takie jakieś naiwne.

Muette: Ja kilka lat byłam w różnych egzekutywach résistance. Człowiek się przyzwyczaja do silniejszych wrażeń. A poza tym co ty pleciesz, że to naiwne. Wcale nie jest naiwne. Mnie nie płacą sto tysięcy franków za noc, jak tobie.

Andrée: Mnie także stu tysięcy nie płacą.

Muette: Przestań gadać. Ja chodzę za pięć, albo za trzy tysiące. To mnie nudzi. To całe życie mnie nudzi. A wreszcie, jeśli mam być szczerą to właśnie Walter pokazał mi tego starego Węgry, co tak w kasynie wygrywa od czterech dni. Człowiek chodzi z milionami w kieszeni. Całe kasyno na niego patrzy i obliżuje się. Dostałam zastrzyk, umiem to robić. Kiedyś robiłam takie rzeczy za darmo. Mówili mi, że robię to za to, czy za tamto — nie pamiętam już co tam mówili.

Andrée: Muette! Przestań bredzić. Ja nie chcę o tym nic wiedzieć.

Muette: Będę gadać. Wszystko zawsze głośno gadam i wykrzykuję. To najlepsza metoda. W kawiarniach opowiadam. To najlepsza metoda.

Andrée: Od kogo dostałaś zastrzyk?

Muette: O ty! Takich właśnie rzeczy się nie mówi. Jakaż ta noc jest śliczna. Właśnie dlatego, że jest noc śliczna chcę coś zrobić. Jechałam wczoraj po La Grande Corniche autem i na tym zakręcie, wiesz tym nad Eze sur mer leżała gałąź i każde auto ją druzgotało. Myślałam sobie: żeby w tej gałęzi był porządny gwóźdź, który by przebił oponę, dopiero by jakieś auto poleciało do wszystkich diabłów w przepaść.

Andrée: Głupia jesteś, smarkata, histeryczka, zdenerwowałaś mnie strasznie.

Muette: O wa! Ja mam dziewiętnaście lat, ale ja jestem kobietą nadzwyczajną. Wiesz, że u nas na Sycylii dzieją się różne rzeczy. Wiesz przecież, że umiem zaklinać, aby ludziom stało się to, czego sobie chcą. Jak podniosę ręce do góry i zrobię tak (podnosi ręce do góry) i zaklnę, to zaraz im się robi to co chcą. Sycylia to ojczyzna wielkich świętych pańskich i stąd niektóre z nas to mają.

Andrée: O tych świętych także mówiłaś w résistance?

Muette: W résistance... Patrzaj, jak stąd ładnie casino wygląda. Jak się tam okna świecą. Poczekaj, ja coś zobaczyłam. (Odchodzi).

Andrée: (woła po chwili) Muette! (nie ma odpowiedzi).

Starszy pan: (zbliża się do skały, nachyla się nad ławką, przechylając się przez Andrée i patrząc wewnątrz szczeliny skalnej mówi głośno) Kamil Arago (po chwili powtarza) Tak, tak, Kamil Arago.

Andrée: (dotychczas milcząca, nagle) I cóż z tego, że Kamil Arago...

Starszy pan: Nie, moja mała. Ty nic nie możesz wiedzieć o Kamilu Arago.

Andrée: (zeskakując z ławki) Moja mała! Dlaczego moja mała? Nie jestem wcale mała, widzi pan, jaka jestem wysoka. A czy mam na czole wypisane kim jestem. A może jestem księżną wiadczyńi Monaco na spacerze nocnym i każe pana aresztować żandarmerii za włóczęgostwo. A zresztą "moja mała" mogą do mnie mówić ludzie, którzy mi za to płacą. Jestem dziś zdenerwowana, a pan przyłazi tu i zaczyna bredzić: Kamil Arago, a potem moja mała. Ja także mam prawo do morza, do nocy, do wiatru, do spokoju, bez ciągłych zaczepiek.

Starszy pan: Przegrała pani w casino?

Andrée: Nie gram nigdy. Mam dosyć pieniędzy. Idźcie dzisiaj do wszystkich diabłów, dajcie mi odpocząć przez chwilę. Będę bardzo pana lubiła w przyszłości, jeśli pan sobie pójdzie tam skąd pan przyszedł. Czy mam prawo o to prosić, czy też "moje małe" nie mają prawa o nic prosić w imię elementarnej przyzwoitości. Niech mi pan powie czy ja mam to naprawdę napisane na czole. Skąd pan od razu wie kim jestem.

Starszy pan: Niech pani się nie gniewa. Niech mi pani wybaczy. Pani jest tak podobna do kogoś... Zresztą tak jest zawsze, że jak się o kimś myśli to wszystkie kobiety robią się do tego kogoś zupełnie podobne. Bardzo przepraszam panią.

Andrée: Teraz znów "przepraszam panią". Skąd ta zmiana tonu? Dlaczego pan powiedział "moja mała". Czy mam to napisane na czole?

Starszy pan (patrzy na nią nie odpowiadając).

Andrée: Przepraszam, że się tak zdenerwowałam. Ale widzi pan. Ja tak się staram nie typować mego zawodu. Nie ze względu na jakiś snobizm, o nie! Tylko to przecież o wiele więcej przynosi, jeśli się inaczej wygląda. Więc dlaczego pan mnie od razu poznał? Przecież nie jest pan z policji obyczajowej.

Starszy pan: Niech mi pani wybaczy. Kilka dni temu pokazałam panią na sali baccarat w casino. Nie chciałam być trywialny wobec pani. Nigdy nie lubiłam być niegrzeczny dla osób takich, jak pani, nawet wtedy, kiedy ich było dużo, dużo więcej, niż jest teraz.

Andrée: O teraz mamy konkurencję osób uczciwych. Nasz prastary zawód traci rację swego istnienia.

Starszy pan: Tak, należycie do tej samej miłej epoki do której należała swoboda słowa, podróże bez paszportów i kontroli dewizowej, wolność osobista. Do starej, lepszej epoki. Jeszcze w Monte Carlo odgrywacie dużą rolę, ale tutaj tak wszystko jest

staroświeckie w tym Monte Carlo. Wszystko tak wygląda jak pra-premiera Offenbacha! To jakieś muzeum pozostałości z XIX wieku. I dlatego tak mi jest miło na panią patrzeć i z nią rozmawiać. Tylko w XIX wieku osoby pani zawodu nie miały skończonych uniwersytetów za sobą, a pani zdaje się skończyła jakiś uniwersytet.

Andrée: Nigdy nie skończyłam żadnego uniwersytetu i nigdy nie byłam studentką.

Starszy pan: Zdaje się, że pani kłamie, ale kłamie z dużym poczuciem honoru. W każdym razie należy pani do tak zwanej klasy inteligencji. To znać nie tylko z pani słów, lecz z pani ruchów. Pani jest zdenerwowana. Ja także jestem bardzo, bardzo zdenerwowany. (Bierze ją za rękę i sadza na ławce). Siadajmy.

Andrée: Przegrał pan dużo?

Starszy pan: Przeciwnie, wygrałem dużo, bardzo dużo. Od czterech dni wygrywam jak wariat.

Andrée: Ach to może pan jest ten Węgier, który od czterech dni tak wygrywa.

Starszy pan: Tak, ja jestem ten Węgier, który od czterech dni tak wygrywa. Abo co?

Andrée: A no nic. Ale niech pan idzie do domu.

Starszy pan: Wcale nie pójdę do domu, jeśli pani pozwoli, posiedzimy tutaj.

Andrée: Ja z panem nie pójdę, uprzedzam pana. Dziś nie mogę i nie chcę.

Starszy pan: A wie pani, że to mi do głowy nawet nie przyszło. Po prostu chciałem tu z panią posiedzieć i porozmawiać.

Andrée: To dziwne... może pan zresztą dobrze robi, że pan teraz do domu nie idzie, a pozostaje tu pod moją opieką.

Starszy pan: Pod pani opieką?

Andrée: Pan jest tak grzeczny. Nie ma w panu tego uczucia pogardy, jakie odczuwam u wszystkich mężczyzn w stosunku do mojej osoby. To jest, ta pogarda jest na pewno, ale pan umie ją maskować. Wszyscy mężczyźni, nawet ci, którzy szaleją za mną, nawet tacy, którzy mnie kochają, bo są i tacy, wszyscy mają to potworne, nieograniczone niczym uczucie pogardy i wstrętu moralnego. A wie pan, że kobiety, nawet najobrzydliwsze, margrabiny, czy prezydentowe od miłosierdzia, które nam najwięcej wgardy pozornie okazują, w głębi duszy mniej nami pogardzają, niż taki mężczyzna co z burdelu nie wyłazi. To dziwne, ale to tak jest.

Starszy pan: I jakże pani tę pogardę znosi?

Andrée: O je m'en fiche pas mal. Je me promène avec un air de supériorité, peut-être imaginaire. Czy wie pan nad jakim poematem światowej sławy unosi się to motto?

Starszy pan: Pani była zdenerwowana, a teraz pani jest spokojniejsza.

Andrée: Bardzo mi się podoba, że mówi pan do mnie jak do człowieka. Zresztą pan nawet nie wie, jak pan na tym skorzysta. Ale proszę mi powiedzieć kto to był Kamil Arago?

Starszy pan: Kto był Kamil Arago? — Nie wiem.

Andrée: No, przecież jak pan tu przyszedł, to pan mówił: Kamil Arago, Kamil Arago.

Starszy pan: Tak, ale nie chcę mówić dlaczego tak mówiłem.

Andrée: (ciepło, grzecznie) No, niechże pan powie. Noc jest taka piękna, morze tak pachnie. Niech pan na chwilę zapomni kim jestem i niech pan mi powie.

Starszy pan: Kiedy ja naprawdę nie wiem kim był Kamil Arago. Jest to tylko rozpoznanie.

Andrée: Jakto rozpoznanie?

Starszy pan (wskazując na ścianę): O, widzi pani, tutaj w tej szczelinie wykuł ktoś napis: Kamil Arago. Litery są tak głęboko wryte, że to już na wieki zostanie. I tylko stąd i tylko dlatego i tylko tyle wiem o Kamilu Arago.

Andrée: To znaczy, że pan miał się z kimś spotkać przy skale z wykutymi wyrazami: Kamil Arago.

Starszy pan: Tak, ale nie chcę o tym mówić. To bardzo osobiste.

Andrée: Rozumiem, moja obecność profanuje wspomnienia.

Starszy pan: Moje dziecko! Wybacz, ale trochę tak. Zresztą nie gniewaj się. Jesteś czarowna jak ta noc i jak to morze. Zresztą ja sam do siebie mam taką samą teraz pogardę, jak pani do swego zawodu. To upokorzenie straszliwe być emigrantem z własnego kraju. Więc niech pani słucha. Dwadzieścia pięć lat temu rozstałem się tutaj z moją żoną i przy tym rozstaniu wziąłem od niej słowo, że po dwudziestu pięciu latach o godzinie 5 wieczorem, to jest o godzinie naszego rozstania przyjedzie tutaj znowu i będzie na mnie czekała. To był mój jedyny warunek przy zgodzie na separację, której ode mnie żądała. Byłem tutaj o piątej, nie było nikogo, więc przyszedłem raz jeszcze.

Andrée: A przez te dwadzieścia pięć lat pan jej nie spotykał?

Starszy pan: Nie, wcale nie. Jestem Węgrem, ona była Rumunką, więc po rozstaniu wyjechała do Rumunii i wyszła za mąż, ale mąż jej był ministrem i został rozstrzelany przez bolszewików. Dziecko nasze urodziło się już po naszym rozstaniu, ale to dziecko było moje, ona mi to sama powiedziała. Od wejścia wojsk bolszewickich nie miałem żadnej wiadomości ani o niej, ani o dziecku. Zresztą ja sam także chciałem tego rozstania, tylko teraz kiedy jestem takim śmieciem ludzkim, człowiekiem z psim paszportem, przychodzą mi do głowy różne wspomnienia. Jak jako podłotek jeszcze była przedstawiona królowej Carmen Sylvi, przypominam sobie jej paluszki na klawiszach fortepianu, jak jeździliśmy konno przy świetle księżycy, jak po ślubie u nas na wsi stała na ganku, a dziewczęta wiejskie składały jej kwiaty i dygały przed nią. To wszystko było częścią życia, które kiedyś było jak powietrze, jak coś naturalnego, na co się nie zwraca uwagi, a dzisiaj do każdej takiej drobnostki tak się tęskni. Zatopiony świat, świat zatopiony w marzeniach

sennych. To wszystko co mam do powiedzenia. ... To bardzo mało.

Andrée: To bardzo dużo.

Starszy pan: Tak, to bardzo dużo.

Muette (pojawia się).

Andrée: (przestraszona) Muette, Muette!

Muette: Czego chcesz?

Andrée: Nie zrób mu nic złego.

Starszy pan: Nic złego? — Ta śliczna panienska miałaby mi zrobić coś złego. Dlaczego? (Wstaje, zbliża się do Muette i patrzy jej w oczy).

Andrée: Muette, mnie na nim zależy, Muette, pamiętaj na nasze koleżeństwo.

Starszy pan: Ty byłąbyś rozbójniczką. Może masz rewolwer, lub nóż, aby mnie zamordować. (Głaszcząc ją po włosach). O jak stoję, to jestem wyższy od ciebie i silniejszy. O, siadaj tu koło mnie na ławce, a teraz ja się odwrócę, i patrzeć nie będę, możesz wydobyć jaką chcesz broń i pchnąć mnie spokojnie, bronić się nie będę. No, co masz rewolwer, wyciągnij go z torebki.

Muette: Mam zastrzyk.

Starszy pan: (odwraca się rozbawiony). Naprawdę jesteś bardzo miła. Obie jesteście bardzo miłe i takie ładne. No gdzież jest ten zastrzyk? Masz, kładę ci ręce na kolanach i daję słowo madziarskiego szlachcica, że ich nie poruszę w swojej obronie. Rób co chcesz. Czy wiesz, że jestem ten Węgier, który ciągle wygrywa i całą dzisiejszą wygraną mam w portfelu. No, mała, czego czekasz. Decyduj się wreszcie. Odwagi!

Muette: No, odwagi mi nie brak.

Starszy pan: Nie brak ci? Czy masz naprawdę odwagę i powagę.

Muette: Kiedy pan nie ma pewno pieniędzy przy sobie.

Starszy pan: Właśnie, że mam, mam bardzo dużo. O, ja nie ruszę rąk z twoich kolan, zresztą one są tak miłe ciepłe twoje kolana, a ja się trochę koniaku napiłem, a ty wyciągnij mi portfel z kieszeni marynarki i zobacz, że mam dużo pieniędzy.

Muette (wkłada rękę do kieszeni wewnętrznej marynarki).

Andrée: Muette!

Starszy pan: Ach zabierzcie sobie te pieniądze. Albo raczej wcale nie, — nie pozwolę się okraść. Muette, żeby zabrać mi te pieniądze musisz użyć swego zastrzyku, inaczej nie dam ci ani grosza, rozumiesz, ani grosza. Ale, słuchaj, czy to ty jesteś ta Muette zaklinaczka, co umie zakląć, aby człowiekowi zdarzyło się to, o co mu chodzi.

Muette: Zaraz zobaczymy, jak się pan nazywa. Oto jest pański bilet wizytowy. Andrzej Szandossy.

Andrée: Andrzej Szandossy.

Muette: Tutaj są pieniądze. Rzeczywiście, ma pan ich dużo. A tutaj taka skrytka w portfelu.

Starszy pan: Nie ruszaj tego.

Muette: Powiedział pan, że pan będzie siedział spokojnie, do-

póki nie będę pana okradać, więc niech pan siedzi spokojnie. Ja pieniędzy nie ruszam. Oto w tej skrytce jest inny bilet wizytowy. Jaki brudny! Napisano: Andrzej baron Szandossy Epenszony, koniuszy dworu Jego Królewsko Apostolskiej Mości.

Andrée: (zaglądając) Teraz już się tak nie pisze. Jakież to strasznie stare. Andrzej Szandossy. Baron Szandossy Epenszony.

Starszy pan: No Muette! Wkładaj portfel z powrotem i teraz zaklinaj aby spełniło się to, po co tu przyszedłem.

Muette: A po co pan tu przyszedł?

Starszy pan: (silnie akcentując) Po wywołanie z powrotem przeszłości.

Andrée: Dobrze, ona panu wywoła zjawę przeszłości, ale niech pan patrzy na mnie.

Starszy pan: Czy dlatego, aby jej ułatwić zastrzyk z tyłu. No, ale odwracam się od niej i nie widzę co ona robi, patrzę na ciebie.

Andrée: (wstaje z ławki i stoi z prawej strony starszego pana). Czasem się życie dziwnie układa.

Muette: (stoi z innej strony ławki i podnosi rękę). Oto zaklinam.

Starszy pan: Niech tu do mnie przyjdzie moja przeszłość.

Muette: Niech przyjdzie do pana pańska przeszłość.

Starszy pan: W jakiegokolwiek formie.

Muette: W jakiegokolwiek formie.

Andrée: W formie o której pan przed chwilą marzył, ta przeszłość przyjść nie może. Żona pańska umarła dwa lata temu w Jassach. Ale pozwól pan, że się przedstawię. (Dyga). Jestem baronówna Szandossy Epenszony... pańska córka... prostytutka.

Muette: (patrzy na oboje, potem wybucha śmiechem). Ha ha ha, ha ha ha.

Siżyś

Renacie OSTROWSKIEJ.

Montaż sceniczny. Osoby mówią przeważnie zdaniem, zaczerpniętymi z listów Zygmunta Krasińskiego do Delfiny Potockiej.

OSOBY.

Poeta.

Delfina.

George, w tej sztuce, wbrew prawdzie historycznej, była kochanka poety.

Dr Pagello, były kochanek George, lekarz z Wenecji.

Oberżysta.

PROLOG.

Przed opuszczoną kurtynę wychodzi aktorka grająca Delfinę, w białej muślinowej sukni, skrojonej według mody 1844 i deklamuje wiersz Krasińskiego:

Wzywam Cię w boskiej wspomnienia godzinie
 Stań tu przede mną, nim ta chwila minie
 Stań tu przede mną — lecz jak wtedy — cała.
 Lekki szaty, błękitna i biała.
 Z dumy ponurym na ustach znamieniem
 Ze smutku na czole niewymownym cierpieniem
 Piękna w tym smutku i dumie zarazem
 Na pół stworzona potęgi obrazem
 Na pół nieszczęścia. ... O stań tu przede mną
 W tej samej chwili raz jeszcze bądź ze mną.
 Niech głos Twój słyszę, niech ujrzę Twą postać
 Choćbym miał potem w wiecznym szale zostać,
 I wołać wiecznie: "gdzie ona, gdzie ona,
 Ta cudna moja, — ta moja stracona".

SCENA PIERWSZA

(Dzieje się przeszło sto lat temu, w górach nad Sorrento, niedaleko Neapolu, w izbie domostwa, które dawniej było pustelnią, a w chwili toczącej się akcji rodzajem małego hotelu dla turystów. W izbie są tylko krzesła z siedzeniami ze stomy, stół większy i stolik. Przez okna widać morze i Wezuwiusz).

George: (siedzi przy stoliku i ustawia zamysłoną domek z kart. Gdy go ustawiła, dmucha i domek się wywraca. George zaczyna ustawiać nowy).

Oberżysta (wchodzi: Dzień dobry pani baronowej).

George: Dzień dobry, ojciec Michale. Nie wiecie gdzie poszedł pan hrabia?

Oberżysta: Do Trente Tre.

George: Co to jest Trente Tre?

Oberżysta: Jako pani nie wie? To jest najślawniejsze miejsce na świecie i w królestwie Obojga Sycylii. To tam, gdzie mniszki przepowiadają wszystko ludziom. Dziś przepowiada siostra Agnieszka, która jeszcze nigdy nie skłamała. O! jak można nie wiedzieć o Trenta Tre. Ten dom był kiedyś pustelnią w której mieszkał kapelan, spowiednik siostr z Trente Tre. Pan hrabia pojechał tam na moim osle, powinien zaraz już wrócić, droga jest kamienista i trudna. (Zabiera się do wyjścia, ale od progu jeszcze się zatrzymuje i mówi): O jak można nie słyszeć o Trente Tre. Wszyscy, którzy tu przyjeżdżają, przyjeżdżają tylko dla Trente Tre.

George: No! przyjeżdżają także dla tych widoków, dla morza, dla Wezuwiusza...

Oberżysta: O Trente Tre jest sławniejsze, o wiele sławniejsze!

George: A co było dziś na sygnałach telegrafu na Monte Toro?

Oberżysta: Karabinierzy mi mówili, że jakaś wielka persona, znajoma samego króla jegomości jedzie w kierunku Sorrento. W południe już była w Castelammare di Stabia, a więc wieczorem będzie w Sorrento. Karabinierzy mają pilnować, ażeby coś się nie stało.

George: A wiecie kto to taki?

Oberżysta: Nie, mają dać nową wiadomość o piątej po południu.

Scena II

Poeta (wbiega): O Boże Miłosierny, miłosierny Boże!

George: Cóż się stało?! Uspokój się na litość Boską.

Oberżysta: Co? jakaś zła wiadomość od siostry Agnieszki...

Poeta: Ona w śmiertelnym niebezpieczeństwie! Śmierć stoi za nią. O Diale, Diale!

Oberżysta (wychodzi).

Poeta: (chwyta się za głowę, potem odrzuca dłoń i mówi głosem złamanym) A więc słuchaj! Pcszedłem do Trente Tre. Jakby naumyślnie wiatr położył się, przycisnął morze do skrzydeł i śpi niewzruszony, prawie bez oddechu. Pogoda zaczęła błyskać kawałkami błękitu po niebie. Oliwne drzewa miały z daleka połysk czarnych włosów. Biały klasztor nie mrużąc ocz pił światło słońca. Tam przez kratę widziałem tylko profil jej kaptura.

George: Czyjego kaptura?

Poeta: No jej, siostry Agnieszki, zakonnicy, przepowiadaczki.

George: No i co dalej?

Poeta: Powiedziała mi, ... powiedziała mi: ona jest w wielkim niebezpieczeństwie; śmierć stoi za nią.

George: Kto!

Poeta: Właśnie wykrzyknęłam swe pytanie: kto, a ona na to wyraźnie dobitnie, skandując sylaby: contessa Delfina. Zrozum: contessa powiedziała po włosku, a wyraz Delfina powiedziała po polsku, lub prawie po polsku.

George: Cóż teraz zrobisz? Wyjedziesz do Neapolu?

Poeta: Liście drzew rozbijał wicherem nie są tak rzucane i pomiatane, jak każda kropla krwi mojej... Chciałbym mieć przed sobą tablicę z lawy czarnej, z rozczzerwionego żelaza i palec umoczywszy w krwi serca mego pisać na niej rozpacz moją... O mózg mi się przemienił na gniazdo robaków skrzydlatych szaleństwem... Czemuż kubek trucizny nie stoi na tym stole przede mną. Diale, Ty o półtora poczty tylko daleka, a jednak tak oddzielona... Dusza moja naciągnięta jest teraz w stronę Neapolu. Takem słaby i nieswój, że wiatr mógłby rozkraść mnie na różne strony, ponieść cząstki bytu mego do gwiazd, drugie rzucić w morze, inne w głąb ziemi zakopać, by z nich wyrósł kwiat smętny, kwiat czarny o brzegach pasowych,

kwiat, który w głębi kielicha nosić będzie imię Twoje, o Diale...

George: Mówiłeś, że jutro lub pojutrze ona wyjedzie z Rzymu do Neapolu, mówiłeś, że nie spodziewasz się jej ujrzeć przed kilkoma tygodniami.

Poeta: Tak, właśnie czekam na list od niej z wiadomością, czy wyjedzie z Rzymu jutro, czy pojutrze... (słychać szczekanie psów). O! słuchaj psy szczekają na dziedzińcu, może to sztafeta... Ucichły... Dobre łaskawe psy, moment na pół szczęśliwy mi dały. O, psy, szczekajcie jeszcze, proszę was. Ile razy zazszczekniecie, będę myślał, że Diale pamiętała o mnie, będę szczęśliwy przez pół sekundy, psy moje, szczekajcie, że...!

George: Siżyś, a możebyś się lepiej uspokoił, gdybyś zaraz do niej wyjechał? To przecież nie tak daleko, do Neapolu. Dziś jeszcze tam zdążysz.

Poeta: Do Neapolu... Nie, to niemożliwe. Zbyt jestem zmęczony. Ze środy na czwartek jechałem noc całą, we czwartek synapizm. Tej nocy źle spałem.

George: (tudąc się do niego) Siżyś, wiesz, że tu przyjechałam, bo kocham ciebie nadludzko. Oceń mnie i miłość moją tym, że cię wysłałam do tamtej kobiety, aby ukoić rozterkę twoją.

Scena trzecia

Dr Pagello: (wchodzi i zwraca się do George) George.

George: Ty... skąd tu się wziąłeś?

Pagello: A gdybym powiedział, że przyjechałem za tobą.

George: Wiesz dobrze, że między nami wszystko jest skończone.

Pagello: A jednak mam zamiar zamieszkać tu, w tej pustelni kilka dni i chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu.

George (wzruszając ramionami) Nie mogę ci tego zabronić, skoro ten hotelik nie jest moją własnością, ale powinno ci wystarczyć, że gdyby to był mój dom, to bym cię nie zaprosił.

Poeta: (uprzejmie i chłodno) Dyskusja jest bezprzedmiotowa, ponieważ wynajęłam całość tej oberży poza pokojem pani George.

Pagello: A więc dowiedz się pan, że przyjeżdżasz tu jako lekarz, któremu pieczę zlecono nad zdrowiem i bezpieczeństwem hrabiny Delfiny Potockiej, która niebawem tu zjedzie.

Poeta: Delfina tu przyjedzie! Diale, Didysz — to niemożliwe, ja oszaleję.

George: Jesteś lekarzem osobistym hrabiny Potockiej? Od kiedy to?

Pagello: Będę nim. Różne role spełniałem w życiu. Byłem nawet poprzednikiem tego polskiego hrabiego w stosunku do ciebie.

Poeta: (znów chłodno): Panie doktorze! Domyślam się nawet nazwiska pańskiego, ale pozwól pan sobie powiedzieć, że znakomita pisarka, która mnie zaszczyca swoją znajomością i zau-

faniem będzie miała we mnie obrońcę przed niewłaściwymi, czy niezgrabnymi aluzjami.

Oberżysta (wbiega): Signore. Karabinier przyszedł mi powiedzieć, że znajoma naszego króla przyjeżdża tu, do tej pustelni. Sygnały telegrafu podają, że będzie tu za pół godziny.

Poeta: Biegnę na jej spotkanie. George! Biegnij za mną. — (Wychodzą).

Scena czwarta

Oberżysta (chce wyjść za nimi).

Pagello: Zostańcie, tu, słyszycie, ojcie Michale.

Oberżysta: O co chodzi?

Pagello: Która jest godzina?

Oberżysta: Piąta dochodzi.

Pagello: Głupi jesteś. (Z naciskiem). Dobry kuzynie, drugi zwiadowco, która jest godzina?

Oberżysta: O święta Maryjo zlituj się nade mną. Panie! jam stary, jam dawno z tego wszystkiego wyszedł, ja już jestem wolny.

Pagello: Dobry kuzynie, drugi zwiadowco, która jest godzina.

Oberżysta: Czcigodny... czcigodny wielki wybrany, niech dzwon dzwoni ze wszystkich stron i rozdzwania wszystkie głębiny naszej groty. Niech zbudzą się wszyscy ze snu i staną się wolni.

Pagello: Drogi kuzynie, drugi zwiadowco, o której godzinie winny się zacząć roboty tajemne.

Oberżysta: O północy, czcigodny wielki wybrany, kiedy lud zbudzi się przeciw tyranii, gotów do uderzeń wielkich.

Pagello: Dobrze. Możesz iść. Przygotuj mi tu pokój.

Oberżysta: Raczcie się zlitować panie. Ja już jestem za stary.

Pagello: Bez głupich stękań. Wiecie czym to pachnie. O, słychać galop kawalerii. To hrabina. Idź na jej spotkanie, wprowadź ją tutaj, a potem wynoś się jak najprędzej.

Oberżysta (idzie w kierunku drzwi).

Pagello: Poczekaj. Tu w tym domku kto śpi?

Oberżysta: Tylko hrabia i pani baronowa. Służący hrabiego śpi w tej oficynie za skałą, razem ze mną. Pani baronowa żadnej służby ze sobą nie przywozła.

Pagello: Hrabina przywozi ze sobą dwie panny służące. Umieścisz je także w tej oficynie. W tym domu ma spać tylko tych dwoje co są, hrabina i ja. Zrozumiałeś?

Oberżysta: Zrozumiałem. O Chryste Panie. O św. Teobaldzie.

ODSŁONA II

Scena pierwsza

(Ta sama izba, tylko wieczorem, na stole stoją zapalone świece.

Stół nakryty do kolacji, stoją włoskie fiaska z winem, kolorowe, fajansowe talerze, etc.).

Poeta: (stoi o krok od Delfiny, ma do niej wyciągnięte ręce) Dially — tyś bóstwem i dobrem jesteś dla mnie, ale zarazem, na zawsze, świat ten cały, mniej piękny, niż ty, zatrulaś mi swej piękności wspomnieniem. Wszystko mi się wydaje głupstwem, bom mówił z Tobą; — wszystko kakofonią, bom słuchał twego śpiewu; — wszystko brzydota, bo rysów twoich się natrzyłem; — wszystkim pogardzam, bo znam ciebie; — wszystko mi mdłe, bo kochałem Ciebie.

Delfina (bierze jego dłoń):

Warzyła myszka jagielki,
Dzieciom warzyła.
W ogoneczek się sparzyła.
Temu dała na miseczce,
Temu dała na łyżeczce,
Temu dała bo wodę nosił,
Temu dała, bo ładnie prosił,
A temu nic nie dała,
Łebek urwała,
I do norki poleciała. (Łaskocze go).

(Wchodzą George i Pagello).

Delfina (do Pagello). A mój obrońca przed przeziębieniem, przedziedzeniem, porwaniem przez bandytów i vendettą karbonariuszy.

George: Czekamy, aż pani zaprosi nas do stołu.

Delfina: Ależ broń Boże, to pani jest tu gospodynią. Ja tu przyjechałam na jedną noc.

George: Na jedną noc?

Poeta: (bierze obie kobiety pod ręce) A więc do stołu, piękne panie, głodny jestem jak wilk.

(Wszyscy siadają i zaczynają jeść kolację).

Delfina: Major Churchill przysięga się, że widział na własne oczy owego Anglika, co wynalazł, czy odkrył sposób sztucznego umierania, czy powrotu do życia. Tak tę rzecz opowiada: Ów Anglik ma ojca, on tylko i ojciec wiedzą tajemnicę. On w zamkniętym pokoju śmierć zadaje przy ojcu; gdy przychodzi z trumną już go umarłym, bladym, zimnym, jak lód zastają. — Nozdrza, uszy, usta ma szczelnie pewnymi ziołami zamknięte. Trupa tego kładą do trumny i trumnę zagważdżają. Magistrat, policja przytomne, — angielscy żołnierze odprowadzają pogrzeb na cmentarz i tam pod ziemię, w dół zakopują trumnę. Policja przez trzy tygodnie daje strażników, którzy dnem i nocą czuwają nad grobem. Po trzech tygodniach grób rozwalają, trumnę do ojca odnoszą, odgważdżają, wydobywają trupa, który leży blady i zimny, jak przedtem, z tą tylko różnicą, że kto na tył głowy położy mu rękę, to musi zaraz ją odjąć takie tam parzące gorąco. Ojciec się znów z synem zamyka i on po trzech dniach

wszystkich przyjmuje w łóżku, już zupełnie odżyły, przytomny, tylko osłabiony, a po kilku dniach innych już się przechadza po ulicy.

Poeta: To kto ci to opowiadał, przepraszam, nie słyszałem?

Delfina: Major Churchill.

Poeta: Też, masz się z kim zadawać.

George: Wszystko iże, oczywiście.

Delfina: Poznałam go u Donny Rachele dokąd jeździłam z królewiczem przenizywać moje perły na inny sznurek.

Poeta: To teraz Infant twoje perły przenizuje. Oj, Dially, Dially, wiesz jak nie lubię, jak kto inny dla ciebie to robi, co ja kiedyś robiłem.

Delfina: Księciu Kalabrii zawdzięczam także kawaleryjską eskortę, która mnie tu odstawiła, a on mnie sam konno odprowadził do pół drogi pomiędzy Torre del Greco, a Torre Annunziata. Zawdzięczam mu także wysłanie tu doktora Pagello.

Pagello: Ale te swoje słynne perły zostawiła chyba pani w Neapolu?

George: U kogo? Może u księcia Kalabrii, aby Jego królewiczowska Mość przegrał je w karty.

Delfina: Przeciwnie, mam je na szyi. Czyż pan nie widzi?

Pagello: Przyznam się, że myślałem, że to imitacja tamtych, prawdziwych.

Delfina: Mam nadzieję, doktorze, że pan je ustrzeże przed porwaniem przez karbonariuszy, których tak nienawidzi książę Canoso. Jaka jest różnica pomiędzy karbonariuszami, a kalderariuszami i santfedystami?

Pagello: Różnica jest zasadnicza. Kalderariusze to tajny związek stworzony przez policję neapolitańską dla walki ze związkiem karbonariuszy, a santfedysty dla tych samych celów stworzeni zostali przez policję rzymską w państwie papieskim.

George: A karbonariusze przez jaką policję są opłacani.

Pagello: Karbonariusze żyją z rabunków.

Poeta: Opłacani są przez Anglików. Nie wierzę w ogóle w żadną rewolucję. Wszystkie knowania przeciwko królom opłacane są przez złoto angielskie. Przyjdzie jeszcze czas, kiedy nie będzie ani jednego króla w Europie na tronie, będzie tylko król angielski. Nie można teraz dłużej jechać dyliżansem, aby cię ktoś nie jedną do jakiejś wenty, czy jakiejś łoży. Do żadnej wenty nigdy należeć nie będę.

Delfina: Bo wolisz czas cały obrócić na pisanie listów. Nawet wiem do kogo.

Poeta: O Dially! Wiem, że wdzięczniej będą przyjęte w Neapolu, niż w Afryce Południowej.

George: Marzę, aby pojechać do Afryki. Tak mnie pociąga pustynia, bezkresne obszary martwoty, piasku, kamieni, bezruchu, śmierci.

Delfina: O! To ja wolę życie. Pamiętam, jak objeżdżałam z mężem jego wsie. Od Husiatyna przez Tulczyn do Humania. To więcej niż cała Burgundia. Było właśnie przed żniwami i ciągle

był wiatr i ciągle tylko zboże i zboże, i zboże i zboże przez ten wiatr wzdymane w górę i chylone ku ziemi.

George: Ile mąż Pani ma niewolników?

Delfina: Nie mam pojęcia, zresztą u nas nikt nie mówi: niewolników, to nie są niewolnicy.

George: Skoro można ich sprzedawać jak zwierzęta, więc są niewolnikami. Ale ile mniej więcej należy ich do męża pani?

Poeta: Ja ci powiem. Mąż Delfiny ma 11 miast, 104 wsie i 176.180 dusz ludzkich.

Delfina (ubawiona) **Siżys!** Skąd ty taki praktyczny. W Kuryłowiczach mama chce zmienić rządzącego Niemca, może chcesz objąć posadę tego Niemca.

George: To obrzydliwie być aż tak bogatym.

Pagello: A ten pani naszyjnik z pereł także jest bardzo słynny. Czytałem o nim w gazetach.

Delfina: Tak, to Anna z Potockich wniosła go w posagu Franciszkowi Salezemu. Szczęsny go ofiarował Zofii Wittowej, a potem Mieczysławowi, a Mieczysław mnie. W dom Potockich wszedł przez Łaszczów, a Łaszczowie go skądys dostali, z Krymu, czy ze Stambułu, nie pamiętam. W każdym razie jeszcze za czasów Władysława piątego. Ale to panu i tak nic nie mówi, panie doktorze.

Poeta: Mnie także nic nie mówi, bo nie było żadnego Władysława piątego.

Delfina: Jakto, nie było?

Poeta: Był tylko Władysław Czwarty.

Delfina: Nie wszystko jedno. Siżys, nie bądź pedantem. Dość, że pereły są moje, a nie pani Kisielow, czy pani Woroncow.

Poeta: Ale kolacja już zjedzona.

George: Prawda, pani Delfina przyjechała tu tylko na jedną noc. Niech każdy weźmie jedną świecę (bierze świecę). Ach ta magnateria, która przez snobizm przyjeżdża mieszkać do tej nory w której jednego łóżka nie ma wygodnego.

Pagello (także bierze świecę i wychodzi przez inne drzwi, niż George. Na stole zostają trzy świece)

Delfina: Boże! Trzy świece! Siżys, zgaś jedną jak najprędzej.

Poeta: (gasi jedną świecę), **Dialy...** Ty... byłaś kiedyś kuryłowicką panienezką z motylami skrzydłami, tak jak Grecy malowali swoją Psyche; ... potem pani Potocka paryska w turbanie maurytańskim, obwisa strugami pereł białych, świetna szmaragdów polskiem; harda, podbijająca, panująca po salonach, a płacząca w domu; ... wreszcie Dialy rzymska, smętna, wysmukła, pijąca w powietrzu woń jaśminową i kochająca się w luciolach tańczących na łące, zakochana w Kampanii, w przechadzkach albeńskich, w żaglach- duchach na jeziorach, we wstążkach ścieżek.

Delfina: No i co?

Poeta: (zmieniającym się głosem) O ty lekka, jak wiązka kwiatów, o! uderz ustami w usta moje i spadnijmy razem ze skały wysokiej w morze.

Delfina: (obejmując go). Dlaczego ze skały wysokiej w morze ... Siżys ... kiedy możemy pójść do Twego pokoju?

Poeta: (całkiem zmienionym, całkiem nieswoim głosem) Wiesz... wiesz... co byłoby strasznie, strasznie lubieżne, niesamowite, rozkoszne. Oto gdyby Twoja twarz, twarz posagu bogini greckiej zmieniła się nagle w twarz kapłanki tybetańskiej, gdyby ci nagle kości policzkowe, brutalnie, bezczelnie się poszerzyły, gdyby usta się ścisnęły i stały się zagadkowe, gdyby oczy... oczy... oczy, gdyby stały się skośne.

Delfina (przechylając twarz tak, że z widowni jej nie widać). Czy tak? **Poeta** (chrypliwym głosem) **Dialy!!!** (porywa ją i wynosi z pokoju).

ODSLONA III.

Scena pierwsza i jedyna.

(Ta sama izba, tylko stół sprzątnięty, na stole pali się jedna świeca. Wchodzi George na palcach, skradając się, z dwoma pistoletami jednostrzałowymi, takimi jakich się obecnie używa do pojedynków. Kurki pistoletów są odciągnięte. Siada na krześle pod ścianą, przedtem jednak bierze inne krzesło, przysuwając je pod ścianę i kładzie na nim jeden z pistoletów, sprawdzając czy piston nie spadł. Gdy już siedzi, to trzyma drugi pistolet przed sobą, gotowy do strzału. Wszystko to robi ruchami bezszelestnymi, widać, że na kogoś czatuje.

Po pewnym czasie we drzwiach z innej strony pojawia się postać w rodzaju czarnej togi i w masce jedwabnej, czarnej zakrywającej całą twarz.

(Cała następująca scena ma być odegrana szeptem).

George: (wstaje z krzesła, wymierzając pistolet) **Pietro...** głupcze i błaznie ... zdejm tę głupią maskę, jeśli ci życie miłe.

Pagello: (zatrzymuje się).

George: Słyszysz błaznie nikczemny, złodzieju, zdejm tę maskę. Myślisz, że zapomniałam, że należysz do tej błazeńskiej mafii, myślisz, że nie zrozumiałam, żeś przyjechał tu ukraść tej kurwie jej pereły. Zdejm maskę, bo strzelam; znasz mnie, wiesz, że strzelę, kiedy to obiecuję; ... liczę do trzech: raz, dwa...

Pagello: Jeśli mnie poznałaś, to maska i tak nie ma znaczenia. Mogę ją zdjąć, lub nie zdejmować.

George: Zdejm maskę, kanalio, bo strzelam, raz...

Pagello: (wzrusza ramionami i zdejmując maskę).

(Tuż za oknami słychać wystrzał i zaraz dwa następne).

George: Co to!

Za drzwiami głos poety: Co tam?

Pagello: (rzuca się do okna) Słuchaj, jestem zgubiony, to oberzysta widać mnie zdradził. Karabinierzy idą tutaj tyralierą. Widać ktoś z nich strzelił, aby mnie ostrzec.

George: Uciekaj stąd, bo cię wydam karabinierom.

(Na progu ukazuje się poeta w szlafroku. Pagello wybiega przez drzwi).

ODSLONA IV.

Scena pierwsza

(Izba ta sama, jest dzień, na krześle siedzi George i znów ustawia domek z kart. W chwili, gdy w niego dmucha, w drzwiach pojawia się Pagello).

George: (porywa się z krzesła) Co to jest, znowu ty, jak śmiesz?

Pagello: George. Zlituj się nade mną. Wszystkie osiedla tutaj należą do kalderonów. Nasza wenta jest spalona. Karabinierzy i kalderoni polują na mnie. Moi nic nie mogą mi pomóc, sam ksiązę Canoso przez telegraf kazał mnie wziąć żywego, czy umarłego. George, schowaj mnie tutaj...

George: Ty, podły tchórze, nie wstydzisz się skamleć o litość u mnie ty... ty... ośmieszysz mnie wczoraj swoją maską i swoim złodziejstwem.

Pagello: George, wiesz, że jestem karbonariuszem, a nie złodziejem, musiałem robić to, co mi kazano. Złodziej to ten, kto kradnie dla siebie, a nie dla tajnego związku. Jak mnie złapią to wydadzą mnie na tortury, a potem wydadzą śmierci.

George: Dwuch karabinierów w pokoju obok gra w karty. Jeśli natychmiast nie wyjdiesz, zawołam ich.

Pagello: George, kochałaś mnie kiedyś. Wydadzą mnie na śmierć.

George: (krzyczy w uniesieniu) Ty...!

Pagello (ucieka).

Scena druga

Poeta (wchodzi): Co to jest George, zdawało mi się, że krzyczałaś.

George: Ten błazen był tu znowu.

Poeta: (uśmiechając się) Tak, to rzeczywiście było nader buffo. I ta maska i ta chęć złodziejstwa i te twoje pistolety...

George: I to, że on był moim kochankiem, chciałaś powiedzieć. To jest największe buffo.

Poeta: Ależ George, uspokój się, nie miałem przez chwilę na myśli ci dokuczyć. Mówmy o czym innym. Albo chcesz się przejść. Muszę ci powtórzyć komplementy, które o Tobie od Delfiny słyszałem.

George: To także buffo, nie uważasz.

Poeta: (bierze ją pod rękę i wyprowadza).

Scena trzecia

Delfina (wchodzi, podchodzi do kart z których George ustawiła domki, bierze jedną z nich i przypatruje się jej. Coś do siebie nieusłyszalnie szepcze).

Pagello (pojawia się znowu we drzwiach).

Delfina: (tonem zdziwionym) A pan doktor znowu łaskaw, czy znów po perły?

Pagello: Pani! Nie pozostaje mi nic innego, jak odwołać się do jej szlachetności. Wszystko jest otoczone dokoła, moja ostatnia możliwość uratowania życia, to schować się na strychu tego domu. Pani, chciałem zdobyć twoje perły, to prawda, ale przecież nie jestem złodziejem, ale karbonariuszem, który walczy o wolność i zjednoczenie Italii i innych narodów uciemionych; wielu rodaków twoich, o pani, jest wśród nas.

Delfina: Przecież wiecznie pan na strychu siedzieć nie możesz.

Pagello: Chodzi o kryjówkę tylko do wieczora. Jak noc na-dejdzie, ludzie z mojej wenty obiecali mnie uratować. Za dnia tego uczynić nie mogą. Dokoła tej oberży stoi łańcuch karabinierów i kalderonów.

Delfina: Ach, tylko do wieczora, to sprawa łatwusienka. Posiedzisz pan w mojej sypialni. Tylko boję się, że nudzić się pan będziesz kapitalnie...

Pagello: Pani żartuje.

Delfina: Dlaczego mam żartować. O, jaki pan jest zdenerwowany. Chodźmy. Może pan chce jakichś kropel. Przyniosę panu zaraz filiżankę herbaty.

(Pukanie we drzwi).

Delfina: Nie można. Kto tam.

Oberżysta: To ja z polecenia pana porucznika karabinierów.

Delfina: Zaraz. Poczekajcie. (Szepcem) Chodźmy. (Wychodzi z Pagellem).

Scena czwarta

Delfina (wraca) Proszę wejść.

Oberżysta (wchodzi): Pani hrabino. Porucznik karabinierów pyta się panią, czy może przeszukać ten dom w pogoni za dr Pagello, który chciał ukraść perły pani hrabiny.

Delfina: Nie może.

Oberżysta: Jakto?

Delfina: Co, jakto? Idź i powiedz mu, że jutro ja wyjadę i będzie tu mógł szukać ile mu się podoba. Dzisiaj sobie tego nie życzę. No idź już.

Oberżysta (wychodzi. Po dłuższej chwili znowu puka).

Delfina: Kto tam, proszę wejść.

Oberżysta (wchodzi): Pani hrabino. Porucznik karabinierów mówi, że z samego Neapolu przez telegraf kazali mu przeszukać ten dom.

Delfina: Wyjdź raz jeszcze i powiedz mu wyraźnie, że jutro wyjeżdżam, i że może jutro sobie szukać ile sobie zechce, ale jeśli dziś poważy się tu wstąpić, to poskarżę się jutro samemu królowi jegomości.

Oberżysta (wychodzi, za chwilę znów pukanie).

Delfina: O Santa Maria del Pilar. Co tam znowu, czy dacie mi pokój wreszcie.

Oberżysta: Pani hrabino. Porucznik się pyta, czy może sam osobiście porozmawiać z panią hrabiną.

Delfina: Powiedz mu, że jeśli jeszcze raz ciebie tu przyśle, to dziś jeszcze pojedę poskarżyć się królowi na jego grubiaństwo. Ty dostaniesz sto batów, jeśli nie przestaniesz ciągle puścić.

Scena piąta

(Oberżysta wychodzi, wchodzi poeta i George).

Poeta: Dially, przynoszę ciężką dla siebie wiadomość. Dziś jeszcze przed wieczorem muszę opuścić to ustronie. Dostałem list od ojca.

Delfina: I cóż ci ojciec pisze?

Poeta: Kategoriecznie i ostatecznie wymaga i żąda, abym natychmiast do Karlsbadu przyjechał oświadczyć się o rękę, wiesz czyją... panny Elizy Branickiej.

George: Co takiego... I czemuż ty masz go słuchać... jesteś przecież dawno pełnoletni.

Poeta: Czy znacie pyszne słowa Jezusa... Nie wiem jak to przetłumaczyć: ne cassez pas le roseau brisé, n'éteignez pas la mèche fumante. — Dially, sercem ci moje oddałem na wieki, w tym zaś w czym konieczność mną rządzi, w tym co zawisło od przepaści naszych przeszłości i przyszłości, do których się nie przykładałem, bo były przede mną i przyjdą po mnie, w tym niewolny jestem.

Delfina: Mówiłeś to mi już. Kiedy chcesz jechać?

Poeta: Dziś wieczorem. Muszę.

Delfina: Dziś wieczorem. Ja obiecałam, że zostanę tu do jutra i z pewnych względów nie mogę dziś wieczorem wyjechać.

Poeta: Dially. Opowiem ci anegdotę, po której wyniesiesz to wrażenie, jakie na mnie wywiera ona i jakie ja na nią wywierać muszę. Kiedyś wieczór poprowadziłem w dom jej rodziców starą Wąsowiczową z Tyszkiewiczów. Baba przez dwie godziny opierała się na rękę mojej. Siedliśmy wszyscy do okrągłego stołu. Jej ojciec bawił się końcami swej chustki szyjnej, kompletnie szczęśliwy, że żyje. Wąsowiczowa i ja przepatrywaliśmy owe wieczne albumy, które trzymała nam panna Eliza przed oczami, przewracając z wolna ich kartki. Trzeba chwalić, ja nie umiem, więcem milczał. Wąsowiczowa za siebie, za mnie i za stu innych chwaliła. Kartki jedne ubywały za drugimi w tym nadpłynęła jedna, wystawiająca kobietę samotną, siedzącą przy szerokim oknie, w białej odzieży, za oknem zaś jezioro smutne i świat dziki. Ja zatrzymałem pannę Elizę, która dalej chciała kartki odwracać i zacząłem mówić: to się pani udało, zupełnie udało. Nie przewracaj pani kartki bo to prześlicznym jest. Milczała panna Eliza, nie przerywała mi pochwał, zatrzymała kartkę; jakem patrzył i patrzył, coś z tej akwareli wołało do mnie, że Eliza ma talent, i gdym znowu otwierał usta, by chwalić, rzekła

dziwnym głosem, jakby zasmuconym, ale bez żadnej złości: To nie moje, to pani Delfina malowała i na pamiątkę mi dała. Struchlałem — a wiesz czemu? — Oto dlatego, że mnie w tej chwili uderzyło przeświadczenie o konieczności nieodwołalnej, która moją duszę z twoją spaja. Anim wiedział, że ten obrazek twej ręki dziełem, a on jeden wśród tylu innych przemówił mi do duszy. Tak dalece, że kiedy panna Eliza przestała album przewracać, uczulem potrzebę zobaczenia raz jeszcze mojej Dially białej i siedzącej pod tym wielkim oknem i rzekłem do panny Branickiej: Pozwól mi pani raz jeszcze samemu otworzyć tę książkę, a ona: — dobrze, ale pod jednym warunkiem. — Pod jakim, pani? Że pan mi wymyślisz przedmiot do rysunku. — Zgoda. Oddała mi album. Jam odszedł od okrągłego stolika i szukałem mojej akwareli, ażem ją znalazł i długom patrzył i lży mi się kręciły w oczach i była to dobra chwila.

Delfina: Jest w twym sposobie uważania rzeczy coś zupełnie nie zgadzającego się z moim wyobrażeniem o powinności, szlachetności, delikatności.

Poeta: Dopiero w innym świecie się porozumiemy, tam gdzie egoizmów ziemskich już nie ma — tam się odnajdziemy i tam uznamy żeśmy się głęboko kochali zawsze.

Delfina: Czemu tak słuchasz ojca swego, czy dlatego, że ma ordery?

Poeta: O! to arcydzieło niesprawiedliwości! Gdy pani Bobrowa takie rzeczy mi gada, czuję, że śmiech mnie porywa, bo ona wariatka jest poczęści i nawet fizycznie rozstrojona, lecz kiedy Ty — tak rozumna — tak mnie pojmująca i znająca i sama szlachetna tak dalece, że wiara w twoją szlachetność jest jedynym ze szczęść moich, takie rzeczy mi powtarzasz, to pozwól sobie powiedzieć, że uniosłaś się, że zaślepiłaś się.

Delfina: Więc dziś wieczorem naprawdę wyjeżdżasz?

Poeta: Muszę.

Delfina: No to jedź.

Poeta: Bądź gorzką, bo inaczej być nie może. Ja wszystką twoją gorycz wezmę i przyjmę, wiem, że to nie ty, ale to co otoczyło ciebie, to granice twoje, to nie ty. Ale strach jak smutno mówię dziś, przerzucę się do czegoś innego.

(Wstaje i siada koło nóg Delfiny).

Powiedz mi, czyś sobie wystarała się o domino i maseczkę na festino i jakie wzięłaś, czy to szare podbite różowo, czy to czarne i jedwabne?

Czy nie chcesz, abym do Rospigliosi poleciał i przywiózł ci kilka kameli na festino? — No, kiedy nie chcesz to tu zostanę. Czy nie chcesz być na muccolach, zobaczyć muccoletti?

(Bierze ją za rękę).

Patrz Dially. Na Jowisza, piękny widok. Te fale, tak czarne i tak dużo lucioliów. Jakiż tłum, tłok, cisk, gniot, krzyk, gwar, pisk, łom, śmiech. Strzeż się — arlekina widzę figlarnego, co cię podchodzi z tyłu — strzeż się, ot machnął chustką. Kto Ci zgasił wszystkie od razu muccole? — Daj, zapal od moich.

I patrz Diale. Oto sami jesteśmy, znów w oknie, patrzymy na corso. Karnawał, radość, pustota, młodość. Za chwil kilka się skończy, dzwon uderzy, żandarmy go rozgonią, krzyk się rozlegnie od Popoło po Kapitol: "carnavale é morto". Starość postu się zacznie, ciemne kościoły, posępne miserere, gasnące gromnice. Jest żandarm Pana Boga zwany "czas" który podobnie staje wśród karnawału życia i mówi: rozejdźcie się, godzina już uderzyła, zgaście światła, które trzymacie w ręku, idźcie wszyscy, idźcie, a na końcu corsa tego znajdziecie puste Forum Romanum i ruiny.

Delfina: Już skończyłeś?

Poeta: Skończyłem.

Delfina: Kiedy więc wyjeżdżasz?

Poeta: Już dziesięć razy ci mówiłem, że dzisiaj wieczorem. Żegnajcie na razie, muszę stangretowi i Janowi powiedzieć, aby rzeczy na gwałt pakowali. (Wychodzi).

George: Dzień dzisiejszy jest dniem upokorzenia mojej dumy kobiecej. Widziałam dwóch moich dawnych kochanków, którym obu swego czasu całowałam ręce i nie wiem, który z nich zachował się bardziej niegodnie. Pani Delfino, nie chcę być nie-delikatna, ale proszę mi wierzyć, że ją rozumiem i współczuję jej w takiej chwili.

Delfina: Tak, życie czasami bywa bardzo buffo, jak powiada Siżyś.

Stanisław MACKIEWICZ.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau
US Zone, Germany.

Sielanka stołeczna

Poetyckiej pamięci Bartłomieja Zimorowica.

TAK TO DO TAKTU turkotom wiatr wwiął w sam środek
[sielanki]

Londyn, owce i Jana: wzdłuż granic turkotu przystanki,
na których autobusy rytm wybijają: ogrody —
już Kensingtonskie Ogrody wiatr obsiał, na nowo obsiewa,
gdzie owce jak wianki wetniane uplotły się same przy drzewach.

Jan, pasterz Zarządu Miejskiego, (równe sześć funtów na ty-
[dzień —)

z zawodu zawodów emigrant, pamięcią osiadły w Lidzie,
nauczył się liczyć owce wedle wiatru, drzew i szylingów.
Choć bez paszportu, ma wizę do podziemnych krain dancingu,
gdzie Phyllis, (w pra-echach rytmu Philida nadobna!) gdzie
[Phyllis]

z neonów wychodzi naprzeciw, wśród brzęku jazzowych motyli.

I tu tak także do taktu
jak to tutaj do taktu —

bęben jak tegi aktor
wybija rytm na swym brzuchu —
(do taktu bębenek w uchu)
tak to tu także wiatr wwiawa
z wentylatorów wprost w drzewa
wycięte z dykty —

(Londyn, Jan, owce — jak tryptyk)

przewiewa dancinę w sielankę,
z ust do ust bez ustanku,
że tylko tyle:
„Janku”,
„Phyllis...”

OD SZÓSTEJ RANO w Kensingtonskich Ogrodach
Jan pasie owce.

Chmury się pasą na drzewach,
a wiatr na trawie:
drzewom i trawie przygląda się woda
i każdym odbiciem ziewa,
więc nuda naddenna na stawie —
(tak samo saksofon ziewa: jazz od ziewania się dławi).

Ale Jan w wełnie owiec i w strzyżonej wełnie muzyki
dotąd świat czuje napoprzez —
dotykam.

O czwartej po południu z parku
wymarsz cieni, chłodu i owiec.
Jan, pasterz miejskiego folwarku,
przechodzi ulicę po przekątnej turkotu
wzdłuż światła, co jak oczy krowie,
zapatrzone w zielone odbicia,
w kałuże świetlnego potu.

Gotów?
Do wodopoju, do piwopicia?
(Owczarnia na Notting Hill.
Odlicz wełniane pagórki. Bekliwy dryl.)

JEST BAR MLECZNY na skrzyżowaniu
kleistych woni
z jadtodajni, browaru, apteki —
gdzie krowy na ścianach żują radiową trawę
dzień przedtem zżętą z gramofonowych płyt.
Czasem drzwi szklane wyciągają dtonie
i co błysk doją światłem lakierowane wymiona.
Po drugiej stronie cennik udajom wystawia kwit:
po pięć pensów od szklanki
poziomkowej mieszanki:
Phyllis zamieszka. Z niepokalanego łona
lodówki zamrożona podnieta —
gdy z boku automatyczna kasa potyka metal
po sześciopensie, po pensie —
cennikowi niememu do taktu:

tak to —
tak to —

Jan tu patrzył w swoje sielskie szczęście
poprzez rzęsy, unoszone uśmiechem,
poprzez rzęsy z trzepoczącym niechaj,
niech Phyllis, niechaj...

(w kasie rytm wybijają pięści śliskie: po pensie, po pensie)

„Więc o siódmej na dole przy szatni.
Dwie orkiestry.
Tropical Band”.

Aż nagle dialog w geście krótkim się zatnie.
Niechaj. I jak z wentylatoru zawiew w mózg. Przestrach.

SPIEWA PŁYTA NAGRANA od rana w mózgu,
śpiewa Jan:

„Osiadły pamięcią w Lidzie,
ja, znachor zakrzepłych ran,
emigrant z kraju przekwitających oczu,
widzę
jak się motyle jazzowe trzepoczą
nad Phyllis moją, jak nimfie Philidzie
z baru mlecznego przy Notting Hill
Tropical Band gra hymn co tydzień
pośród palm z dykty.
Przeto ja, zbieracz spojrzeń, potawiacz sielskich chwil,
wielbię londyńskie wirydarze,
i mleczny szmer lodówek w barze,
lecz ponad wszystkie muzyką wymyte twarze
wielbię Phyllis, gdy w dancing zstępuje po schodach
[marzeń,
przyglądając na włosach jazzowe motyle.
O Phylli moja, Phylli!”

Nic tak na rymujących szalach
nie drga, jak przeciwieśń rywala,
co pochlebstwo o zazdrość pociera
i rym z nich krzesze.

TAK TO BYŁO w święto bankowe, gdy na czerwonych ogierach
konduktorzy wjeżdżali do remiz. Piwne depesze
wiatr wysyłał od baru do baru. Kolejki
przed kinami, przed świątyniami herbaty,
w których naczynia osobliwego nabożeństwa
o obtłuczonych brzegach brzęku.
Potem procesje po parkach: słońce broczy tamowane wata
obłoków. Baby obte w objęciach. Lgnie, gzi się gestwa
wzdłuż tyraliery gapiów i drzew. Naprzetaj — po łbiskach
[pieńków!

po strатовanej trawie! Potratowane wargi.
Lgnienie. Gawiedź przynagla. Rytm odbijany piwem.
Bek z gardła jak korek: burczą brzuszne przetargi.

O, święty Banku, sierpniowy patronie parków,
każ wyjść Tomowi z remizy z sielską fujarką,
albo z radiem przenośnym. Nabadowana bateria.

Podbrzusze naładowane żarem. Za kafeterią,
wśród kasztanów dożynki pieaszot dojrzałych.
Dziewobranie. Piwospływ.
Świętemu Bankowi na chwałę.

Tam to Tom z Phyllis także. Cieniem obrosty,
radiem potęchtywany
krzesze konduktor-kochanek
rym po rymie z zazdrości o Jana,
z pochlebstwa pobudliwych postug.
„Phyllis, pocatuj!”
I nim się kark od żaru podbrzusznego zajął,
już w przeciwpieśni Tom
grom wypuścił ku słonecznym szkłom:

„Ja,
narowistych ujeżdżacz autobusów,
pasterz pierchliwych pasażerów,
biletów przecinacz biegły —
tuszę
iż
za lat ileśtam zostanę kontrolerem
i kupię dom ze żółtej cegły,
dwie mile od remizy,
w Chiswick —
gdzie Phyllis, ach! Philida moja —
po piwopiciu, u radiopoju
będzie mi niańczyć każdą sobotę,
grzejąc się kotem.
Dziś przeto wielbię donośnie domowy dosyt,
gdy Phyllis mi pocatunki wpina raz po raz we włosy”.

Tom się przeciągnął, przegięła się Phyllis.
Przeciągnęły się kasztany w poprzecznym przewiewie.
Papiery poderwały się z trawy na chwilę
niczem zmięte latawce.
Na niebie obrzękłym noc — jak wielkie niewiem,
pod nim księżyc przysiadł się na tawce.

NIE WIESZ GDZIE

gdzie była —
nie.
Skroń czeka rozpięta na żyłach,
czekają palce w kieszeni,
plac za plecami — zasieki z cieni —
w obstrzale ulic ruchomy front.
Skąd?
Przyjdzie skąd
kiedy —

Godziny zapalają się i gasną w oknach.
Zastony kolejno: kurtyny po krótkich aktach.
Tak to. Jak? Jak to —
Deszcz goły przegalopował przed Janem. Gzmysy mokną.
Zacieki światel na jezdni.

Wtem Phyllis przy drzwiach: klucz przekręca ciszę kamienicy.
Jan przeskoczył jej wzrok i pytania, gniewowi skoczył do
[gardła.
Noga w drzwiach: „Puść!” — aż sień się w skrzeczącym echu
[rozwarła.

I trzask. Jakby z zawias wyważył ktoś całą ulicę.

„Chodź na górę.
Cicho. Schody skrzypią”.

Bez słów, tłumaczonych na tży, bez lęku
Phyllis mu rozstała noc jak śniadą skórę
na tapczanie przy sierpniowym okienku,
gdzie warta gwiazd.

Sielanko czwartopiętrowa, jednopokojowa sielanko,
bądź budzikiem bezgrzesznym dla błędnych kochanków.

KIEDY JAN WSTAŁ, kominy jak dzbany dzwoniły słońcem,
piat każdy zatom, rozpościerając smugi,
a mleczarz na dole przy drzwiach
karmił próg senny wprost z butelki.
Z dała w parku drzewa jak stalugi
opinały się cieniem, czekając aż w skrach
powiew po nich przejedzie pędzelkiem.

Więc w park!
Do owiec.
W szuwały szerokich szelestów.

Jak pochwalnie Jan, pędząc, wypycha oddech z warg.
Wiatr z poszarpanym rondem przekrzywił mu się na głowie.
Jak to ranek radosnego rozstania gna obok przestróg,
obok stalug cieniem opiętych,
naprzelaj — słońcu po piętach!

JANIE, TA BIEL, te plamy w parku:
pamiętasz ostrogi mrozu
skrzyste: chrzęst, chrupot na śniegu.
Z wieżyczki strażniczej alba obozu,
rozstanie głodu ze snem.
W tej tajdze miała śmierć sędziwych szpiegów,
elegię wiatr wiewał w sielankę,

wiatr z biegunowych wentylatorów,
gdzie księżyc kazirodczym kochankiem
powietrza, głodu i moru.

Przez ulicę potok słoneczny.

Przeskoczyć.

Pętla powietrza na . . . Hamulce

podłużne — poprzeczne.

Zaryły się w ciemności oczu.

Jeszcze jeden obrót zmysłów na startej szpulce.

Śmierć.

O GODZINIE SZÓSTEJ minut cztery autobus numer siedem-
[naście

przejechał Jana. (Phyllis wychodziła właśnie
z domu).

W barze mlecznym zamrożony aromat,
lakierowaną wymioną,
lodówki niepokalane.

W trupiarni chłód balsamował Jana
przed wyprawą na biegun wieczności,
którego magnes przyciąga najodleglejsze kości
z pieczar, piachów, łagrów i trupiarni —
(ten sam pasterz dla każdej owczarni —
oswoiwszy, śmierć strzyże z sielanki).

Śpiewa Phyllis elegię kochanków:

Który uśmiech twój i pocałunek
będzie straszył mnie w łóżku sobotnim
pod spiwionym oddechem męża,
nim płód pocznę na podobieństwo
twoje, mój miły?

Który rytm się przypomni kolanom
na parkiecie, pod spoconą ścianą,
gdy saksofon z czarnych fortepianów
powyganania przeboje umarłe?

Ty jak oś w nich — więc nie przejdą gardłem,
Janku —

(że cię zdradzę w zaprzysżytym wspomnieniu)

(żał na drobne kinolży rozmięnię —)

John dear —"

W Kensingtonskich Ogrodach wśród słonecznych odpadków
wiatr grzebał.

Tak to
to —

Chelsea, czerwiec-grudzień, 1951.

Jerzy PIETRKIEWICZ.

Sprawy i troski

Z dna nocy powszedniej

Conocna podróż Piotra. Szybkim krokiem przez zimną mglistość do szybu kolejki podziemnej. Ostry łoskot tuneli rozdartych pociskiem pociągu. Potem windą z powrotem na powierzchnię rzeczywistości.

Elephant and Castle — róża wiatrów koknejskiego Londynu. Szumi wiatrak wielkich ulic. Niebo krwawi neonami. Magiczne światła wypuszczają na arenę skrzyżowania stada autobusów czerwonych od wysiłku i ruchliwą czerń samochodowego drobiazgu.

Wyrwy po domach, zdmuchniętych z powierzchni miasta w nalotach ostatniej wojny. Na nich chwast nowego życia: tam budy zieją zaduchem smażonej ryby, tam mozaiki z owoców w oprawie pomarańczowego złota, tam w wędrownym luna-parku śpiewa głośnik chory na gardło, a dzieci i Murzyni w elektrycznych samochodzikach obtłukują się zawzięcie wehikułem o wehikuł.

Jedyna tutaj rzecz bliska Piotrowi to numer autobusu, na który czeka. Sprawi on, że ta wyspa czerwonych świateł ciemnego przedmieścia i jej raczej drobni, nerwowi ludzie, jakby jakieś zangliczałe plemię zza kanału la Manche, dziewczęta nie-raz porcelanowo piękne, przy nich wyrostki — hałaśliwe fauny, cała ta proletariacka promenada, śmiechy i zduszone głosy w mroku bocznych ulic, dźwięk harmonii — pocieszycielki nie-wpuszczonych do kina, błysk pociągów na moście czy też na niebie, na poprzek całego ruchu — wszystko to przechylili się poza okna autobusu i zgaśnie.

Dalej domy skostniałe w nieprzerwanych szeregach, ulice schodzące w podziemia nocy. Zanim ich ponurość zdąży wypełnić serce, «szklane domy» nowej Anglii wyrosną na przestronnych pobojuwiskach, uprzątniętych przez wojnę z okropności architektury słamsowej. Znowu agresywne wybrzuszenie ruder i znow, nieoczekiwanie, wyszlifowuje się z ciemności frontowa

ściana nowoczesnego bloku. Młoda kobieta i lotnik amerykański szybko znikają w oświetlonym wejściu.

Nazwa ulicy: Atlantic. Blisko stąd do portu na Tamizie. W dzień widać, jak tuż za domami pasie się stado żyraf wznoszących szyje długie jak krany portowe, a podczas mlecznej mgły rzeka zmieszana z morzem zaczyna rozmawiać głosami statków.

Autobus wyrzuca Piotra na przystanku pod płótem. Jeszcze szachownica uliczek należących przed zachodem słońca do rowowiska dzieci na wrotkach i hulaj-nogach. Potem zapalają się mizerne lampy, gasnące od pierwszego błysku, zapada martwość i prowincja tak głucha, jakby Londyn leżał za morzami.

Pomimo półmroku już widać z daleka, że ta ulica nie ma wyjścia. Półka ją szeroko otwarta brama fabryczna. Wtenczas w mglistej nocy zaczynają łączyć się nad nią wszystkie ciemniejsze plamy i jaśniejące płaszczyzny, żółte latawce ustawiają się w rzędy okien, zwrą się potężne bryły geometryczne i tak wyolbrzymieje kamienną chmurą kolos fabryczny, surowy, narastający i kruszący się latami, niemal ponad ludzki, geologiczny twór.

Stare, bogate przedsiębiorstwo, duma właścicieli i dyrektorów, podstawa bytu kilku pokoleń robotniczych, świątynia eksportu — żarliwej religii brytyjskiej. Dla Piotra — dno nocy powszedniej.

Brama fabryczna była już niedaleko, kiedy oderwał się od niej ludzki cień i sunął na jego spotkanie. Piotr wiedział, że to jeden z nielicznych Polaków pracujących w dzień — fabryka zatrudniała cudzoziemców zasadniczo w nocy — i że ten rodak wraca właśnie do domu, opóźniony nadgodzinami, dzięki którym może utrzymać swoją liczną rodzinę. A jednak ten żywy człowiek miał w sobie coś nierealnego. Piotr mijał go z niesamowitym odczuciem bliskości zjawy. Nieznajomy donaszał wojskowe ubranie: żołnierski płaszcz zapięty po ostatni guzik, buciory niezdarne, na grzbiecie garb plecaka. Spód beretu głęboko naciągniętego na głowę wyzierała wyschnięta ptasia twarz, niemal zasłonięta beretem po brwi, sówią oprawą okularów i wysokim kołnierzem płaszcza. Pozostawały właściwie tylko usta, tak wąskie i zaciśnięte, jakby nie były zdolne się otwierać.

Ckliwy zapach ciasta oblepia Piotra, kiedy przekracza próg fabryki, pustej i cichej w tym krótkim okresie przelamywania się dziennej pracy z nocą.

Chyba już wieki dzielą od chwili, kiedy *timekeeper*, urzędnik rozmieszczający siłę roboczą, zabrał nowicjusza Piotra do szatni i kazał mu się przebrać w białe spodnie i bluzę.

Wkroczył w tej bieli anielskiej do hali zajętej przez długiego stwora, którego obstała grupa Polaków pochłonięta wykonywaniem jakichś osobliwych czynności. Na początku maszyny, na podwyższeniu tkwił chudy siwy pan z jeniecką szarością na nieruchomej twarzy. Górował nad całością — dowódca na osobliwym korabiu czy też woźnica nad długim zaprzęgiem rumaków. Ale cały ten zaprzęg zamiast rwać do przodu, dreptał opornie w miejscu, zrywał się ciągle i nie mógł ruszyć. Wyglą-

dało to karykaturalnie: ten smutny pan popędzający niewidzialnym bątem umiejscowionego stwora, który zgrzytał, klekotał, potrząsał grzbietem, wreszcie stawał. Wtenczas obsługa maszyny oddychała z ulgą, jakby ciesząc się, że potwór zdechł. Ale po chwili rozlegał się dzwonek i surrealistyczny twór — chabęty z żelaznymi gnatami czy też półmiażdżony tramwaj znów zaczynał targać się w miejscu i unosić białych ludzi w dal, która nie istniała.

Nie była to jednak scena z pantominy, symbolizująca dzisiejszą epokę, skoro smutny pan wkładał na jednym końcu maszyny arkusze ciasta, a inny pan, który wydał się Piotrowi znajomym, wyjmował z drugiego końca kwadratowe blachy z przygotowanymi do wypieku biskwitami i ruchem automatu: wziąć blachę — zwrot — dwa kroki — położyć blachę — zwrot — dwa kroki... — przekazywał je spoconemu rodakowi, a ten wkładał kasek po kasku w paszczę długiego czarnego pieca. Smok polykał je wraz z tacami.

Na polecenie piekarza Piotr dołączył do grupy robotników, która również w tej hali zajmowała się ręcznym wciskaniem foremek w arkusze ciasta. Pracowało się dwójkami. Partner Piotra miał czaszke wolną od włosów, nos wyciosany z grubsza i chytry półśmieszek w jego cieniu. Przypominał opornie włokące się sprawy w urzędach wojskowych. Major — powiedziano potem Piotrowi — pracował pedantycznie, z namaszczeniem, lecz w każdej chwili, pełen usługnych chęci, był gotów rzucić wszystko, aby podskoczyć z pomocą do zamkniętego w sobie piekarza lub jego pomagiera, aroganckiego młokosa.

— Lubię grzecznością płacić za grzeczność — powiadał, czując na sobie krytyczne spojrzenia Piotra.

Wraz z bólem dłoni od ostrych kantów foremek wzrastało uczucie nudy i odrazy do tego rodzaju zajęć, czego Piotr nie mógł i nie chciał zdusić w swoim sercu. Niecierpliwie wtlaczał foremki — byle naprzód! — a wzrok jego co chwila powracał z nadzieją do ściennego zegara, ale wskazówki również grzęzły w nudzie. Błądził więc po krzątających się sąsiadach i zwracał się ku maszynie obok.

— Skąd ja znam tego pana z blachami?..

Wreszcie odnalazł go w tłumie postaci, z jakimi się zetknął w swojej wojennej wędrówce. Oczywiście to pułkownik, były wykładowca na kursie dla młodszych oficerów, jeszcze w Szkoci. Umiał zainteresować słuchaczy świetnym znawstwem niemieckiej taktyki walki. Z pewnością nie jedna kropla jego wiedzy oliwiła maszynę miażdżącą potem opór wroga na Monte Cassino lub zaciskającą śmiertelne kleszcze Falaise. A teraz w tym stroju błazeńskim, przy piecu piekarskim — dwa kroki — wziąć blachę — zwrot...

Piotr poczuł duszący czad melancholii, aż ogarnęło go zniecierpliwienie i zaczął ze złością, już naprawdę byle jak, szpi-kować obrzydłe ciasto żelaznymi wycinankami.

— Panie, ostrożniej... — jęknął major. — To przecież ciasteczka eksportowe, na czystym maśle. «U.S.A. only»...

— Mam je gdzieś! — warknął Piotr. — Ani pan nie wzbogaci się na nich, ani nawet nie będzie jadł!

Partner spłoszył się i zamilkł, a po chwili zawieruszył się gdzieś pod pozorem, że idzie po blachy, które trzeba było przynosić od wylotu długiego pieca. Wrócił niebawem niosąc parę wolnych blach, po czym przysunął się do Piotra i dyskretnie wcisnął mu do kieszeni pełną garść ciepłych jeszcze «ciasteczek na maśle».

— Tylko jedz pan ostrożnie, aby nikt nie widział. Naprawdę są świetne... — szepnął do ucha zdziwionego Piotra.

Po kilku nocach zamówienie na herbatniki z kruchego ciasta zostały wykonane. Piotr podążył za *timekeeperem* do hali wypełnionej gorącym zaduchem, gdzie przy taśmach siedzieli sami Polacy, przeważnie starsi oficerowie, i chwytając palcami obu rąk przesuwające się szeregi biskwitów pakowali je z ręcznie do metalowych pudełek.

Nie wolno było dopuścić, aby gotowe biskwity wracały do piekarskiej maszyny. Stworzyło to specjalne zajęcie — szufłowanie, polegające na zdejmowaniu biskwitów płaskimi szuflami w pobliżu krawędzi Niagary, za którą żelazne człony taśmy zapadały się w dół.

Na wstępie tej swojej nowej pracy Piotr czuł się panem sytuacji, ale po kilku godzinach ciało zaczęło opadać na siłach, omdlewać, wzdrgać się przed niewolniczą zależnością od bezdusznej maszyny. Zdawało się, że taśma płynie coraz szybciej, nawet już nie ona, bo złudzenie zatrzymywało ją i kazało człowiekowi wraz z całym pomieszczeniem sunąć naprzód i w tym upiornym ruchu rozpaczliwie wymachiwać szuflą.

Najlepiej dawał sobie radę były przodownik policji Orczuk. Lata obdarzyły go wnukami, lecz nie zdołały pozbawić prężnej twardości ciała. W pysku był również twardy i gardził wszelką słabością, szczególnie inteligencją. Zdejmując energicznym zamachem szuflki wielkie płyty biskwitów, z irytacją obrzucał wzrokiem jednego z nowicjuszy przy sąsiedniej taśmie.

Rzeczywiście była to postać godna politowania. Suchotniczy chudeusz, czerwony, złany potem, łapiący otwartymi ustami powietrze, to grzebał niedołężnie szuflą, nie tyle zbierając biskwity, co burząc ich wymusztrowane szeregi, to znów rzucił się w pogoń za nimi usiłując ramionami odgarnąć od krawędzi Niagary. Wtenczas towarzysze pracy przychodzili mu nieraz z pomocą i wspólnymi siłami likwidowali dramatyczną sytuację. Nie podobało się to Orczukowi. Z zimną pogardą spoglądał na nieszczęśnika a uczynnych kolegów strofował rąbiąc głośno słowa, aby coś niecoś również doszło do uszu nieporadnego chudejca:

— Po cholere pomagać takiemu obijakowi. Każdy ma dość własnej roboty. Znamy się na takich cwaniakach. Niby to nie potrafi, żeby inni za niego robili!...

— Co pan wygaduje! — oponował rosły mężczyzna z koszulą rozpiętą na silnej włochatej piersi. — Widzi pan przecież, że to słaby człowiek, nieprzyzwyczajony do fabryki. Przed wojną aplikował u adwokata...

— Co było przed wojną, to było — cedził nieprzejednanie były policjant. — Cóż to za inteligent, jeżeli nie potrafi nawet zrozumieć, jak należy zbierać biskwity. Jak nie może, to fora z fabryki! Nie zawadzać innym!

— Ależ on także musi żyć! A że jest takim, to nie ma co się dziwić. Kilka lat spędził w obozie koncentracyjnym...

— Et, tak źle tam nie było. Przesada, propaganda... — uparty Orczuk brnął już całkiem głupio. — Każdy z nas coś przeżył. Ja w poprzedniej wojnie parę lat spędziłem w niewoli...

Szufla mężczyzny z owłosioną piersią na dobrą chwilę zawiśła w powietrzu, przepuszczając spory szmat biskwitów, potem z opóźnieniem szerokim łukiem zgarnęła je z taśmy.

— Panie złoty, ani słówka więcej, bo ja sam spędziłem dwa lata w Oświęcimiu!

Orczuk zamilkł spoglądając ponuro na oponenta, a ten na dobre zamknął mu usta:

— I nie tylko tłukło mnie Gestapo, ale także pańscy koledzy-policjanci podczas zajęć uniwersyteckich, chociaż zupełnie przypadkowo znalazłem się w tłumie.

Temat nabrał drażniącego zabarwienia, ale rozmowa nie traciła żartobliwego tonu, bo absurdalne wywody Orczuka rozweselały machających szuflami i nawet sam były więzień Oświęcimia nie brał sprawy zbyt do serca. Czas jak morfina skraca życie, ale też koi zapomnieniem. Nawet w fabryce, choć ma w sobie coś z kryminału.

— Kiedyś przydarzyło mi się powiedzieć idąc tymi schodami — zwierzał się oponent Orczuka w rozmowie z Piotrem, kiedy razem schodzili do kantyny, — że za dwa dni wychodzimy na wolność. Gość, do którego to powiedziałem, wybałuszył na mnie oczy, a ja dopiero wtenczas spostrzegłem, że myślę o *weekendzie!* Te kamienne schody, farba na surowym murze, okna o małych szybach, jakby zakratowane, a także te nasze fabryczne ubrania strasznie przypominają mi więzienie.

Piotr z sympatią spoglądał na tego człowieka, na jego rosłą postać, na twarz tryskającą energią i nie pozbawioną humoru, pociągającą choć brzydką. Rozmowa w kantynie z miejsca zbliżyła ich na odległość, od której zaczyna się przyjaźń. Podobna przeszłość ludzi młodych przed wojną, studia uniwersyteckie, organizacje, walka idei — nieraz na pięści, dynamika poglądów — nieraz na manowcach, rojenia, plany, radość niepodległego bytu, posmak rozczerowań, katastrofa dziejowa na wstępie kariery życiowej, niezachwiana wiara w przyszłość Polski.

Józef Pawłowski mógł nosić dla Piotra wiele innych imion i nazwisk, bo to był bliski mu typ człowieka. Wśród takich dawniej żył — jego pokolenie. Nachylili się teraz nad swymi sprawami jak dwaj konspiratorzy. Okazało się — to naprawdę

zabawne — że należeli kiedyś do organizacji studenckich, które się zwalczały nawzajem!

Z wspomnieniami wojennymi załatwili się krótko. Józef: kampania wrześniowa — konspiracja — Oświęcim — ucieczka od bolszewików na Zachód. Piotr: kampania wrześniowa — ucieczka od Niemców na Zachód — wojsko we Francji i Szkocji — 1. Dywizja Pancerna i okupacja Niemiec. Drogi ich połączyły się przy taśmie płynącej z biskwitami. Co będzie potem? Plany dalszych dróg stanowiły jakby logiczną kontynuację poprzednich. Piotr starał się o wizję do Stanów Zjednoczonych: tam jest obecnie centrala działań Zachodu, stamtąd wyruszamy na Wschód! Józef ulegał magii bliskości rodzimej ziemi, nie chciał rozstawać się z atmosferą Europy. Zresztą nie bardzo też mógł ruszać w niewiadome, bo miał na utrzymaniu chorowitą żonę i dwoje małych dzieci.

— Ależ tu nie ma dla nas przyszłości na tych rasistowskich Wyspach! — oponował Piotr. — Tutaj nie dadzą inteligentnemu cudzoziemcowi głowy podnieść z dna. Co pozostaje? Dożywotnia praca robotnika? Nawet w Oświęcimiu mogliście marzyć o wyzwoleniu...

Chciał jeszcze tłumaczyć Pawłowskiemu, że rodzina nie jest zbyt wielką przeszkodą w emigrowaniu do Nowego Świata, ale ten mu przerwał:

— Nie jest tak beznadziejnie, kolego. Nareszcie coś zaczyna się odmieniać na lepsze. Słyszeliście zapewne o powstającym w Strasbourgu instytucie badań spraw wschodnio-europejskich. Oczywiście z funduszy amerykańskich. Będzie tam sporo miejsc dla Polaków i chociaż rzecz prosta kandydatów jest bez liku, mam bardzo poważne podstawy sądzić, że zostanę przyjęty. Jestem historykiem i przed wojną kończyłem pracę doktorską na temat najnowszych dziejów właśnie tego obszaru, którym interesuje się instytut. Na kierownika działu polskiego został powołany prof. Kowalski. Zapewne słyszał o mnie. Za kilka tygodni odbędzie rozmowy z kandydatami. Nie macie, kolego, pojęcia, jak ta sprawa postawiła mnie na nogi. Przecież to prawdopodobnie moja ostatnia szansa powrotu na właściwą drogę życia! A przy tym znaleźć się z powrotem na kontynencie, na ciekawym styku dwóch cywilizacji — francuskiej i niemieckiej!...

Ciemne oczy Pawłowskiego błyszczały radością, kiedy to mówił. Jakże doskonale Piotr go rozumiał. Skończą się noce upiorne roboczą nudą, dni półprzytomne od niedospania i obolałych mięśni. Znowu życie i zdolności człowieka sprzęgną się z dziejowym zmaganiem, którym natęża się świat. W swoim przybrudzonym dziwacznym stroju, z rozchełstaną koszulą na szerokiej piersi, z twarzą promieniującą jakby z chaosu faktów i wydarzeń już wypłukiwał złote ziarna prawdy — Józef upodabniał się do apostoła idei żywej i dobrej.

— Oby nie do nas!... — ogarnął Piotra wewnętrzny popłoch. Niestety niska postać b. marynarza Kotarka, sąsiada przy ta-

śmie, rozciągnięta wszerek rękoma w kieszeniach spodni, podążała zdecydowanie w kierunku ich stolika. Chichotał już z daleka do swoich towarzyszy pracy, ściągając ich gwałtownie na płaszczyzną rzeczywistości i zaraz potem ześlizgiem po niej na padół swego wykoślawionego światła.

— Hi, hi, hi... — rozsiadł się na dobre. — Patrzcie!...

Wyciągnął rękę z kieszeni i dyskretnie błysnął przed jeszcze niezbyt przytomnymi oczyma Piotra i Józefa pełną garścią ręcznych zegarków w pękatek złotych oprawach.

— To niedobre zegarki — mówił szczerze, po koleżeńsku. — Straszne świństwo! Wam bym tego nie sprzedał. Niech frajerzy kupują. Hi, hi, hi, oni lecą na złoto, o, lecą... — wskazał głową dalsze stoliki, przy których Polacy, prawdziwi robotnicy, grali w karty, kłócąc się głośno o peny. — Sprzedałem już kilka, po 6 funtów. Dla was będę miał inne, o, inne... Genewskie, marki «Flamingo». Mało kto wie, że to najlepsze w świecie. Dlatego jeszcze tanie...

Piotr i Józef nie chcieli żadnych zegarków, ale Kotarek o to ich nie pytał.

— Czasami Piotra przydzielano do pakowania biskwitów. Znawcy licznego tam zespołu polskich robotników pokazywali mu różne osobistości, jakby to się działo na jakiejś uroczystej akademii w przedwojennej Polsce.

— O, ten szupły pan, za tym łysym, to były minister. Tamten, zwrócony do nas bokiem — generał. A ten z lewej — prokurator, a tamten za nim — wojewoda...

Pułkowników liczyło się na tuziny. Magia tytułów nie działała na Piotra nawet przed wojną i nie od dzisiaj stykał się w fabrykach z tym emigracyjnym zjawiskiem, a jednak zawsze ogarniał go smutek i odczuwał ciężar poniżenia, podobnie jak wtenczas, we Wrześniu, na widok sztyldów instytucji państwowych z białymi orłami lub części mundurów polskich, jako trofeów na niemieckich czołgach i samochodach pancernych.

— Nieraz smutno się robi człowiekowi — skarżył się jakiś wyższy oficer przy stoliku w kantine, upewniwszy się najpierw, że w pobliżu siedzą rodacy wyglądający na inteligentów. — Ot, przy maszynie, na «dziesiątce», podpułkownik-artyleryzista, poważny, kulturalny pan, coś tam trochę nie dogodził swemu sąsiadowi, znacie tego gburę wileńczuka, tego niby ułana, a ten z miejsca obrzucił go najordynarniejszymi wyzwiskami...

Dalszą rozmowę o tym przykrym incydencie przerwał milczący dotąd jegomość o twarzy z miękkiej gumy, zwisającej fałdami:

— Boli, co? A ja proszę panów byłem przed wojną profesorem gimnazjalnym. Łacina, greka, panie tego, kultura helleńska... Podczas wojny, we Francji i przez trzy lata w Szkocji, byłem zwyczajnym szeregowcem. Panowie oficerowie w kadrówkach — gaże, kasyna, mieszkania, a ja poważny pan, profesor gimnazjalny — w komórce na podłodze, z menażką po żarcie, noszenie

pak, mycie podłóg, w otoczeniu takich, którym nie słowa, lecz kał płynął z ust. A oficerowie, pułkownicy, uważali, że he, he, to krzepa żołnierska, panie dzieju, inaczej być nie może...

Niezsorsze mięśnie Piotra nie mogły długo się marnować przy pakowaniu biskwitów. *Timekeeper* — przewodnik po zakamarkach doli emigracyjnej zaprowadził go przez most westchnień do innego budynku, gdzie kilka maszyn sprzęgło się w ogłuszający werbel, a wszystko zasnuwała sucha słodkawa mgła rozpylonego cukru. Wnikał on w usta, nozdrza, gardło, płuca — śmierzdział i drażnił. Niejednemu już wżarł się w skórę złośliwą egzemą. Zresztą w tego rodzaju fabrykach nie tylko wywołuje ją cukier, ale również mąka, tłuszcz, a nawet gotowe biskwity.

Pomocnik (*foremana**), Bill, w aureoli swej czapki piekarskiej podobny do ascetycznego rabina, także cierpiał, ale na wrzody na dwunastnicy. Ulegał często napadom wściekłości, biesił się, z furią wbijał w kąty zawadzające taczki, rzucał anatemę na ludzi, maszyny i worki, zawodził przekleństwami i niemal płakał z bezsilnego gniewu i skrajnego obrzydzenia do całego świata. Piotra przywitał spojrzeniem pełnym rozpaczy.

Podeszli do maszyny — niewielkie to było чудо i nie najnowsze. Znakomicie jednak spełniała swoje zadanie, to znaczy trzęsła się zawzięcie, wysypując ziarna cukru o żądanej wielkości do kublów, które podstawiła się pod nią jak pod krowę. Piotr musiał karmić maszynę szuflą i ciągle schylać się, aby wypróżnić szybko napełniające się kubły. Wkrótce lepił się cały od potu i słodkiego pudru.

Za jego plecami sięgający sufitu bęben w kształcie dolnej części ciała giganta-brzuchacza w przyciasnych bryczesach coś tam także wyprawiał z cukrem, zsypującym się do dwóch długich worów tworzących jakby tydki w białych pończochach tego olbrzyma. Były lotnik zapinał i odpinał na nich podwiązki. Obok zaś maszyny Piotra trząsał się zacieklą szybkością fortepian i od czasu do czasu sikał strugą pyłu wprost na głowę zirytowanego chorążego Wojsk Polskich. Obsługi tych nabrzmiałych pyłem purchawek krążyły nieustannie po hali brnąc przez mgłę z pękatymi worami na taczkach, jak mrówki na ścieżkach mrowiska, niosące przed sobą wielkie białe jaja.

Parę innych maszyn w tej hali mełło zbrakowane biskwity na pokarm dla świń. Przy nich starszy szczipły jegomość o miękkich, bezkostnych ruchach trząsał się nad żelazną beczką, wczepiony oburącz w okrągłe sito. Przerzywał jedynie po to, aby zaczerpnąć łopatą spod maszyny biskwitowy przemiał i napełnić sito. Potem znów ulegał napadom drgawek. Wtenczas inteligentna jego twarz zmieniała się nie do poznania, dolna warga wysuwała się do przodu i opadała nisko nadając wyrazu zidionienia.

Podczas przerwy Piotr przysiadł się do nieznanego i na-

*) Foreman — majster.

pomknął o przykrościach sita, a ten nieoczekiwanie ożywił się i niemal radośnie podjął ten temat.

— Niech pan sobie wyobrazi, że dzisiaj przesiałem już cztery beczki, a wczoraj do tej pory miałem tylko dwie! Tym razem robimy doskonały materiał, suchy, prawie nie trzeba rozcierać ręką. A ile worków pan przepuścił przez maszynę?

— Ja? Hm... — bąknął Piotr. — Nie wiem... Nie liczę tego świństwa. Nic mnie nie obchodzi.

— A ja, proszę pana, kiedyś na tej maszynie zrobiłem 25 worków w ciągu nocy! — oświadczył z dumą dziwny entuzjasta pracy.

Piotr z niemałym wysiłkiem starał się odciągnąć go od tematu sprowokowanego niebacznie przez siebie. Wiedział już, że jego nowy towarzysz nazywa się Poterski — doktor filozofii, przed wojną kurator szkół średnich.

Prawie każdego wieczora, przed rozpoczęciem pracy, dr Poterski spotykał Piotra swoistym pytaniem:

— No, jak tam? Ile worków ma pan dzisiaj zrobić? — i zaraz zaczynał o swoich beczkach.

Piotr nieraz próbował sprowadzić rozmowę na jakiś znójniejszy temat i przez chwilę były kurator szkół średnich opowiadał zajmująco o najnowszych przed wojną metodach nauczania lub o zadaniach nauczyciela na emigracji, ale w niespodziewanym momencie myśl jego wyskakiwała z tego toru i Poterski z wyraźną przyjemnością nawracał do swoich beczek i *foremana*, który był lub nie był zadowolony z jego dokonań.

Wreszcie Piotr nie wytrzymał i oświadczył z przyjaznym uśmiechem ale stanowczo:

— Proszę pana, chwile odpoczynku w pracy są na to, aby zapomnieć choć na chwilę o parszywych beczkach i *foremanach*. Czy to nie jest smutne zjawisko emigracyjne, że ludzie inteligentni jak pan nie potrafią już o niczym innym mówić?...

Poterski, człowiek miły i łagodny, zmieszał się, a potem zaczęła usprawiedliwiająco:

— Widzi pan... Tak jest lepiej... Dawniej starałem się nie poddawać. Odmawiałem sobie snu. Dużo czytałem, chciałem dokończyć pisanie podręcznika pedagogicznego dla nauczycieli polskich na emigracji. Ale sam pan wie, co to znaczy, ta nasza praca. Zdawało by się, że bagatela, tylko pięć nocy w tygodniu. Ale jakich! Każda to przecież 11 godzin w zmęczeniu fizycznym i psychicznym, w zwątpieniu i straszliwym rozczerowaniu. W dzień nie mogłem spać, budziłem się co godzina, od przemęczenia, z nerwowym drżeniem w sercu. Nie, nie miałem już sił utrzymywać się na poziomie moich potrzeb umysłowych i kulturalnych, a nawet odczuwać tych potrzeb. Lektura stawała się torturą, pisanie — niedołącznym szukaniem właściwych wyrażen. Wreszcie machnąłem na wszystko ręką. Książki poszły w kął... Za to wysypiam się, mam apetyt, wypoczywam w łatwych rozrywkach. Słowem przeszedłem na życie prawdziwego robotnicarza i to mi daje równowagę ducha. Mimowoli zacząłem na-

wet interesować się pracą fabryczną, przykładać się do niej, przejmować się nią. Wolę już wrócić do prymitywu, niż zważać...

Piotr czekał na wizę amerykańską z takim utęsknieniem, z jakim Pawłowski wypatrywał listu od prof. Kowalskiego. Chwile ich wypoczynku w kantine przypadły teraz w różnych porach. Spotykali się na korytarzach, w pośpiechu, i wymieniali pytania:

— Jest coś ze Strasbourga?

— Jeszcze nie. A jak tam z Ameryką?

— Także jeszcze nic...

Nie można było nawet dłużej porozmawiać. Rosta postać Pawłowskiego znikła za załomem muru, pozostawiając jasność przyjaznego uśmiechu. To był jedyny człowiek w fabryce, przy którym Piotr nie odczuwał samotności.

Noce miały moźno, tygodnie zapadały się w nicość. Nareszcie *timekeeper* przypomniał sobie o istnieniu Piotra. Znów poszli: wąskie przejście w ciemnym składzie cukru, zalana sztucznym światłem dziennym przestrzeń nowego bloku, otwarta na całe piętro — tłoczyły się tam białe kierdle worków z mąką — dalej most westchnień do sąsiedniego budynku i wilgotna mroczna studnia schodów. Wreszcie mętlik niesamowity, płatanina maszyn w ruchu, ludzi w rozbieganiu wśród ciasnoty kadzi z brązowym ciastem, wzgórz wielkich serów, barykad daktyli sprasowanych w bloki, szumu, warkotu, krzykliwego slangu porąbanego przekleństwami.

W hali cukru panowała susza jak na pustyni piaskowej, a tutaj mokre nieczystości szturmowały ze wszystkich stron, rozpuszczony tłuszcz i woda spływały kamienną podłogą, pod basenem buchającym parą narastały kupy błota z zeskrobywanych brudnych skorup serowych, roznosząc smród zmieszany z gazem amoniaku, ulatniającego się z zamrażających maszyn. Robotnicy angielscy, pigmeje jeden w drugiego, w poplamionych fartuchach i umazanych spodniach, pracowali żwawo, stukając drewnianymi podeszwami obuwia przeznaczonego specjalnie do rozdeptywania tych nieczystości, które określali słowem «mess»*) okraszonym nieprzyzwoitym przymiotnikiem albo jeszcze lepiej — dosadnym «shit», to znaczy po prostu g...em.

W swojej paroletniej robotniczej karierze Piotr już nieraz trafiał do podobnego środowiska, ale przy każdym nowym zetknięciu się z nim ogarniało go uczucie bliskie przerażeniu. Nauczył się jednak nie tracić rezonu. Wciągnął na nogi ciężkie drewniaki, nałożył sztywny od tłuszczu fartuch i z rezygnacją oddał się w ręce *foremana*, którego wszyscy robotnicy nazywali poufale Charlie. *Foreman* przyprowadził Piotra do maszyny — obrzymiej maszyny do mięsa, która siekała daktyle

*) Nielad, bałagan.

na masę, wyciskającą się na zewnątrz obfitą peruką z brązowych kędziorów.

Stary, małpio szybki człowieczek z koźlą twarzą, karmiący maszynę daktylami, zbiegł z podwyższenia i wrzasnął przez piekielny warkot:

— Będziesz robił to! — schwycił rozlatanymi rękami ciężki daktyłowy blok, zdarł z niego papier, potem twardym pazurem kciuka rozłupał na poszczególne warstwy i również oczyścił je z papieru. Tak przygotowane płyty daktyłowe cisnął z rozmachem na platformę umieszczoną na grzbiecie żelaznego kadłuba maszyny.

Ian, nowy współtowarzysz pracy Piotra, był Szkotem. Miotął się i wrzeszczał nieustannie jak szalowiec, uważając, że to temperament szkocki — rzecz godna podziwu. Połowa wyrzucanych przez niego słów składała się z najpopularniejszego wytworu rynsztokowej angielszczyzny, tak że w jego szkocko-koknejskim slangu roilo się od paskudztwa liter «f» i «k».*). Będąc bezgranicznie próżny, wyzywał się przed Piotrem, nie we wszystkim jeszcze doświadczonym robotnikiem, w swojej sztuce rozbierania bloków daktyłowych, mielenia ich, obsługiwania maszyny, przetaczania ciężkich metalowych kadzi, a nawet posługiwania się miotłą i kębłem przy zmywaniu podłogi.

— Pamiętaj — wrzeszczał — do wszystkiego musisz podchodzić z *brains!***)

Noc w noc Piotr zmagął się z daktylami i ze swoim towarzyszem, który spokojnego człowieka mógł doprowadzić do szału. Po wypełnieniu kilkudziesięciu kadzi daktyłową masą trzeba było cały kram odstawić elektrycznym traktem z dwoma przyczepkami do piekarni znajdującej się w innym końcu rozległego podwórza. Wkrótce załadowywanie i rozładowywanie tych nocnych transportów pozrywały Piotrowi mięśnie w łokciach i ostry ból usadowił się na dobre w jego rękach.

Czas powoli zasypywał drobnymi wydarzeniami naturalną przepaść dzielącą Piotra od jego brytyjskich kolegów na zatłoczonym deptawisku pracowitego zakątka fabryki. Dobrym jego duchem, w przeciwieństwie do Billa, złego ducha cukru, był Tom, pomocnik *foremana* w tym rejonie. Obarczony kalectwem, z jedną nogą uschniętą i o wiele krótszą, biegał wyskakując ku górze i zapadając się w dół jakby unoszony na falach wzburzonego morza. A jednak całą jego istotę nasyciła równa, nieprzerwana pogoda, życzliwość do ludzi i uczynność. Ian wynajdywał we wszystkim straszliwe trudności, aby następnie pokonywać je niby tą swoją genialną zaradnością, natomiast silne ręce Toma i jego szczerzy uśmiech wzbudzały w innych przekonanie, że wszystko jest dziecinnie łatwe.

Nieraz Piotra nawiedzało coś jakby uczucie zazdrości, że nie jest również takim robotnikiem z prawdziwego zdarzenia. Nie

*) Spółgłoski b. nieprzyzwoitego słowa ang.

***) Mózg, rozum.

włokłaby się za nim emigrancko-inteligencka zmore. Im człowiek prymitywniejszy, tym łatwiej mu znaleźć szczęście. Jak temu małowómnemu eks-marynarzowi Johnowi przy maszynach, z których jedna miażdżyła ser, a druga rozwałkowywała na delikatne strzępki. Jak drobnemu George'owi, kręcącemu się z rzeźkością wróbla przy rozwadnianiu sproszkowanego mleka lub żółtka. Jak Jackowi przy rurach wypływających ze wstrętem tłuszcz o wyglądzie smakowitego kremu.

Kiedy stały zespół nie mógł podolać pracy, przydzielano do pomocy robotników z innych działów. Tak się również stało, gdy zaszła potrzeba wymycia podłogi w sąsiednim pomieszczeniu. Przydreptał leciwy Polak, z miejsca wywołał wybuch śmiechu, bo ledwo nie wyrócił się na zatłuszczonej podłodze, i uzbrojony w szczotki i kubły powędrował ku swemu zajęciu. Nie łatwo jest sprawnie wyszorować zapaskudzony beton fabryczny, kiedy się ma za sobą ponad dwadzieścia lat pracy sędziowskiej. *Foreman* Charlie, który doszedł do swego stanowiska po dwudziestu latach pracy robotniczej i zawsze pojawiał się na horyzoncie w roli fanatycznego wysłannika demona wyciskania większej wydajności w pracy, załamał ręce na widok takiego niedołęstwa i polecił Tomowi pouczyć tego niesamowitego robotnika. Ian — on wszystko umiał najlepiej — natychmiast wyrwał się nieproszony: «Ja mu pokażę, jak to się robi!» — i zniknął za drzwiami. Tom również tam pokuścił się i za chwilę wrócił dobrodusznie ubawiony:

— Kino, mówię wam, kino! Trzeba widzieć Iana... Dom wariatów!

Natrafiał jednak swój na swego, skoro po pewnym czasie przez otwarte drzwi posypały się jędrne wyrazy i siłą podmuchu wymiotły Iana. Wbiegł na swoich krótkich nóżkach i z miną skarczonego szympansa schronił się na podwyższenie daktylowej maszyny. Koledzy powitali jego odwrót hałaśliwą wesołością, a on szczerze strapiiony zwrócił się do Piotra:

— Powiedz temu drugiemu Polakowi, że ja chciałem tamtemu tylko pokazać, dla jego przecież dobra. Ja nie miałem zamiaru mu dokuczyć.

Na miejscu zajścia Piotr ku swemu miłemu zdziwieniu zastał Pawłowskiego. Sędzia z miotłą, złany potem, pochlapany brudną wodą, stał w kałuży pokrywającej całą powierzchnię podłogi i przez zadyszkę, wzburzonym głosem mówił do historyka:

— Jestem niezmiernie panu wdzięczny za to, że pan zbeształ i przepędził tego drania. Tak mnie zaczął gonić i sam wariować z tym myciem, że ledwo ducha nie wyzionąłem. Ja przecież już po sześćdziesiątce. Nawet w łagrze sowieckim coś podobnego mi się nie przydarzyło... — przesadzał rozgoryczony.

— Czemu pan go sam nie obsztorcował? — dziwił się wybacza. — On taki sam robotnik jak i pan. Nie ma co się z takim liczyć.

— Ja nie umiem... — tłumaczył się sędzia. — Ja bym chciał

z ludźmi grzecznie, bez brutalnych awantur... Ja nawet tych słów angielskich nie znam, których pan użył...

Pawłowski uśmiechnął się z zadowoleniem:

— Dobre zrobili wrażenie, co? Gość sływa natychmiast. Ja panu napiszę te słówka, a pan się ich nauczy. Mówię zupełnie poważnie: Trudno, jak się weszło do fabryki, trzeba przyswoić jej obyczaje, inaczej człowieka zjedzą.

Pawłowskiego również przysiano do pomocy Piotrowi, bo elektryczny trak zepsuł się i trzeba było cały ładunek daktylowy dostarczyć do piekarni na przyczepkach używając do tego ludzkiej siły pociągowej. Chociaż człowiek zmieniał się na parę godzin w muła zaprzęzonego w ciężki wózek, Piotr bardzo cenił sobie to zajęcie. Przede wszystkim dlatego, że pozbywał się towarzystwa Szkota, który pozostawał w tych wypadkach przy maszynie. Następnie ciągnięcie wózków mniej wyczerpywało niż ładowanie i rozładowywanie platformy traka. Wreszcie zajęcie to, wypełniając resztę nocy, wybawiało od mniej lub więcej przykrych zajęć dodatkowych, jak chociażby mycie podłogi.

— No, i czyż Anglicy nie są genialni w rozwiązywaniu problemu polskiej inteligencji w swoim kraju! — kpił zupełnie już beztrosko, bo obok niego również nachylony do przodu à la dubinuszkowe «ej, da uhnem...» mozolił się na wesoło Pawłowski.

Młody historyk miał poważniejszy powód do radosnego podniecenia. Poprzedniego bowiem dnia odbyło się jego z dawną wyczekiwane *interview* u prof. Kowalskiego w sprawie wyjazdu do Strasbourga. Pawłowski analizował tę rozmowę na wszystkie sposoby, starając się wydobyć z niej profesorską decyzję, o której miał dowiedzieć się listownie za parę tygodni. Chociaż miał wszystkie podstawy wierzyć w swój wyjazd, starał się osłabić tę wiarę wątpliwościami, aby zbyt pewność nie obudziła licha, które nigdy nie śpi.

— Może za mało wychwalałem własną osobę — zastanawiał się, — może byłem w swoich odpowiedziach nieefektywny, mętny. Do rozmowy wezwano mnie nagle, depeszą, i odbyła się w środku nocy, kiedy człowiek zmordowany pracą fizyczną musi spać, bo przecież dla nas dzień jest nocą. Ale profesor to poważny człowiek i sądzę, że moje studia przed wojną i prace publikowane odgrywają główną rolę w ocenie...

— Ależ oczywiście! — zawołał Piotr z przekonaniem. — Cóż to, kolego, za bzdurne wątpliwości!...

— Nic dziwnego, że trudno mi uwierzyć w możliwość tak cudownej odmiany losu — mówił Pawłowski. — Biblioteki, archiwa, praca naukowa to przecież na tym nieprzyjaznym świecie prawie nierozsądne, fantastyczne marzenia. *Interview* odbywało się w pierwszorzędnym hotelu na West Endzie. Zbliżając się do niego dogoniłem dwóch przyzwoicie wyglądających panów, rozmawiających po polsku. Mimowoli natężyłem słuch, ponieważ mogli to być również kandydaci do instytutu w Strasbourgu. Owszem wyglądali na takich. Rozmowa toczyła się o sprawach

federacji europejskiej. Zamiast jednak skierować się do drzwi wejściowych, z cerberem w majestatycznym mundurze, skęcili nagle w bok, w zaułek na hotelowych tyłach i wtenczas zrozumiałem, że prawdopodobnie idą — myć brudne talerze w kuchni. Nie wykluczone, że podczas wojny w tym samym hotelu mogli brać udział w jakimś przyjęciu dyplomatycznym... Dziś wchodzimy tymi drzwiami, jutro tamtymi — figurki w teatrze kukielkowym, inteligencja polska, awangarda kultury zachodniej na wschodnich rubieżach Europy... Psia krew!

Już nie wiadomo który raz wracali z naładowanymi wózkami wlokąc je dnem wąskiego kenionu między wiaduktem kolejowym a ścianą fabryki. Nad ich głowami przebiegał łoskot pociągów i smuga jasnych okien przekreślała czarne niebo na ukos, lotem meteorów, wolnych w bezgranicznej przestrzeni. A oni zagrzebani w ciemnościach szczeliny — nędzne robaki, gdyby nie ich nadzieje.

Nareszcie Piotr otrzymał wizę amerykańską. Borykając się z trudnościami biurokratycznymi, do końca nie był jej pewien. Zdawało mu się czasami, że nigdy nie zdoła się wyrwać z tych murów. Ale wielka tchnąca lepszym życiem koperta tym razem nie zawiodła. Jeszcze kilka tygodni czekania na transport i — żegnajcie Wyspy! Teraz z kolei podnieconego Piotra opadły wątpliwości, a Pawłowski z tego się śmiał:

— Trudno oderwać się od Europy, tej dziwnej rupieciarni, bez której świat zamieniłby się w dżunglę. Ale za to tam, kolego, stanicie się znów wolnym, pełnowartościowym człowiekiem, bez piętna forejnerstwa na czole. Tam praca w fabryce jest odskocznią do lepszego życia, a nie jak tutaj — zejściem do grobu...

Te słowa Pawłowskiego przypominały się Piotrowi, kiedy po paru tygodniach znów przyszło im pracować razem. Tom był nieco zażenowany — poczciwy Tom nie lubił przekazywać tego rodzaju poleceń *foremana*:

— Charlie chce, abyście zrobili porządek *na dole*.

Piotr już kilka razy miał możliwość doświadczyć, co oznacza to niewinne «*na dole*».

Ciemne kręte schody prowadziły do obszernych lochów, gdzie znajdowały się ogromne rezerwuary z roztopionym tłuszczem. Żar tropikalny zalewał całe wnętrze i brnęło się w nim jak przez gorącą wełnę. Każdy ruch wymagał niemałego wysiłku i wyciskał z człowieka strugi potu. Trzeba było zrzucić z siebie wszystko co można, reszta przyklejała się do ciała. Wysoka temperatura wysysała tłuszcz z rezerwuarów i rur. Przenikał on przez wszystkie pory i tworzył spore jeziora w zagłębieniach żwirowanego betonu podłogi. Osuszało się je żmudnie, czerpiąc tłuszcz spłaszczoną blaszanką i wlewając go do beczki. Następnie posypywało się podłogę trocinami, aby wysysały resztę tłuszczu. Wreszcie należało to paskudztwo wymieść.

Babranie się w tym rozpalonym piecu, z rękami umazanymi

tłuszczem, bez możliwości wymycia ich na miejscu, z oczami wypełnionymi solą z potu — napędzało na człowieka skrajne zniecierpliwienie. Piotr miał zwyczaj w podobnych chwilach kłaść aż do rozśmieszającej przesady i żartami rozpraszać ponure samopoczucie. Dziwił się, że Pawłowski, mający w sobie tyle hartu, tym razem milczał zasepiiony i pozostawiał go samego w wysiłkach zachowania jako takiej pogody ducha.

Kiedy nie można już było dłużej wytrzymać, przerwali pracę i wycofali się dla odpoczynku do komórki o nieco niższej temperaturze. Ochładzanie się bowiem na zewnątrz tych tropików groziło zapaleniem płuc. Mokry, nagi tors Pawłowskiego, poplamiony tłuszczem, mienił się posągowym połyskiem, na wypukłościach mięśniów falowała długa szarpana blizna.

— To Oświęcim? — zapytał Piotr.

— Jeszcze przed... Na Gestapo — odparł krótko, myślami daleki od tych spraw, a po chwili milczenia oświadczył niespodziewanie: — Odrzucono moją kandydaturę do Strasbourga.

Piotra aż poderwało.

— Jakto? — niemal krzyknął. — Nie może być! Dlaczego?!...

— Powodów list nie zawierał. Napisali tylko, że bardzo żałują... Ha, trudno... Wracajmy do naszego tłuszczu.

Odwrócił się, poszedł do beczki, nachylił się nisko, przykucnął i zaczął zbierać blaszanką resztki tłustego płynu z chropowatego żwiru, z samego dna fabryki — nocy — życia...

Piotr już po wszystkich końcowych formalnościach. Ostatnia koperta z pieniędzmi w kieszeni. Szare gmachy fabryczne osiadają w zlocistym pyle poranka. Domy jeszcze śpią, garstka podróżnych drzemie na przystanku. Nadęty próżnością autobus stacza się po poziomych promieniach wschodzącego słońca, osiada miękko przyhamowany i zaraz rusza dalej, dotknięty ostrogą dzwonka.

Różowe nowe bloki mieszkalne — ład życia wśród chaosu poczeraniatych slamsów. Za nimi żyrafie szyje portu wyciągnięte ciekawie nad dachami.

Elephant and Castle, szczerbaty i niechlujny, przerzuca z przystanku na przystanek spore gromadki robotników. Po neonach pozostały tylko nikłe ślady — zarys wyschniętych żył.

Winda w głęboki szyb kolejki podziemnej — potem ruchome schody wynoszą Piotra ku wielkiej jasności dnia zielonej od drzew i błękitnej od nieba.

Eugeniusz ROMISZEWSKI.

Archiwum polityczne

List z Niemiec

(Od berlińskiego korespondenta „Kultury”).

P. Mc.Cloy, dotychczasowy komisarz Stanów Zjednoczonych w Niemczech, odjechał do Ameryki. Na jego miejsce przyjechał z Wiednia p. Donelly, który zapewne będzie ostatnim wysokim komisarzem i, po ratyfikacji obu wielkich układów, zostanie pierwszym powojennym ambasadorem Stanów w Republice Związkowej. Przy tej sposobności w prasie niemieckiej podsumowywano wyniki okresu okupacyjnego i zestawiano kolejne jego etapy, począwszy od «czystej» okupacji, aż do quasi samodzielności Niemiec zachodnich. Etapy te następowały po sobie szybko, szybciej aniżeli się spodziewano na początku. Przedstawiciel rządu sowieckiego, obecny na przyjęciu pożegnalnym, wydanym w Berlinie na cześć p. Mc.Cloy'a, mógłby mu może powiedzieć: «Nie wiem czy to jest Pana zasługa czy też moja wina». A w gruncie rzeczy: zasługa Waszyngtonu czy też wina Moskwy? Zasługa czy wina?

Z punktu widzenia uzyskanych sukcesów dyplomatycznych, większość obywateli Republiki Federalnej jest zapewne zadowolona z takiego obrotu spraw. Okupacja, nawet przyjazna, pozostaje okupacją i miło jest wiedzieć, że się zaczyna, stopniowo, samemu rządzić we własnym domu. Gdy jednak rozmowa zejdzie na nieco inne tory, wówczas na niejednym czole pojawia się troska: czy aby nie zbyt szybko? Bo przecież nie o samą tylko «suwerenność» chodzi, o nie. Idzie przede wszystkim o to, że przychodzi ona jakby niespodziewanie, nie tyle jako rezultat normalnego obrotu rzeczy, ile właśnie jako owoc wzrastającej «nienormalności» w stosunkach międzynarodowych. Jedni obawiają się dalszego pogłębienia podziału Niemiec, inni sądzą (czy słusznie?), że wojna się zbliża. Inni wreszcie stwierdzają, że wszystko to przyszło zbyt raptownie, nie pozostawiając społeczeństwu niemieckiemu czasu na «przestawienie», na tę obiecywaną, i

przez co szlachetniejsze umysły z utęsknieniem oczekiwana, «re-edukację». Tymczasem dzieło to, zaledwie rozpoczęte, zostało nagle zatrzymane i rzeczy idą w kierunku, wskazanym praktycznymi i bezpośrednimi potrzebami polityczno-militarnymi. Montowanie frontu atlantyckiego z udziałem Niemiec wymaga również i «psychologicznych zbrojeń». Czy wobec tego, że nie było jeszcze kiedy wychować nowego pokolenia — nie przyjdą znowu do głosu ci, co już raz popchnęli naród niemiecki na drogę, która doprowadziła Niemcy i świat do tragedii? Czy wysiłki najlepszych, czynione w ostatnich latach, nie pójdą na marne? Takie obawy są na dnie wielu serc i nic dziwnego, że poprzez prestiżowe sukcesy przewija się troska.

Nie tylko wiedzą Niemcy, że jeszcze nie zdołali zdobyć pełnego zaufania na świecie, ale i w pewnym sensie trochę nie dowierzają sami sobie. Niejednemu jeszcze brzmia w uszach słowa Tacyta o «dziwnej niekonsekwencji» Germanów i o tym, że «wolność Germanii jest wrogiem jeszcze bardziej śmiertelnym od despotyzmu Arkacesa». Gdybyż spełniły się marzenia o wolności, która nikomu nie grozi zagładą — o wolności, która z nikim nie szuka swarów, ale przeciwnie — wszystkim podaje rękę do zgody, o takiej wolności, której nie potrzeba się obawiać dla samego siebie, o wolności która naprawdę wyzwala... Kto tej troski dzisiaj w Niemczech nie widzi, ten nie pojmuje dramatu, rozgrywającego się w duszy niemieckiej niemal od zarania dziejów.

W ostatnim, kwartalnym sprawozdaniu p. Mc.Cloy'a, zagadnienia te są tylko z lekka zaznaczone. Może będą szerzej potraktowane w ramach zapowiedzianego raportu z całego okresu jego działalności. A może trzeba będzie jeszcze dłużej poczekać, aby otrzymać wyczerpujące odpowiedzi na pytania, postawione przed sześciu laty w «Raporcie Misji Edukacyjnej Stanów Zjednoczonych do Niemiec».*) Częściową odpowiedź, niestety pozabawioną optymizmu, jaki charakteryzuje zazwyczaj czynnych działaczy w polityce światowej, dają jednak głosy, pojawiające się z rzadka w publicystyce niemieckiej.

Diagnoza choroby, postawiona w owym raporcie z 1946 r., była naukowo obiektywna, nie mniej jednak dość surowa i szczerza. Członkowie misji nie poszli łatwą drogą, wskazaną przez modny dziś slogan: «Hitler to nie Niemcy» i sięgnęli głębiej do źródła niedomagań. Oto, co pisali: «Złośliwa choroba nazizmu rozwinęła się wewnątrz kultury o bardzo dużych rozmiarach i głębi. Żaden kraj — poza chyba dawną Grecją czy Rzymem — nie przyczynił się hojniej do wzbogacenia wspólnej skarbnicy cywilizacji. Przystępując do zagadnienia wychowawczego w Niemczech, nikt nie ośmieliłby się być ślepym na te osiągnięcia, ani zaniedbać wdzięczności. Z drugiej strony, niektóre z głę-

*) "Report of the United States Education Mission to Germany", United States Government Printing Office, Washington 1946.

szych źródeł ostatnich perwersji znajdują się w tejże samej kulturze, tak że nie było przypadkiem iż szkodliwość późniejszej niemieckiej teorii i praktyki okazała się niemniejszą od głębokości dawniejszych osiągnięć. Gdyż niektóre «spośród perwersji nazizmu były doprowadzonymi do przesady napięciami myśli i odczuwań, głęboko zakorzenionych w historii Niemiec». Tu wymieniają autorowie takie zjawiska, jak tradycja arystokratyczno-wojskowa, jak «łupieżcza moralność międzynarodowa» i przyzwyczajenie do bezkrytycznego posłuszeństwa górze. Nazizm sprawił, że «nawet prywatne cnoty Niemców stały się pożywką wielkiego, zbiorowego zła». W wyniku «ci, którzy przyszli po to, aby dać kulturze niemieckiej nową orientację, musieli iść drogą siły».

Zbudowanie w Niemczech demokracji natrafia na tę zasadniczą trudność, że «demokracja jest częściowo, w ujęciu niemieckim, formą rządu, albo nawet jako formy nie da jej się symulować, gdyż w jeszcze większym stopniu jest ona sposobem życia». Bez zrozumienia tej różnicy, więcej — bez jej wyuczania, nawet najbardziej szczerzy spośród Niemców będą błędzić po martwej dolinie, pokrytej intelektualnymi piszczałkami. «Niemcy są dziedzicem kulturalnej treści, która jest osadem historii ogólnoeuropejskiej. Ale potrzeba im metody, której zaw sze w Niemczech brakowało, pozwalającej zużytkować bogactwa ich dziedzictwa, nieuniknione konflikty zamienić na coś konstruktywnego».

Szkoła jest głównym ośrodkiem, w którym trzeba budować demokrację. Ale że szkoła nie jest na pustyni, więc trzeba i starsze pokolenie wychować tak — poprzez dom, kościół i rynek — aby przynajmniej nie przeszkadzało swym wpływem w wychowaniu nowego pokolenia. I tutaj autorowie raportu widzą nowe trudności, wynikające z postawionej przez nich diagnozy: «Tak jak w stosunkach społecznych w Niemczech przeskakuje się zło ty środek równości, a to na skutek nadmiaru arogancji albo wady służalstwa, tak i w swym doświadczeniu politycznym cierpiały Niemcy albo na nadmiar partii, uniemożliwiający działanie parlamentaryzmu, albo na niedostatek partii, który zgniatał wolność indywidualną. Niemcowi z trudnością przychodzi dojrzeć przyczynę tego stanu rzeczy lub przyznać, że ona istnieje. Pogardza polityką, gdyż sądzi, że nie jest ona godna jego idealizmu. Widząc, że nie wszystkie decyzje, oparte na zasadzie większości, są dobre, przeczucia się on na coś, co jest prawie zawsze złe — na decyzje mniejszości... W wyniku — ustawodawstwo staje się samotną grą, uprawianą przez jakiegoś Nadezłowieka, który używa wolności «szarego człowieka» jako żetonów. Niemiec nie widzi, że odsuwanie się od polityki jest raczej przyczyną aniżeli skutkiem tego czym pogardza. Brak mu zdolności do wejrzenia w sens polityki, gdyż nie ma on głębszej wiedzy moralnej. Nie rozumie, że absolutne wartości nie nadają się do działania; że politycy demokratyczni i polityka ratująca obywateli, którzy pogardzają demokracją, przed konsekwencjami, któ-

re wypływają z ograniczonego poczucia odpowiedzialności. A więc polityka nie jest tylko nicunikiem *sine qua non* w szkołach, które uczą tolerancji, ale jest również sama szkołą dyscypliny obywatelskiej; obywatel uczy się w niej publicznie rezygnować z dobra absolutnego na rzecz tego co praktycznie lepsze, tego do czego ludzie wspólnie dochodzą i co wspólnie wprowadzają w życie». W praktyce szkolnej pragnęli Amerykanie doprowadzić w Niemczech do zrozumienia, «że życie jest wspólnym poszukiwaniem dróg i że do tego przedsięwzięcia lepiej jest podchodzić bez uprzedzeń, aniżeli upierać się przy bezwzględnych wartościach, zaś skromność jest lepsza od imponowania siłą».

W swym sprawozdaniu kwartalnym pisze p. Mc.Cloy między innymi: «Ostatnio w Berlinie daje się zauważyć coraz to bardziej ożywiona działalność grup o tendencjach antydemokratycznych i nacjonalistycznych. Dotychczas grupy te były w Berlinie stosunkowo słabe. Jednak nie udało się temu miastu całkowicie uniknąć zjawiska, jakim jest wzrastająca zuchwałość skrajnej prawicy, obserwowana ostatnio w Niemczech zachodnich». W organie demokratycznych kół studenckiej młodzieży berlińskiej czytaliśmy niedawno: «Po 1945 r. wielu oczekiwało takiego nowego ukształtowania życia politycznego, jakiego, historycznie rzecz biorąc, nie można było wcale oczekiwać. I tych musiało spotkać rozczarowanie». W tymże piśmie znalazł się następujący komentarz z okazji przywrócenia «Deutschland über alles» do godności hymnu państwowego: «Nie ulega wątpliwości, że przed stu laty pieśń ta była wyrazem chwili historycznej i że jej tekst był wówczas wolny od szowinizmu. Ale jest smutne, że po roku 1945 przywrócenia tej pieśni domagały się przede wszystkim te siły, które ją przedtem śpiewały z zapalem łącznym z «Horst Wessel-Lied»... Młodzież, zgrupowana dokoła tego pisma, reprezentuje konstruktywne i międzynarodowe dążenia. Kiedy rozmawiałem z jednym z jej przywódców i zapytałem, czy idee te przyjmują się wśród młodzieży studenckiej, odpowiedział mi szczerze: «W Berlinie sporo młodzieży idzie za nami, ale w Niemczech zachodnich może jakieś 20%». I mówił dalej o niebezpieczeństwach, które wynikają z odradzającego się ruchu korporacyjnego oraz związanych z nim tradycji».

Frankfurcki miesięcznik «Aktion» pisał odważnie w końcu ubiegłego roku: «Nie ma w Niemczech prawdziwej, mocno zakorzenionej demokracji. W ciągu 6 lat nie dało jej się sztucznie wyhodować. Jeszcze jest tak, że naród tutejszy, gdy mu się odbierze klapy na uszy i przez to zdezorientuje, może być poprowadzony w każdym kierunku; najłatwiej jednak z powrotem tam, skąd przyszedł, albo gdzieś w krainę nieopisanego chaosu winy, strachu, chwały i rumowisk, która nieuleczalnie chyba skołowała mu głowę». W odpowiedzi, pisze ktoś w następnym numerze tego samego pisma: «Można wprawdzie z zupełną słusznością powiedzieć, że w 1945 r. naród niemiecki miał zupełnie dosyć wojny, bombardowań i Hitlera, że dziś nie chce już więcej

żadnego Hitlera, i gotów jest iść nową drogą. Ale gdyby ktoś chciał stąd wyprowadzić wniosek, że nastroje i poglądy, z których nazizm się zrodził i które w nazizmie wyraziły się tylko najbrutalniej, zostały wewnątrznie przewycięzione i że nastąpiła decyzja na korzyść demokracji — taki wniosek byłby oczywiście fałszywy. Mieć dosyć wojny i Hitlera, to nie jest to samo, co odwrócić się, z przekonania, od systemu, który Hitler reprezentował. System hitlerowski nie został w zasadzie obalony na skutek wysiłku niemieckiego narodu, wynikającego z wewnętrznej oburzenia, a demokracja nie powstała z dołu, z szerokiego ruchu ludowego. System hitlerowski został natomiast zniszczony przez przeważającą siłę zbrojną sprzymierzonych, a i demokracja została wprowadzona pod ich naciskiem».

Jako przykład słuszności tej oceny, autor ów podaje często dziś spotykany pogląd, w myśl którego bombardowanie Drezna przez lotnictwo sprzymierzonych było taką samą zbrodnią, jak zgładzenie milionów ludzi w Oświęcimiu. Postawienie znaku równania między działaniem wynikającym z techniki wojny totalnej i zbrodnią, której nie mogły uzasadnić żadne konieczności wojenne, uważa on za alarmujące pomieszanie pojęć i najzupełniej błędną drogę uwalniania się od odpowiedzialności. Wszystko to wskazuje jak trudny do rozwiązania i w gruncie rzeczy tragiczny jest problem moralny Niemiec współczesnych.

Przytoczyliśmy głosy niemieckie, głosy ludzi odważnych i wzdających. Dokąd idą i dokąd zajdą Niemcy dzisiejsze, w których niedokończone procesy moralne i wychowawcze komplikują się jeszcze fizycznym rozdarciem narodu na dwie części? Na to pytanie nie ma jeszcze odpowiedzi. Gdy przed 6 laty członkowie «Misji Edukacyjnej», po postawieniu diagnozy, określali zadania na przyszłość, to napisali jednocześnie, że zadania te nie mogą być osiągnięte w krótkim przeciągu czasu. Jeżeli eksperyment zmierza ku końcowi, to może słuszne są obawy, że czas ten był zbyt krótki?

Jerzy PRADZYŃSKI.

Kronika niemiecka

MAPA

Firma "Paul Lipa Verlag" (Berlin-Hamburg) wydała ostatnio mapę kolorową, przedstawiającą sowiecką strefę Niemiec oraz ziemie, przyłączone po wojnie do Polski. Na mapie jest wielkich rozmiarów napis: "Was wir nicht vergessen dürfen" (O czym nie możemy zapominać) i herby poszczególnych prowincji. Została ona wydana, jak się dowiadujemy, staraniem organizacji wysiedlonych i, przy obiecanych podobno poparciach senackich władz berlińskich i kół oficjalnych w Bonn, ma być umieszczona w szkołach i różnych instytucjach publicznych. Pod spodem mapy napis, mniejszymi literami: "Nach einer Verfü-

gung der Besatzungsmächte dürfen die Grenzen des Deutschen Reiches nur nach dem Stand von 1937 gezeigt werden". (Na mocy zarządzenia władz okupacyjnych, mogą być pokazane granice Rzeszy Niemieckiej jedynie wedle stanu z 1937 r.)

Innymi słowy wydawcy się tłumaczą, że nie sięgnęli dalej i nie ukazali jakichś roszczeń, sięgających dalej, w głąb przedwojennej Polski. I rzeczywiście, wśród herbów prowincji odnajdujemy np. herb "Grenzmark Posen-Westpreussen", o czym, jak mawia berlińskie radio, chyba "zapomniano w pośpiechu".

Należało by zapytać w jakim celu wydaje się tego rodzaju mapy. Pytanie jest ważne dla tego, że w danym wypadku wychodzi się już poza granice polemiki "dyplomatycznej", a rozpoczyna się propagandę, która ma na widoku wywołanie uczuciowej reakcji u najmłodszych, u tych, którzy mają być przyszłością Niemiec, części Europy. To jest nierozważne i ryzykowne.

Dopisek na dole mapy nie przynosi w zasadzie nic nowego. Jak ogólnie wiadomo, mocarstwa zachodnie stoją na stanowisku, że dopiero przyszły traktat pokojowy może ostatecznie zatwierdzić zmiany terytorialne, dokonane po ostatniej wojnie, a więc nie zabrania dyskusji na ten temat, bez względu na ich realność.

Ale umieszczenie tego napisu, jak również herbu "Grenzmark Posen-Westpreussen" (według dowolnej terminologii niemieckiej) świadczy o tym, że pewne koła w Niemczech jeszcze nie zdecydowały się stanąć na stanowisku niepodległości Polski i za stan normalny uważają... stan rozbiórów Polski, dokonanych w końcu 18-go w., a znanych w świecie pod nazwą zbrodni międzynarodowej.

Nie można się dziwić, gdy podobne przedsięwzięcia wywołują poważną troskę i niepokój — nie tylko wśród Polaków. A tyle się mówi o Europie...

SOF

Staraniem "Kultury" rozpoczęto w Berlinie wydawanie miesięcznego serwisu prasowego w języku niemieckim pn. "SOF-Stimmen zu Osteuropäischen Fragen". Jest on redagowany przez korespondenta "Kultury" w Berlinie przy współudziale ukraińskich przyjaciół. Wybór wiadomości, przedruków z prasy i komentarzy ma na celu bliższe zaznajomienie opinii niemieckiej z niektórymi zagadnieniami Europy środkowo-wschodniej, a przede wszystkim z zagadnieniami polskimi i ukraińskimi.

SOF wywołały w Niemczech zainteresowanie, o którym świadczą zapytania, zamówienia i korespondencja. Wypowiada się zdanie, że SOF wypełniają lukę, że niektóre z zagadnień, poruszanych przez SOF bywały dotychczas komentowane w sposób uproszczony i czasami jednostronny.

We wstępie do pierwszego numeru, redakcja SOF mówi, że wierna zasadzie "rerum cognoscere causas", będzie również podawała głosy i opinie o sprawach, co do których zdania są w Niemczech podzielone.

Ukazały się już 3 kolejne numery SOF, czwarty oczekiwany jest w najbliższym czasie.

KONGRESY I... PSYCHOLOGIA

Pewien Amerykanin zapytał pewnego Rosjanina, niedawno jeszcze sowieckiego oficera, a dziś uważanego za eksperta w dziedzinie obrony przed sowieckim niebezpieczeństwem: "Co Pan teraz porabia?" — "Prowadzę wojnę psychologiczną" — odrzekł Rosjanin z namaszczaniem. — "Ach tak", — Amerykanin na to z prostotą — "a co Pan robi po południu?" — Historia nie mówi jaką odpowiedź otrzymał. Ale gdyby to pytanie było zadane w czasie düsseldorfskiego kongresu "wolnych narodów" czyli w drugiej połowie lipca br., to ów ekspert od wolności i od psychologii odpowiedziałby niewątpliwie, że i po południu jest bardzo zajęty.

W Düsseldorfie bowiem, jak to stwierdził któryś z niemieckich sprawozdawców, przedstawiony został "głównie rosyjski punkt widzenia", którego jakoś nie chcieli podzielić przedstawiciele "nierosyjskich narodów". Ci, oczywiście, którzy się tam znaleźli, bo np. Polaków i Czechów nie było wcale. "Nierosyjskie" zastrzeżenia przedstawił i to dość krewko, mówca ukraiński. Nie wiem jak to było z zaproszeniem Czechów. Ale trzech Polaków zaproszono, i choć nie wyrazili na to zgody, wydrukowano czym prędzej ich nazwiska na liście delegatów, ba — nawet na liście zapraszających. Musieli protestować i prostować. Dziwne to były listy. Kogo tam nie było! Obok wszystkich niemal znanych osobistości z Europy i Ameryki, znalazł się tam również b. premier jednego z "quislingowskich" rządów wschodniej Europy, zorganizowanych przez pełnomocników Hitlera w czasie wojny, znaleźli się — jako rzekomi przedstawiciele Ukraińców — jacyś panowie, z którymi żadne ugrupowanie ukraińskie nie chce mieć nic wspólnego itd., itd. Byli również na liście przedstawiciele zachodnio-niemieckiej partii socjal-demokratycznej, ale tym zarząd stronnictwa po prostu zabronił udziału w zjeździe. Co najdziwniejsze, organizatorem kongresu okazał się niemiecki Związek ofiar hitleryzmu. On aura tout vu!

Kilka słów o kongresach w ogólności. Odbywa się ich w Niemczech zachodnich, i w Berlinie, niezliczona ilość. Niech tylko ktoś zawoła: "wolność" albo "Europa" — już zaraz któraś z organizacji zwołuje kongres międzynarodowy. I wnet z całej Europy zjeżdżają się śpiesznie delegaci, wygłaszają referaty, dyskutują zawzięcie, tworzą stałe komitety, uchwalają rezolucje i rozjeżdżają się, zapewniając Europę o "pozytywnych wynikach". Gdyby zwycięstwo w "zimnej wojnie" zależało od ilości kongresów międzynarodowych, zwoływanych na terenie Republiki Związkowej, od wydanych na te kongresy pieniędzy, od ilości i długości wygłaszanych na nich przemówień, od niezliczonych komitetów i od uprzejmości składanych sobie wzajemnie ukłonów, od śniadań i przyjęć cocktailowych, wydanych przy tej okazji — to, mój Boże, zwycięstwo byłoby już od dawna nasze, bo Kreml rozsypałby się w proch z samego przerażenia, a czternastu (jeżeli się nie mylę) członków Politbiura straszyloby by dziś tylko na poddaszach w charakterze zawodowych duchów, w białych, albo raczej w czerwonych prześcieradłach.

Zart na stronę. Czy nie warto byłoby zastanowić się nad tym, komu właściwie przynoszą korzyść podobne imprezy i czy nie szkoda na to czasu i pieniędzy? Właściwie na tak niefortunne imprezy jak kongres düsseldorfski? Rzecz oczywista, zawsze się znajdzie w Europie sporo chętnych do turystyki i do wygłaszania przemówień na dowolne tematy. Ale niewiele chyba z tego wynika. Ponadto, przy tej okazji, więcej jest nieporozumień i złej krwi, aniżeli "pozytywnych rezultatów".

Jednym z nieporozumień jest zwoływanie tych kongresów nie tylko w Niemczech, ale i przez niemieckie organizacje. Nie chcemy być źle zrozumiani. Po latach odcięcia od życia międzynarodowego, wielu ludzi w Niemczech doń tęskni, wielu pragnie "wyżyć się" na tym terenie. Niejeden też, z pewnością, szczerze pragnie coś zdziałać dobrego. Tylko... jest jeszcze druga strona medalu. Właśnie coś z dziedziny psychologii. Niemcy, jako naród, mimo dużej ilości napisanych po niemiecku dzieł w tej materii, nie są psychologami. Idą czasem zbyt szybko, działają zbyt namiętnie, wywołując najczęściej u innych niepokój i podejrzenia, podsycane niedawnymi jeszcze wspomnieniami. Powstają nieporozumienia, które w Niemczech z kolei wywołują urazy, zwłaszcza że owe nieporozumienia tłumaczy się zazwyczaj niezupełnie trafnie. Innymi słowy: jest jeszcze co najmniej za wcześnie na obejmowanie kierownictwa. To może w sumie przynieść więcej szkody niż pożytku. Nie mówimy na wiatr. Niedawno przecież czytaliśmy w jednym z berlińskich dzienników, że Niemcy są szczególnie powołane do "łagodzenia przeciwieństw", istniejących wśród narodów wschodniej Europy. Nie

ma powodu wątpić w szlachetność intencji autora tej tezy. Ale, na miły Bóg, czy teza nie zbyt śmiała?

"Niektóre pisma podawały, że w Düsseldorfie chodziło o utworzenie "sztabu generalnego zimnej wojny". Zapewne, coś w tym rodzaju powstać powinno. Kto jednak sobie wyobraża, że da się to zrobić podobnymi sposobami, ten żyje w świecie złudzeń, czyli "in a fool's paradise".

KONGRES PRAWNIKÓW W BERLINIE

"Międzynarodowy kongres wolnych prawników" odbył się w Berlinie pod koniec lipca. W porównaniu z kongresem "wolnych narodów" w Düsseldorfie, była to impreza bez porównania poważniejsza i staranniej przygotowana. Zwołany przez berliński "Wydział dochodzeń wolnych prawników", Kongres ten miał przede wszystkim na celu przedstawienie delegatom faktów, świadczących o bezprawności jakie się dzieją w "Niemieckiej Republice Demokratycznej", tj. w sowieckiej strefie Niemiec i w sowieckim sektorze Berlina. Na kongresie panowała powszechnie opinia, że przedstawiony materiał był niezwykle starannie zebrany, dowody przekonujące. Zeznania naocznych świadków zwiększyły jeszcze ich wagę.

Kongres odbywał się w szczególnie dramatycznej atmosferze przez to, że zebrał się właśnie w niewiele dni po uprowadzeniu przez osławioną komunistyczną SSD (Państwową Służbę Bezpieczeństwa) jednego z działaczy "Wydziału" dr Linse i to z samego środka zachodniego Berlina. Jednocześnie, w Berlinie wschodnim, odbywała się rozprawa przeciwko szeregowi osób, oskarżonych przez komunistów o rzekome szpiegostwo, uprawiane na zlecenie "Wydziału".

Zadaniem Wydziału — jak mówił mi jego przewodniczący dr Friedenau przed kongresem — nie jest walka z ideologią komunistyczną — ale walka o "Rechtsstaat", tj. o praworządność. Zebrane przez "Wydział" dowody świadczą, że to pojęcie obce jest państwu, w których rządzi komunizm. Że prawo nawet ustanowione przez rządy komunistyczne nie jest przez nie same uczciwie stosowane. Gdy więc w konstytucjach i ustawach, w teorii, rozmaite prawa przysługują obywatelowi — to w praktyce nie ma on możliwości korzystania z nich, a w razie ich naruszenia przez władze — jest zupełnie bezbronny. Jest to stan bezprawia, w którym jedynym "prawem" staje się samowola władzy. Na tym wzorze budowane były wszelkie tyranie (nb., trudno się powstrzymać od uwagi, że gdyby to kryterium było wcześniej wzięte pod rozwagę w niejednym z krajów Zachodu, uniknęło by się wielu głupawych, a w skutkach swoich tragicznych, bajdurzeń na temat "wschodniej demokracji", od jakich roko się przed kilku laty w piśmie, reprezentujących tzw. intelektualistyczne koła). W czasie obrad kongresowych temat ten został rozszerzony i dyskusje objęły zarówno historię jak i tło pojęć prawnych w krajach sowieckich. Utworzono stały komitet, złożony wyłącznie z prawników zachodnich, z siedzibą w Hadze.

Prawnicy, pochodzący z krajów opanowanych dziś przez Sowiety, byli również na kongresie. Jakkolwiek niektóre ich wystąpienia wywołały pewne echa (m.in. wystąpienie prawnika litewskiego na temat genocydu), nie odegrali oni, w sumie, większej roli. W rezultacie powierzono organizacji niemieckiej obserwację stosunków za żelazną kurtyną, co nie wydaje się właściwym rozwiązaniem. Po pierwsze dla tego, że o ile "Wydział" berliński ma możliwość zbierania dokładnych informacji w sowieckiej strefie Niemiec, o tyle zbieranie wiadomości, dotyczących innych krajów, opanowanych przez Sowiety, stanowczo przekracza jego możliwości. Po wtóre, istnieją na Zachodzie ośrodki narodowe, które do tych zadań są lepiej przygotowane i mogą je spełnić skutecznie. Wreszcie, należy wątpić czy oddawanie tego rodzaju pełnomocnictw w ręce ośrodka niemieckiego da się praktycznie przepracować z zasadniczych względów.

Wprawdzie obecny na kongresie przewodniczący Rady Wolnej Czechosłowacji dr Osusky zawiadomił delegatów, że w czasie kongresu powstał również stały komitet wolnych prawników z za żelaznej kurtyny pod jego przewodnictwem, ale "Wydział" berliński ma i w tym wypadku odgrywać rolę koordynatora, co wydaje się praktycznie nie do przeprowadzenia. Należy przypuszczać, że będzie szereg sprzeciwów, m.in. z polskiej strony.

Polskich prawników na Kongresie nie było. Wprawdzie zjawili się na krótko p. Tytus Komarnicki, ale niemal natychmiast po przyjeździe odjechał, nie wzięwszy właściwie udziału w pracach zjazdu. Na liście zaproszonych był szereg polskich nazwisk. Podobno jednak Związek Polskich Prawników w Londynie odpowiedział odmownie na to zaproszenie. Nie znając treści tego listu, nie znamy motywów odmowy. Być może, że były one poważne. Jednak wydaje nam się, że byłoby lepiej, gdyby Polacy na zjeździe się zjawili. Mając za sobą nie tylko wspomnienia o doznanych krzywdach, ale i doświadczenia w walce przeciwko obu totalnym tyranom, byłiby się może przychylni do tego, aby głos krajów, najbardziej dziś cierpiących od sowieckiego bezprawia, zabrzmiał donośniej i wysłuchany był z większą uwagą. Tymczasem, sprawy te były właściwie na kongresie dodatkiem do głównego zagadnienia — sytuacji w sowieckiej strefie Niemiec.

W związku z powstaniem komitetu wolnych prawników z za żelaznej kurtyny, przedstawiciel "Kultury" usiłował, w czasie ostatniego plenarnego zebrania, przeprowadzić rozmowę z przewodniczącym nowego komitetu dr Osuskim i uzyskał od niego obietnicę, że rozmowa ta odbędzie się zaraz po zakończeniu zebrania. Jednak tak się jakoś nie szczęśliwie złożyło, że dr Osusky wyszedł przed zakończeniem obrad i Wasz korespondent poszukiwał go daremnie, ku swemu wielkiemu żalowi. Wobec tego pozwała sobie na tym miejscu wyjaśnić, że nie kierowała nim bynajmniej tylko ciekawość, ani wyłącznie, zrozumiała zresztą, chęć bliższego poznania wybitnego męża stanu sąsiedniego narodu. Natomiast, jako jedyny obecny na kongresie korespondent polskiego pisma, chciał spełnić swój obowiązek, dając polskiej opinii publicznej możność poznania poglądów dr Osusky'ego na sprawę, która i dla Polaków nie może być obojętna.

BERLIŃCZYK.

Kronika angielska

SPRAWA WOJSKA

Ustalmy przede wszystkim fakty. Na wstępie należy zaznaczyć, że memoriał złożony Dowództwu Sił Zbrojnych Paktu Atlantyckiego przez wyższych wojskowych, reprezentujących osiem krajów za "żelazną kurtyną" — nie jest identyczny w swej treści z projektem kongresmanów Armstronga i Kerstena. Politycy amerykańscy swój projekt "Armii Wyzwolenia" oparli niewątpliwie m.in. i na wspomnianym memoriale, ale w swych przemówieniach nie ujawnili istotnych punktów tego dokumentu. Należy się im wdzięczność za postawienie tej sprawy na forum polityki amerykańskiej — niemniej jednak, ich przemówienia nie są dostateczną postawą dla wydania opinii o samym memoriale.

Jak mnie poinformowano w oficjalnych kołach wojskowych, tekst tego dokumentu nie będzie ujawniony w bliskiej przyszłości. Memoriał dotyczy tylko tych narodów za "żelazną kurtyną", które tworzyły nie-

podległe państwa w r. 1939. Z tej przyczyny, brak pod memoriałem podpisów ukraińskich. W naszej opinii, należy dołożyć wszelkich starań, by formacje ukraińskie znalazły się na równi z innymi i na tych samych prawach w projektowanej "Armii Wyzwolenia" — lecz to jest zagadnienie odrębne, wymagające osobnego omówienia.

Wojskowi, którzy podpisali omawiany memoriał, zbierają się w określonych terminach i na swego przewodniczącego jednogłośnie wybrali gen. Andersa. Jak wiadomo — gen. Anders podpisał ów dokument ze strony polskiej, działając w porozumieniu z Prezydentem R. P. i rządem.

Większość mylnych sądów w sprawie wojska bierze swe źródło z przesadnej licytacji warunków i postulatów, oraz z wadliwej oceny naszych możliwości. Zawinili tu głównie publicyści pro-rządowi i hurra-patriotyczni, którzy wyśrubowali na cierpliwym papierze nasze postulaty i żądania do granic absurdalnych. Program tej szkoły patriotycznych maksymalistów (Zygmunt Nowakowski) streścić można w następujących punktach: a) przekreślenie Jałty, b) uznanie rządu polskiego w Londynie, c) podpisanie umów i gwarancji, które obejmowałyby Polskę w granicach z 1939 r. wraz z ziemiami odzyskanymi. Według zwolenników tej "szkoły", dopiero po spełnieniu i zagwarantowaniu tych wstępnych warunków, możemy rozpocząć rozmowy na temat odbudowy polskiej armii na Zachodzie.

Tymczasem — należy wnioskować, że w praktyce wszystko będzie wyglądało nieco inaczej. Mówiąc o odbudowie armii, należy rozróżnić dwie fazy. Pierwsza to okres organizacji, przygotowań i szkolenia. Faza druga to wejście naszych wojsk do akcji (zakładając oczywiście wybuch zbrojnego konfliktu). Sprawa uznania rządu stanie się zagadnieniem palącym w fazie drugiej. Istnieją dane, które pozwalają sądzić, że zarówno rząd jak i władze wojskowe nie będą w pierwszej fazie organizacyjnej stawiały sprawy uznania rządu jako warunku sine qua non. Trzeba powiedzieć, że jest to polityka realistyczna i słuszna. Jak długo bowiem nie mamy ani jednej dywizji, nie przedstawiamy dla sojuszników wielkiej wartości. Inne są szanse odzyskania uznania rządu, który nie dysponuje armią — a inne możliwości odzyskania uznania posiada rząd emigracyjny, który przez wielotysięczną armię uznawany jest za rząd legalny.

Oponenci tej tezy wysuwają argument, który najbardziej obrazowo sformułował Jędrzej Giertych mówiąc w jednym ze swych ostatnich artykułów... że lepiej mieć dwa bataliony niezależne, niż 70 tysięcy w obecnej służbie.

Jest rzeczą zdumiewającą do jakiego stopnia zdołaliśmy na emigracji ufikcyjnie system naszego rozumowania. Żalóżmy, że wszystko tak się odbywa jak wysnili poeci i Zygmunt Nowakowski. Rząd nasz jest w pełni uznany i w pełni suwerenny. Jałta przekreślona, gwarantują nam granice z 1939 r. na wschodzie i obecne na zachodzie. Lecz i w takiej sytuacji nie mogliśmy marzyć nawet o dwóch batalionach niezależnych. Dwa niezależne bataliony możemy mieć tylko na terenie Hyde Park'u — w miejscu zarezerwowanym dla "niezależnych" mówców. Z chwilą jednak, gdy te dwa bataliony miałyby cokolwiek pożytecznego zrobić, trzeba by je umundurować, wyszkolić, uzbroić i last but not least wypłacić im żołd. I w tym celu trzeba by je poddać dowództwu sojuszniczemu.

W rzeczywistości sprawa "niezależności" naszej przyszłej armii przedstawia się całkowicie odwrotnie. Gen. Anders tym bardziej będzie niezależny im większą będzie dowodził jednostką. Jeżeli dowodziłyby dwoma batalionami zależały od brygadiera — jeżeli natomiast będzie dowódcą 100-tysięcznego korpusu, podlegać będzie taktycznie jedynie naczelnemu dowództwu teatru europejskiego.

W sumie, nasz pogląd na sprawę wojska można sformułować następująco:

a) Jeżeli chodzi o odbudowę Wojska Polskiego na Zachodzie — to im wcześniej tym lepiej.

b) Jeżeli chodzi o użycie tych wojsk w akcji bojowej — to odwrotnie, im później tym lepiej.

Wojsko będzie głównym atutem naszej polityki. Waga tego atutu będzie tym większa, im większą armię zdołamy wystawić i... zachować. Bo rozumując kategoriami wojennymi łatwo przewidzieć, że wojsko będzie dla nas najistotniejszym atutem w końcowej fazie wojny. I sądzimy, że to jest zasadniczy postulat, który winien być jasno, otwarcie i niedwuznacznie postawiony przez rząd i władze wojskowe.

Nasza armia na Zachodzie będzie formacją nieco innego typu, niż wojsko, jakie mieliśmy na obczyźnie w czasie drugiej wojny światowej. Naszym celem jest stworzyć ramy i kadry doskonale wyszkolonych oficerów, podoficerów i specjalistów wojskowych. Bo wprawdzie nie ulega wątpliwości, że armia Rokossowskiego w swej masie i rdzeniu jest polska — to przecież nie ulega również wątpliwości, że jest dowodzona (od majora na górę) przez Rosjan, lub zawodowych komunistów. Leży w interesie zarówno naszym jak i Anglosasów, by powyższy fakt znalazł pełny wyraz w postanowieniach zmierzających do odbudowy polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Problem młodych oficerów i młodych dowódców będzie długo palącym zagadnieniem naszej armii.

Memoriał paryski jest pierwszym oficjalnym dokumentem pod którym złożyli swe podpisy wojskowi przedstawiciele ośmiu krajów zza "żelaznej kurtyny". Na tle rosnących trudności politycznych ten dokument "federujący" niepodległościowe dążenia dowódców wojskowych — nabiera swoistej wymowy.

Przed rokiem "Kultura" wystąpiła z projektem środkowo-wschodniej europejskiej brygady. Projekt ten wzbudził znaczne zainteresowanie prasy amerykańskiej. "Armia Wyzwolenia" nie jest identyczna z naszym projektem, lecz w ogólnych zarysach opiera się na podobnych założeniach. Być może armia w której skład wchodziłyby jednostki polskie, rumuńskie, węgierskie, czechosłowackie, litewskie i inne — stałaby się "przedszkołem" idei federacyjnej. Bo wprawdzie formacje narodowe byłyby niezależne, to jednak tworzyłyby łącznie jedną wielką jednostkę. Projekt jest nowoczesny, interesujący i wart poparcia. Kryje on w sobie tylko jeden groźny znak zapytania, a mianowicie — problem niemiecki.

"KULTURA" A SKARB NARODOWY

W poprzednim numerze naszego pisma ukazała się notatka o Skarbie Narodowym pióra londyńskiego korespondenta "Kultury", Juliusza Mieroszewskiego. Notatka podpisana była pseudonimem "Londyńczyk", gdyż londyński korespondent "Kultury" od dwóch i pół lat tym pseudonimem sygnuje swoje miesięczne "Kroniki angielskie".

Powyższa notatka spowodowała serię nieoczekiwanych wydarzeń.

Należy przypomnieć, że w owej notatce, omawiając bilans Skarbu Nar. napisałem co następuje: "Najpoważniejsza pozycja w wydatkach administracyjnych sformułowana jest następująco:

Wydatki administracyjne bieżące — Główna Komisja i komisje terytorialne £ 3,783:18:5.

"Należy zaznaczyć" — pisałem dalej — "że wydatki na druk legitymacyj i znaczków Skarbu Nar., na organizację Skarbu Nar. i jego placówek, na druk plakatów, afiszy i ulotek, na publikacje Skarbu Nar. i koszty ekspedycji, na ogłoszenia i inne wydatki, na wydatki na organizację komisji terytorialnych — podane są osobno i nie są objęte cytowaną kwotą £ 3,783:18:5. Na jakie więc, jeszcze inne wydatki administracyjne Główna Komisja i komisje terytorialne wydały niemal 4 tysiące funtów? W myśl Dekretu Prezydenta — członkowie władz Skarbu Nar. nie mogą pobierać za swe prace żadnego wynagrodzenia,

ale być może komisja zatrudnia 15 sekretarek z płacą 250 £ rocznie". Tak brzmi "inkryminowany" ustęp mojej notatki.

W kilka dni po ukazaniu się sierpniowego numeru "Kultury" w sprzedaży — jeden z polityków koalicji rządowej i członek Rady Narodowej zaproponował mi spotkanie i rozmowę. W czasie dyskusji, która odbyła się w miłej i przyjaznej atmosferze — dowiedziałem się z ust mojego rozmówcy, że członkowie zarządu Skarbu Nar. czują się dotknięci frazą o 15 sekretarkach. W odpowiedzi wyjaśniłem, że jeżeli jakaś instytucja nie podaje specyfikacji wydatków administracyjnych i poprzestaje na ogłoszeniu globalnej kwoty, sięgającej niemal 4 tysięcy funtów — to czytelnik upoważniony jest mniemać, że ową kwotę wydano m.in. i na sekretarki jako, że i pensje sekretarek są wydatkami administracyjnymi. Na uwagę, że przecież mogłem bez trudu specyfikację tych wydatków otrzymać w Głównej Komisji Skarbu Nar. odpowiedziałem, że w tym wypadku nie chodzi o mnie, lecz o kilka czy kilkanaście tysięcy czytelników "Kultury" rozrzuconych po wszystkich częściach świata. Czytelnicy nasi nie mają dostępu do biur Głównej Komisji Skarbu Nar. w Londynie i całość swych informacji o gospodarce Skarbu Nar. czerpią wyłącznie ze sprawozdań i z bilansów, które zostały ogłoszone w polskiej prasie emigracyjnej. Faktem jest natomiast, że w bilansach i sprawozdaniach wydatki te podane są globalnie, bez jakichkolwiek specyfikacji. Według mojej opinii również i ci Polacy, którzy mieszkają poza Londynem — mają prawo wiedzieć na jakie cele administracyjne wydano tak poważną kwotę. Dodałem również, że jeżeli władze Skarbu Nar. udostępnią mi specyfikację wydatków, które złożyły się na ową sumę, w następnej korespondencji przytoczę pełne rozliczenie.

Po przeprowadzeniu cytowanej rozmowy oczekiwałem na informacje z Głównej Komisji Skarbu Nar. Żadnych danych jednak nie otrzymałem; powiadomiono mnie natomiast — ustnie, pisemnie i telefonicznie, że do egzemplarzy "Kultury" sprzedawanych w "Orbisie" i w "Ognisku" dołączono ulotkę Skarbu Narodowego.

Następnego dnia (23 lipca br.) stwierdziłem osobiście w księgarni "Orbis", że każdy egzemplarz "Kultury" wyłożony na stole do sprzedaży zawierał ulotkę Skarbu Narodowego.

Powyższa ulotka zaopatrzona jest w nadruk: "Skarb Narodowy — Główna Komisja — Prezydium" i podpisana: "Za Prezydium Głównej Komisji Skarbu Narodowego — St. Dołęga-Modrzewski — wiceprezes".

Ulotka nie podaje specyfikacji wydatków administracyjnych, które złożyły się na kwotę owych £ 3,783. Stwierdza natomiast, że wszystkie wydatki administracyjne i organizacyjno-propagandowe wynoszą 22 1/2 % — podczas gdy w mojej notatce w numerze sierpniowym użyłem określenia, że Skarb Nar. wydaje na administrację "niemal 25%".

Po zapoznaniu się z treścią ulotki wystosowałem pismo do p. Dołęgi-Modrzewskiego, w którym wyraziłem pogląd, że dołączanie ulotek do egzemplarzy pisma bez zgody redaktora tegoż pisma — jest nadużyciem. Wyraziłem również ponownie gotowość zamieszczenia w następnym numerze "Kultury" specyfikacji wydatków, które złożyły się na owe £ 3,783.

Równocześnie napisałem list do jednego z ministrów w naszym Rządzie, którego, mimo różnic w zapatrywaniach jakie nas dzieli, b. wysoko cenię — i przedstawiłem mu całą sprawę dołączając kopię mojego listu do p. Modrzewskiego.

Na zaproszenie ministra X (nie jestem upoważniony do cytowania nazwisk) zostało zorganizowane zebranie, w którym wzięli udział oprócz prezesa Dołęgi-Modrzewskiego jeszcze drugi przedstawiciel Skarbu Nar., członek Rady Narodowej, który pierwszy nawiązał ze mną w tej sprawie kontakt oraz niżej podpisany. Przewodniczył minister X. Konferencja odbyła się w atmosferze całkowitej szczerości i

otwartości. Prezes Dołęga-Modrzewski ujawnił, że władze Skarbu Nar. wysłały do punktów kolportażowych okólnik z zaleceniem by sprzedawcy — za zgodą kupującego — dołączali do egzemplarzy "Kultury" ulotkę Skarbu Narodowego.

W czasie konferencji przedstawiciele Główn. Komisji Skarbu Nar. udostępnił specyfikacje wydatków, które złożyły się na kwotę owych £ 3.783. (Rozliczenie dotyczące tej kwoty przytacza prez. Modrzewski w liście do redakcji).

Zarówno ze słów jak i z postawy p. Dołęgi-Modrzewskiego wynikało bezspornie, że zarówno on jak i inni członkowie Zarządu Skarbu Narodowego czuli się dotknięci frazą o 15 sekretarkach w mojej notatce. Zagadnienie czy dane określenie jest obraźliwe czy nie, w znacznym stopniu zależy od indywidualnego odczucia. Ponieważ nie było moją intencją obrażać ani p. Modrzewskiego ani Zarządu Skarbu Nar. — oferuję Członkom Głównej Komisji Skarbu Nar. moje ubolewanie z powodu użycia przeze mnie niefortunnej frazy o 15 sekretarkach.

Tak oto mamy wyjaśnione dwie sprawy: specyfikację wydatków objętych kwotą £ 3.783 — oraz sprawę owych 15 sekretarek — za które przeprosiłem tych, którzy odnośnym zdaniem mojej korespondencji sierpniowej czuli się dotknięci. Pozostał natomiast do rozpatrzenia problem główny, który nie ma już nic wspólnego z moją notatką. Problem ów powstał wyłącznie na skutek akcji Skarbu Nar.

Stosunki między obywatelem a prasą normowane są przepisami prawnymi i zwyczajem czyli tzw. dobrymi obyczajami. Jeżeli osoba prywatna czuje się pokrzywdzona, czy urażona treścią artykułu dziennikarskiego ma przed sobą dwie drogi: list do redaktora danego pisma z żądaniem zamieszczenia sprostowania (wedle polskiego prawa) — lub skargę sądową. P. Modrzewski, działając imieniem władz Skarbu Nar., wybrał natomiast drogę akcji bezpośredniej.

W związku z powyższą sprawą byłbym zobowiązany doradcom prawnym Skarbu Narodowego gdyby w liście do redakcji "Kultury", który opublikujemy — zechcieli odpowiedzieć na następujące pytania:

- 1) Czy Skarb Narodowy posiada jakieś tytuły i przywileje prawne na mocy których jest on władny regulować swoje stosunki z prasą inaczej niż zwyczajni śmiertelnicy? Innymi słowy czy polskie ustawodawstwo prasowe nie obowiązuje instytucji Skarbu Narodowego?
- 2) Na jakiej podstawie prawnej Skarb Nar. wydaje "okólniki" czy zalecenia dla punktów sprzedaży prasy polskiej i zakłóca "operacją ulotkową" normalną i legalną cyrkulację polskiego pisma niepodległościowego, narażając je na straty materialne i moralne?

W czasie wzmiankowanej konferencji p. Prezes Dołęga-Modrzewski odczytał ów "okólnik" w którym powiedziano, że sprzedawcy proszeni są o dołączanie ulotki Skarbu Nar. za zgodą kupującego. Owa teoretyczna klauzula "za zgodą kupującego" — ma na celu (należy przypuszczać) nadać całej akcji charakter "niezaczepialny" pod względem prawnym.

Gdyby wzmiankowana ulotka nie była imiennie skierowana przeciwko "Kulturze" rozumowanie doradców prawnych Skarbu Nar. byłoby... niemal prawidłowe. Skarb Narodowy ma prawo za pośrednictwem kolporterów proponować kupującym prasę polską przyjęcie ulotek Skarbu. Natomiast ulotki skierowanej imiennie tzn. z wymienieniem tytułu i miejsca druku przeciwko "Kulturze" nie wolno proponować kupującemu egzemplarz "Kultury" nawet za zgodą kupującego. Stanowi to bowiem pogwałcenie autorskich i redaktorskich praw wydawcy pisma. Prawa te przysługują mu również i w stosunku do sprzedanych numerów pisma.

Gdyby rozumowanie prawników Skarbu Nar. było prawidłowe to jeżeli — powiedzmy dla przykładu — jakiś księgarz nabywcom książki Gen. Andersa proponowałby za ich zgodą ulotkę atakującą autora — to wedle tej "wykładni" polskiego prawa prasowego, Gen. Anders nie

miałby do dyspozycji żadnych środków prawnych, by się bronić przeciwko takim machinacjom.

Na szczęście tak nie jest. Ani autor, ani redaktor-wydawca nie tracą swych praw w odniesieniu do sprzedawanych w handlu egzemplarzy i prawa te chronione są ustawami na całym świecie z wyjątkiem Rosji Sowieckiej.

Oprócz strony prawnej istnieje jeszcze sprawa tzw. dobrych obyczajów.

Spółczesność polska na emigracji — bez względu na przekonania polityczne — jest bardzo uczulona na punkcie wolności słowa mówionego i drukowanego i wszelkie akcje zmierzające do ograniczenia tej wolności spotkają się zawsze z ogólnym potępieniem. Nasze władze nie mają tradycji we współpracy z niezależną prasą i w wielu wypadkach nie zdają sobie sprawy z roli pisma i jego zasięgu.

Powyższa sprawa nie jest pierwszą z tej serii. I tak np. "Syrena" z dnia 5.4. br. ogłosiła sprawozdanie Rady Skarbu Narod. we Francji w którym następująca m.in. następująca pozycja: "Prasowa akcja niepodległościowa — 230.000 franków". W kronice w majowym numerze "Kultury" (Nr 5/55) zwróciłem się pod adresem władz Skarbu Nar. we Francji z zapytaniem co należy rozumieć przez "prasową akcję niepodległościową"? Czy chodzi w tym wypadku o subwencję? Jeżeli tak, to czytelnicy "Kultury" chcieliby wiedzieć, które pisma we Francji są subwencjonowane a które nie i kto o tym decyduje? W sprawach prasowych nie ma powodu do żadnej tajemniczości.

Mamy wrzesień — upłynęło 5 miesięcy, lecz władze Skarbu Nar. we Francji nie nadesłały nam żadnych wyjaśnień. A przecież wyniosła polityka "wzgardliwego milczenia" nie jest, w tym wypadku, polityką ani właściwą, ani celową. Trzeba bowiem pamiętać, że tysiące Polaków — zwłaszcza poza Europą — czerpią swe informacje o życiu polskim wyłącznie za pośrednictwem "Kultury". Są to ci nasi Czytelnicy, którzy z pism polskich — prenumerują jedynie "Kulturę".

Ta grupa naszych Czytelników przeczytawszy notatkę o owych 230 tysiącach franków na "prasową akcję niepodległościową" — czeka wyjaśnienia tej sprawy na łamach "Kultury". Gdy mijają miesiące a wyjaśnienie nie pojawia się, niejedni z nich pomyśli, że władze Skarbu Nar. we Francji najwidoczniej woła — z takich czy innych przyczyn — nie podejmować dyskusji w tej sprawie.

I zapytuje, kto w tym wypadku uprawia złą propagandę Skarbu — czy "Kultura", która prosi o wyjaśnienie, czy też władze Skarbu Nar. we Francji, które kwitując nasze zapytanie wzgardliwym milczeniem — nadają (prawdopodobnie jasnej sprawie) charakter niejasny i nie- wyjaśniony?

Poświęciłem tym sprawom wiele miejsca nie w tym celu, by epizod ten rozdmuchać, ale z tego względu, że p. Prezes Dołęga-Modrzewski w liście swym do redaktora "Kultury" pomija problem zasadniczy. Cenię sobie wysoko, że p. Prezes Modrzewski proponuje skreślenie z pamięci zarówno zdań zawartych w mojej notatce, w poprzednim numerze "Kultury", jak i gorzkich słów pisma okólnego (ulotki) Skarbu Nar. Owe "gorzkie słowa" skierowane pod moim adresem jak najchętniej puszczam w niepamięć i nie chowam żadnej urazy. Lecz nie gorzkie słowa stanowią zagadnienie. Nie spieramy się ani o styl, ani o treść ulotki, bo wyjaśniliśmy wszystko w rozmowach nacechowanych dobrą wolą i otwartością. Problemem zasadniczym jest natomiast sam fakt wydania ulotki, sam fakt regulowania stosunku z prasą inaczej niż przewiduje to polskie ustawodawstwo prasowe i zwyczaje. To nie jest biała sprawa i leży w interesie dobrych wzajemnych stosunków pomiędzy prasą a instytucjami rządowymi, by obie strony w pełni doceniały wagę tego zagadnienia.

Ponieważ p. Prezes Modrzewski w swym liście do redakcji "Kultury" całkowicie pominał milczeniem to zagadnienie, uważałem za swój obowiązek określić jasno i wyraźnie nasze stanowisko w tej sprawie. Żywimy pełny szacunek dla osób, które oddają bezinteresownie swą pracę

i wiedzę Skarbowi Narodowemu — uważamy jednak, że nawet z powołaniem się na dobro Skarbu Narodowego nie wolno nikomu regulować stosunków z prasą inaczej, niż postanawia polskie ustawodawstwo i zwyczaj. I od tego poglądu nie odstąpimy.

LONDYŃCZYK.

Do Pana Redaktora "Kultury".

Na skutek notatki w Nr 7/57 miesięcznika "Kultura", poświęconej sprawozdaniu finansowemu Skarbu Narodowemu pt. "25% na administrację", uprzejmie proszę SzPana Redaktora o zamieszczenie poniższego wyjaśnienia.

1. Wszystkie wydatki administracyjne Skarbu Narodowego w roku 1951 zarówno Głównej Komisji Skarbu Narodowego jak i Komisji Terytorialnych w 32 krajach, gdzie są utworzone placówki Skarbu Narodowego, wyniosły £ 3.783.18.5 co w stosunku do ogólnej sumy wpływów 22.851.7.7. stanowi 16,1/2% wpływów.

Na wydatki administracyjne składają się następujące pozycje:

- a — lokale, opał, światło i utrzym. porządku £ 324.7.3;
- b — materiały piśm., druki i drobny inwent. £ 516.3.2;
- c — portoria i telefony £ 450.1.8;
- d — wydatki osobowe £ 2.107.2.11;
- e — przejazdy służbowe £ 386.3.5.

Cały płatny aparat administracyjny wszystkich Komisji Skarbu Narodowego łącznie z Główną Komisją wynosi 8 osób (w tym w Główniej Komisji 3 osoby). Uposażenie poszczególnych pracowników waha się od £ 15.- do £ 30.- miesięcznie, a przeciętnie wynosi około £ 22.- miesięcznie na pracownika.

Odrębną grupę stanowią wydatki związane z dalszą organizacją Skarbu Narodowego i jego placówek (wydatki organizacyjno-propagandowe) £ 1012.18.4, oraz wydatki na druk legitymacji i znaczków Skarbu Narodowego £ 314.12.2.

2) Notatka korespondenta londyńskiego "Kultury", omawiająca cyfry kosztów administracyjnych Skarbu Narodowego, zaopatrzona suppozycją "być może, że komisja zatrudnia 15 sekretarek z płacą £ 250.- rocznie — zrobiła bardzo przykre wrażenie wśród działaczy i płatników Skarbu Narodowego; wywołała też szereg nacisków na władze Skarbu Narodowego w kierunku natychmiastowej reakcji. Ponieważ Nr 7 "Kultury" wydany został jako numer dwumiesięczny, sprostowanie władz Skarbu Narodowego ukazać się mogło w "Kulturze" dopiero po dwóch miesiącach. Wobec ujemnych skutków jakie zwiłoka w odpowiedzi na notatkę "Kultury" mogłaby wywołać dla Skarbu skierowałem, jako jeden z wiceprezesów Głównej Komisji, postawiony na czele władz wykonawczych Skarbu Narodowego, do wszystkich placówek Skarbu odpowiednie wyjaśnienia.

Nadto skierowałem odpisy tego wyjaśnienia do większych placówek kolportażowych z uprzejmą prośbą o wręczenie tych wyjaśnień kupującym Nr 7 "Kultury" — "o ile kupujący na to się zgodzi" (słowa zacytowane z listu do kolportera).

3) Wobec tego, że w rozmowach z przedstawicielem redakcji "Kultury" zostało wyjaśnione to przykre nieporozumienie, stanowiące zerzyt we wzajemnych życzliwych stosunkach Skarbu Narodowego z Redakcją miesięcznika WPanów, wydaje się nam słuszne przejście nad nim do porządku dziennego, skreślając z pamięci zarówno zdanie zawarte we wspomnianej notatce "Kultury" jak i gorzkie słowa pisma ókólnego Skarbu Narodowego.

Łączę wyrazy wysokiego poważania

St. DOŁĘGA-MODRZEWSKI.

Sprawy Krajowe

Po VII Plenum Komitetu Centralnego PZPR

Na czoło obrad siódmego plenum KC PZPR wysunęło Biuro Polityczne problem «umocnienia spójni między miastem a wsią», co w żargonie partii komunistycznych oznacza dążenie do przyspieszenia procesu kolektywizacji gospodarstw wiejskich.

Każdy badacz stosunków gospodarczych w dzisiejszej Polsce musi dojść do wniosku, że tu leży punctum saliens wykonania planu pięcioletniego. W okresie planu trzyletniego podnoszenie wytwórczości było stosunkowo łatwe i względnie popularne. Chodziło o «odtworzenie» zdolności wytwórczej, która istniała przed wojną i częściowo tylko uległa zniszczeniu. Już doświadczenia okresu po pierwszej wojnie światowej wykazały, że proces odbudowy życia gospodarczego po zniszczeniach wojennych przychodzi szybciej i łatwiej niż się tego rzeczoznawcy spodziewali. Wynika to stąd, że po pierwsze nawet zniszczenie czy ewakuacja bezpośrednich urządzeń produkcyjnych pozostawia zawsze znaczną część urządzeń inwestycyjnych umożliwiających szybką odbudowę (podstawowe urządzenia komunikacyjne, uzbrojenie terenu, osiedla mieszkaniowe wokół fabryk), po drugie przyzwyczajenie ludności do niskiej skali życia stwarza marzę między rzeczywistością produktywnością pracy a jej ceną — marzę, która bywa zazwyczaj głównym źródłem finansowania odbudowy.

Istotne trudności nasuwa jedynie zagadnienie finansowania przywozu, ale w Polsce i ten problem był rozwiązany częściowo dzięki odszkodowaniom i pomocy zagranicznej (razem około 900 milionów dolarów), częściowo dzięki wyjątkowej i długotrwałej koniunkturze węglowej. Jak wielkie znaczenie posiada ten czynnik widać stąd, że podczas gdy cena wywozowa węgla

polskiego jeszcze w roku 1938 wynosiła 2,5 dolarów za tonę, to dziś wynosi ona przy wywozie do krajów wolnego świata 20 dolarów za tonę. Uwzględniając dwukrotny spadek siły nabywczej dolara oznacza to czterokrotny wzrost ceny wyrażonej w jednostkach o stałej sile nabywczej. O ile w roku 1938 wywieźliśmy 11,7 milionów ton węgla, co dało nam 25 milionów ówczesnych dolarów, to, obecnie wywozimy około 20 milionów ton rocznie, a powinniśmy za nie dostać wedle cen europejskich 400 milionów dolarów, co stanowi ekwiwalent 200 milionów dolarów z roku 1938. Tylko część z tej sumy istotnie przypada nam w udziale z powodu dostaw do Rosji, które częściowo płacone są poniżej przedwojennej ceny nominalnej.

By sobie wytworzyć pojęcie o znaczeniu tej wyjątkowej koniunktury węglowej, trzeba przypomnieć, że kwota 200 milionów dolarów o sile nabywczej z r. 1938 stanowiła 1.760 milionów ówczesnych złotych, podczas gdy cały nasz wywóz w r. 1938 osiągnął wartość 1.185 milionów złotych. Przesunięcie granic wraz z olbrzymimi stratami wojennymi ludności zmieniło zasadniczo stosunek między liczbą ludności a urządzeniami produkcyjnymi. Błędne koło wsi, która ma minimalne nadwyżki towarowe, bo jest przeludniona i przemysłu, który się nie rozwija, bo nie ma zbytu na wsi, stanowiło nierozwiązany dylemat gospodarki polskiej okresu międzywojnia. W Polsce po drugiej wojnie światowej dylemat ten nie istnieje.

Wreszcie w bilansie płatniczym Polski niemal znikła pozycja płatności odsetek i dywidend na rzecz zagranicy. Oficjalnie dochodziła ona do 200 milionów złotych rocznie, ale w rzeczywistości była dużo większa, gdyż poważna część dochodu z kapitałów obcych inwestowanych w Polsce przekazywana była w sposób niejawni.

Wyżej wymienione okoliczności zmieniły zasadniczo obraz gospodarki polskiej po wojnie. Zwracamy nieraz uwagę na każde zdanie z przemówień kierowników obecnej gospodarki Polski, a należało by równą uwagę zwrócić na to, czego w nich nie ma. Uderza nas mianowicie brak rozważań na temat bilansu płatniczego, konieczności zwiększania wywozu itp. Wynika to po prostu stąd, że zagranicznych trudności płatniczych Polska dziejsza nie ma, mimo że corocznie traci ze sto milionów dolarów na węglu, wywożonym do krajów bloku komunistycznego.

Wywóz węgla polskiego jest poważnym źródłem dewiz, przeznaczonych nie tylko na pokrycie zapotrzebowania samej Polski, ale na pokrycie zapotrzebowania całego bloku państw pozostających pod władzą komunizmu. Tajemnica sukcesów gospodarczych obecnego reżimu na tym właśnie polega. Dzięki wywozowi węgla udawało się dotychczas finansować inwestycje w Polsce bez wielkiego nacisku na poziom życia ludności, który zdaje się być wyższy niż w Rosji i bez zmobilizowania wszystkich rezerw wytwórczych tkwiących w gospodarstwie wiejskim

Poważniejsze trudności zaczynają się teraz. Nie można przy-

puszczać, by Rosja mogła obecny stan rzeczy tolerować. Po pierwsze, obecna sytuacja międzynarodowa wymaga jak najpełniejszej mobilizacji na rzecz zbrojeń, po drugie, Związek Sowiecki nie może dopuścić do tego, by utrzymywał się w Polsce poziom życia wyższy niż w Rosji.

Jak wiadomo, głównym źródłem dochodów państwa sowieckiego jest podatek obrotowy, pobierany w stadium handlu hurtowego. By można było tym podatkiem wydatkować Polskę, trzeba by skupić w rękę państwa produkcję artykułów przemysłowych, tudzież przynajmniej obrót artykułami rolnymi. Pierwsze zadanie zostało spełnione, drugie nie.

W obecnym stanie życia gospodarczego Polski podatek obrotowy stanowi już ponad połowę dochodów państwa, ale obciąża przede wszystkim artykuły przemysłowe. Podniesienie podatku obrotowego od artykułów spożywczych do poziomu rosyjskiego jest przy obecnej strukturze rolnictwa polskiego niemożliwe. Na VII Plenum PZPR dyrektor Instytutu Ekonomii Rolnej Jerzy Tepicht wyjaśnił nam szczegółowo dlaczego. W ogólnej wartości produkcji całego rolnictwa, udział odcinka socjalistycznego, czyli gospodarstw państwowych i spółdzielni produkcyjnych wynosi 16%. Natomiast w skupie zboża udział odcinka socjalistycznego wynosi 23,2%. Różnica tych dwóch cyfr wykazuje nam, w jak wielkim stopniu socjalizacja rolnictwa umożliwiła skupienie w rękę państwa obrotu produktami rolniczymi. Dopóki znaczna część tego obrotu przechodzi przez wolny rynek, każde podwyższenie podatku obrotowego (czyli ceny produktów spożywczych), w większym stopniu podnosi dochody właścicieli indywidualnych gospodarstw, niż dochody państwa. Celem gospodarki komunistycznej jest skoncentrowanie w rękę państwa całej siły nabywczej ponad minimum egzystencji robotnika czy chłopca plus premie za wydajność w najszerszym tego słowa znaczeniu. W obecnym jednak układzie naciskanie śruby podatku obrotowego na artykuły rolnicze dałoby państwu niewielką bezpośrednią zwyżkę dochodu i wielki pośredni ubytek wskutek podwyższenia ceny żywności, a więc i koniecznego podwyższenia płacy minimalnej robotników. Różnicę zainkasowałoby chłopci.

W Rosji sowieckiej po drugiej wojnie światowej nastąpiło (w r. 1946) przekształcenie struktury cen rolnych i przemysłowych w porównaniu do okresu przedwojennego. Ceny produktów spożywczych zostały radykalnie podwyższone i mimo przeprowadzonej kolektywizacji pociągnęło to za sobą odpływ siły nabywczej ku wsi poprzez wolny rynek kolchozowy. Reakcja przyszła szybko. Przeprowadzona w r. 1947 reforma walutowa zlikwidowała już istniejące na wsi nadwyżki siły kupna, zaś reforma struktury kolchozów doprowadziła w praktyce do niemal zupełnej likwidacji wolnego rynku. Na podstawie informacji pośrednich ustalić można, że rynek ten obecnie został skurczony do około jednej dziesiątej w porównaniu z r. 1946. Chłop na wsi musi już kupować chleb w piekarni spółdzielczej, czyli

nie tylko nie inkasuje nadwyżki ceny, wynikającej z bezpodatkowej sprzedaży części produktów kolchoźnych, ale jeszcze płaci podatek obrotowy od własnego spożycia. Hodowla bydła, nierogacizny i nawet drobiu, przeniesiona została z indywidualnych gospodarstw kolchoźników do samych kolchozów. Wielkie ustępstwo na które poszedł Stalin w r. 1931: pozostawienie kolchoźnikom ich krów, świń i kur było tylko ustępstwem czasowym. W 15 lat później wrócono do koncepcji pierwotnej tj. do pełnej socjalizacji rolnictwa, tym razem już bez masowych buntów i masowych zsyłek opornych.

Cała tajemnica ostatnich zniżek cen produktów rolnych w Rosji polega na tym, że kompensują one nadwyżkę dochodów, uzyskaną przez państwo dzięki skierowaniu całego obrotu produktami rolnymi do kanałów państwowych. Zgodnie z logiką systemu komunistycznego wszystkie te zniżki cen rolnych nie skompensowały jeszcze wielkiej podwyżki z r. 1946. (Zabawny szczegół: w r. 1946 podniesiono ceny o 100-200% i nazwano to «p e w n ą» zwykłą cen. Następnie przeprowadzono trzy zniżki w granicach 10-20% i każdą z nich nazwano «w i e l k ą» zniżką cen).

Jakież w chwili kiedy ostatnie krowy w Związku Sowieckim przeprowadzane są do kolchoźnych obór mogłaby Rosja na długie dystans tolerować istnienie indywidualnych gospodarstw rolnych w Polsce? Tu jednak powstaje trudność zasadnicza. Kolektywizację można przeprowadzić środkami nacisku i przymusu, Reżim w Polsce byłoby na to już prawdopodobnie stać. Jednakże operacja taka pociągnęłaby za sobą po pierwsze przejściowe, dość wydatne, zmniejszenie wytwórczości rolnej, po drugie prawdopodobnie masowe zaburzenia. Ani na jedno ani na drugie Rosja nie może się dziś zdobyć głównie z powodu sytuacji międzynarodowej

Składną, jak widzieliśmy, pełna mobilizacja sił wytwórczych na rzecz wysiłku zbrojeniowego możliwa jest tylko w razie pełnego przeprowadzenia kolektywizacji. Chodzi nie tylko o podatki obrotowy, chodzi także o korzyści jakie daje uprawa mechaniczna. W r. 1950 wedle Tepichta, na jednego pracującego w indywidualnych gospodarstwach wyprodukowano 1,7 q żyta, 2,4 q pszenicy i 8,4 q buraków cukrowych, natomiast w spółdzielniach produkcyjnych na jednego pracującego wypadało 14,8 q żyta, 6,6 q pszenicy i 20,9 q buraków. Jeżeli te cyfry zestawimy ze skargą Bieruta na trudności zmobilizowania siły roboczej zrozumiemy o co chodzi. Przyrost zatrudnienia w gospodarce poza rolnictwem wynosił wedle Bieruta:

w r. 1947	329.000	robotników
w r. 1948	306.000	>
w r. 1949	520.000	>
w r. 1950	490.000	>
w r. 1951	497.000	>
przewidziano w r. 1952	344.000	>

Wobec takiego przyrostu zatrudnienia — konkluduje Bierut — w gospodarce poza rolnictwem, proces przechodzenia chłopów do pracy w przemyśle nie może się już odbywać i nie odbywa się w sposób żywiołowy i samorzutny, wskutek czego ci działacze gospodarczy (Minc? P.D.) którzy czekają na samorzutny przyływ siły roboczej... stają w obliczu... niezrealizowanych... planów».

W tych warunkach przeprowadzenie szybkiej kolektywizacji rolnictwa w Polsce jest konieczne i niemożliwe. Większe naciski kolektywizacyjne do połowy ub. roku odbiły się natychmiast na zmniejszeniu pogłowia krów z 23,2 na 22,7 na 100 ha. Równocześnie w spółdzielniach produkcyjnych jest tylko 18,5 krów na 100 ha z czego jeszcze 12,5 w działkach przyzagrodowych czyli w posiadaniu indywidualnych chłopów, a nie można tych krów zabierać przed zakończeniem kolektywizacji.

Jeżeli proces kolektywizacji nie będzie przeprowadzony, to «żywioty kapitalistyczne» na wsi wciąż będą dysponować zbyt wielką siłą nabywczą a w przemyśle brak będzie robotników, zarówno wskutek drożyzny jak i wskutek zaabsorbowania zbyt licznych sił roboczych na wsi. Jeżeli proces kolektywizacji będzie przeprowadzony siłą, to produkcja rolna dozna poważnego uszczerbku, a większa część żołnierzy armii Rokossowskiego, rekrutująca się ze wsi, myśleć będzie raczej o buncie niż o wykonaniu rozkazów.

Nie jest to jedyne przeciwieństwo z jakim spotykamy się w państwach komunistycznych. Różnica między nimi, a krajami wolnej gospodarki polega na tym, że w tych drugich konflikty gospodarcze prowadzone są przez poszczególne grupy zainteresowanych, a aparat rynku odgrywa rolę regulatora. Natomiast w systemie planowania przeciwstawne cele muszą się zetrzeć w łonie decydujących ośrodków dyspozycji, co więcej nawet w umysłach poszczególnych kierowników. «Chciałem — powiada Tepicht — zatrzymać się nad zagadnieniem więzi między naszą walką o wzrost produkcji chłopskiej... głównie produkcji gospodarstw indywidualnych a walką o zrzeszenie tych indywidualnych gospodarstw w spółdzielniach produkcyjnych... W praktyce zajmujemy się jednym, albo zajmujemy się drugim... w głównej mierze z braku umiejętności łączenia tych dwóch zadań w swej świadomości... Tymczasem w działalności naszej mamy często takie łączenie zadań na pozór sprzecznych, a prowadzących do jednego celu.»

Jakże bardzo przypomina to sytuację w Rosji w 1928 r. Trzeba tylko sięgnąć do pism Stalina, by znaleźć odpowiedni cytat z listu do Biura Politycznego w r. 1928:

«Podstawowy błąd Frumkina polega na tym, że widzi on przed sobą tylko jedno zadanie, zadanie podniesienia indywidualnego gospodarstwa chłopskiego ...Czy to znaczy, że już teraz przenosimy punkt ciężkości na sowchozy i kolchozy? Nie, nie znaczy. Na tym etapie punkt ciężkości pozostaje w sferze dalszego podnoszenia indywidualnego drobnego i średniego,

gospodarstwa chłopskiego. Ale to znaczy, że samo tylko to zadanie obecnie już nie wystarcza. Znaczy to, że nadszedł czas, kiedy powinniśmy zadanie to uzupełnić w praktyce dwoma nowymi zadaniami — rozwijaniem kołchozów i rozwijaniem sowchozów.»

Uczestnicy posiedzenia VII Plenum CK PZPR wiedzieli dobrze, że po roku 1928, kiedy Stalin pisał te słowa, przyszedł nowy etap, masowej dobrowolnej kolektywizacji. Tak, dobrowolnej. Nigdzie bowiem w literaturze i prasie sowieckiej nie mówiono o przymusie kolektywizacji w latach 1929-1932. Mimo, że w tym okresie miliony chłopów straciło życie, wszystko, wedle doktryny oficjalnej, odbywało się dobrowolnie. Był to oszałamiający sukces, od którego ludzie dostawali zawrotu głowy. Stalin musiał wówczas napisać artykuł, właśnie pod tytułem «Zawrót głowy od sukcesów» po doświadczeniu do wniosku, że takie sukcesy mogą Rosję kosztować zbyt wiele i trzeba się nieco cofnąć, trzeba pozwolić na działki przyzagrodowe i na indywidualną hodowlę bydła, bo krwi przelano już zbyt wiele. Chodziło przy tym nie tylko o wyrznanie ludzi, ale także o masowe wyrznanie bydła przez chłopów, dobrowolnie łączących się w kołchozy w ramach akcji łączności miasta ze wsią, czyli pod wpływem ekip partyjnych, wysyłanych na wieś z odpowiednim ładunkiem bibuły agitacyjnej i amunicji. Jak wszystkie odwróty Stalina był to odwrót taktyczny i tymczasowy. Na działki przyzagrodowe, indywidualną hodowlę bydła przyszedł czas w r. 1947.

Pytanie polega jednak na tym, czy można wszystko powtórzyć w Polsce tak, jak to było w Rosji, jeżeli ludzie wiedzą, jaki będzie etap następny? Obawiam się, że eksperyment jest możliwy do powtórzenia. Jeżeli ramy «akcji łączności wsi i miasta» okażą się niewystarczające istnieje możliwość dodatkowa, a mianowicie akcja łączności Związku Sowieckiego z Polską. Stalin w r. 1931 nie mógł przywołać na pomoc żadnych sił zewnętrznych — Bierut zrobić to może.

Obecna strategia polskiego Politbiura polega na tym, by nie odbierać chłopom ich gospodarstw, lecz ograniczyć się na razie do zabierania im znacznej części produkcji. Nadwyżka ponad dostawy przymusowe ma być wolna, a zatem istnieje będzie podnieta dla chłopów do utrzymania na wysokim poziomie produkcji, zwłaszcza produkcji hodowlanej. Sprzedaż wolnych nadwyżek nie ma jednak, jak to szczegółowo wyjaśniał Szyr, przechodzić przez ręce spekulantów. Albo chłopci mają ją sprzedawać bezpośrednio spożywców albo państwowemu czy państwowo-spółdzielczemu handlowi komercyjnemu, operującemu nie cenami sztywnymi, lecz cenami przystosowanymi do gry podaży i popytu. Chodzi tu o to, by nie dopuścić do wytworzenia się handlu prywatnego, by zmobilizować zyski handlowe w ręku państwa oraz by stworzyć aparat, gotów do przejęcia całych obrotów rolniczych, gdy proces dobrowolnej kolektywi-

zacji będzie zakończony, a członkowie kołchozów entuzjastycznie przyprowadzą swoje indywidualne krowy do spółdzielczych obór.

Podnieta, jaką mają stanowić wysokie ceny wolnorynkowe, utrzymać ma na wysokim poziomie produkcję gospodarstw indywidualnych. Niskie ceny żywności zdobytej w drodze dostaw przymusowych umożliwić mają premiowanie czołowych robotników, zwłaszcza w kluczowych (i zbrojeniowych) gałęziach przemysłu, a zapewne także utrzymania na niskim poziomie kosztów utrzymania armii. Chłop prędzej pogodzi się z oddawaniem za grosze części swej produkcji niż z utratą gospodarstwa. Ostateczny cel tej operacji nie może jednak ulegać żadnej wątpliwości. Chodzi o przeprowadzenie kolektywizacji z możliwie najmniejszym, przejściowym obniżeniem wytwórczości rolnej.

Ten program jest głoszony obecnie w Polsce w sposób całkowicie zrozumiały dla osób znających frazeologię komunistyczną i precedensy rosyjskie.

Jak w dziedzinie produkcji rolnej zasadnicza trudność polega na oporze przeciw kolektywizacji, tak w przemyśle mamy do czynienia z oporami przeciw metodom podnoszenia wydajności, oraz z oporem przeciw obniżaniu skali życia — pomijając pewne trudności techniczne. Powszechne są skargi na opuszczenie szeregów partii przez robotników produkcyjnych. W ziemie ubolewano nad tym zjawiskiem w górnictwie węglowym, obecnie te same skargi dotyczą przemysłu włókienniczego w Łodzi. Trudności te są pośrednio lub bezpośrednio związane z sytuacją na odcinku rolnictwa: w szczególności opór przeciw podnoszeniu wydajności pracy byłby mniejszy, gdyby równocześnie nie występowały trudności zaopatrzenia.

W gruncie rzeczy obecne trudności gospodarcze w kraju dadzą się wyjaśnić sprzecznością między społecznym charakterem produkcji a indywidualnym rozkazodawstwem i pozbawieniem uczestniczących w procesie produkcji wpływu na sposób użytkowania jej wyników. Wedle nauki Marksa społeczny charakter produkcji nie da się pogodzić z faktem, że dyspozycja narzędziami produkcji i dzielenie nadwyżek produkcyjnych należy do jednej tylko klasy uczestniczącej w tej społecznej produkcji, to jest do kapitalistów. Obecnie mamy mutatis mutandis to samo w ustroju komunistycznym. Nie dlatego istnieje opór przeciw kolektywizacji, czyli przeciw nadaniu procesowi produkcji w rolnictwie charakteru społecznego, że chłopów nie można namówić do wspólnego zorganizowania gospodarstwa zmechanizowanego, ale dlatego, że żywią oni uzasadnione obawy co do możliwości zachowania samodzielności «spółdzielni produkcyjnych» i co do podziału dochodu tych spółdzielni. Nie dlatego robotnicy w Polsce nie są zachwyceni podnoszeniem wydajności pracy, by nie chcieli większych zarobków za lepszą pracę,

ale dlatego, że nie mając wpływu na podział dochodów obawiają się słusznie, iż ich korzyści z podniesionej wydajności pracy będą fikcyjne i przejściowe. System stałej rewizji norm doprowadza do ciągłego obniżania stawki za tę samą pracę a przy związaniu obecnej gospodarki i skupieniu całej dyspozycji w moskiewskim ośrodku centralnym nie można nawet marzyć o tym, by sam zespół pracowniczy, nie wyłączając kierowników, miał poważniejszy wpływ na decyzje gospodarze wpływające, na rentowność przedsiębiorstwa: pozostają mu tylko decyzje techniczne, za których trafność i umiejętnie wykonanie otrzyma premie — ale nie właściwy udział w ich owocach.

W historii myśli socjalistycznej eksperyment państw komunistycznych będzie największą i najmniej udaną próbą wyciągnięcia wniosków z przemiany charakteru produkcji. W historii tout court będzie to przykład umiejętnego połączenia elementów ustroju kapitalistycznego (element współzawodnictwa) z elementami ustroju socjalistycznego (planowanie, równość startu) dla tworzenia potęgi politycznej Związku Sowieckiego.

P. DUNIN.

Kronika krajowa

ROBOTNICZY O "PAŃSTWIE ROBOTNICZYM"

Uchodźcy z Polski, którzy w ostatnich czasach przechodzili przez Berlin w drodze na zachód, to w znacznej większości robotnicy i chłopci. Wielu, schwytyanych przez WOP na granicy czy też przez wschodnioniemiecką "policję ludową", zostaje po drodze. Ale inni idą wciąż uparcie na zachód, bo "już wytrzymać nie można". "Mówią, że teraz jest w Polsce państwo robotnicze" — skarży się jeden z nich — "ale to nieprawda, bo człowiekowi pracy jest dziś najgorzej". Przeklinają normy i "socjalistyczną dyscyplinę pracy". — "W Polsce nie jest życie, ale niewolnictwo". Z ołówkiem w rękę wyliczają, że "teraz w fabryce nie można nic zarobić", bo jeżeli nawet starczy na jakie takie wyżywienie, to już o kupieniu odzienia dla siebie i rodziny mowy być nie może. "Uczyli, panie, że kiedyś był wyzysk robotnika, a teraz państwo robotnika wyzyskuje". Inny opowiada: "Partia, milicja mają swoje sklepy, a ten biedny naród nic nie może dostać". "Kupiłem koszulę, to jeden rękaw inny a drugi inny, to wszystko — norma". "Zbierają składki z wypłaty na wszystko, a nic z tego nie widać". I wylicza: na związek zawodowy 10 zł., na Ligę Morską 5 zł., na Związek Inwalidów 2-5 zł., na odbudowę Warszawy 10 zł., na Czerwoną Krzyż 3 zł., na Dom Dziecka 5 zł., na dzieci koreańskie 10 zł., i tak dalej. A przecież jeszcze trzeba zapłacić podatki ze 20 zł.!

Idą więc, narażając się na śmierć od kuli strażniczej, albo na więzienie, na zachód, w poszukiwaniu lepszego życia, "polityczni" uciekinierzy nowego stylu, przeważnie nie działacze żadni ani buntownicy, tylko po prostu ofiary "socjalistycznego państwa", w którym klasę robotniczą reprezentuje Urząd Bezpieczeństwa i zaprzyjaźniony szpieg. Więcej gdzie pieprz rośnie z "robotniczego państwa" — oni, robotnicy członkowie rządzącej rzekomo klasy.

Idą przez Niemcy wschodnie lasami, nocami, śpiąc po stodołach i w stogach, o kawałku chleba, z rzadka tylko stukając do domów, gdy głód już bardzo dokuczy albo kiedy już nie wiedzą którądy iść. A kiedy zastukają do domów, to przeważnie dostają i wsparcie i poradę. Wszyscy prawie opowiadają, że ludność w Niemczech wschodnich chętnie dopomaga uciekinierom z Polski. (Może w Brandenburgii więcej i chętniej niż w bardziej skomunizowanej Saksonii). Takich dowodów życzliwej pomocy jest dużo. Czasem nawet "policjant ludowy" udaje, że nie widzi. Tak to bieda i życie pod terrorem sowieckiej opieki uczy ludzkiego obojętństwa tam, gdzie przedtem może była nienawiść i pycha.

JAK ZAKŁADANO KOŁCHOZ W DALEWIE

Województwo koszalińskie. W lipcu 1951 radio podało, że powiat Drawsko, do którego należy Dalewo, jest pierwszym, w którym już wszystkie gromady mają spółdzielnie produkcyjne. Powiat ten stawiano za wzór.

W Dalewie jest gospodarstw 17. Ale tylko dwóch gospodarzy chciało kołchozu, bo źle gospodarowali, przetrwonili wszystko i nie wiedzieli co dalej robić. A w spółdzielni produkcyjnej — myśleli sobie — są ulgi na początek, przez rok nie płaci się podatków, maszyny rolnicze za jedną trzecią normalnej ceny, nawozy sztuczne, bezpłatnie itp. Ale inni gospodarze nie chcieli słuchać o kołchozie. Tych partia i UB zmuszały groźbami, a nawet biciem, przeważnie po nocach, do podpisywania statutu spółdzielni produkcyjnej. Tak samo było we wszystkich gromadach powiatu Drawskiego, tego "wzorowego" powiatu.

Chłopom, którzy się uparli i mimo represji nie podpisali statutu, zabierano ziemię, choć mieli na nią akty nadania. Za zabraną, dobrą ziemię dostawali piaski i ugory, daleko za wsią. We własnych domach wolno im było pozostać, ale jeżeli do kołchozu przystąpił np. chłop, który mieszkał daleko za wsią, wówczas musieli ustępować z tego niby "własnego" domu. Inwentarz żywy, martwy i meble mogli zabrać z sobą. Chłopi buntowali się i wnosili skargi do Powiatowej Rady Narodowej i do UB, ale bez żadnego skutku.

W zasadzie wolno było wystąpić ze spółdzielni. Ale w Dalewie spróbowało bodaj tylko dwóch. I zaledwie zdążyli odebrać swoje konie ze stajni spółdzielni, natychmiast ich aresztowano, jako "elementy wrogie Polsce ludowej". Teoria teorią, a praktyka — praktyką.

Po założeniu kołchozu — nie kołchozu ale "spółdzielni produkcyjnej", bo nazwy "kołchoz" w Polsce używać nie wolno — a więc po założeniu spółdzielni produkcyjnej w Dalewie i w innych gromadach, szły już rzeczy dalej swoim torem. A więc jeden z tych, którzy podali projekt założenia spółdzielni, zostawał przewodniczącym. Drugiego wysyłano na półroczny kurs dla księgowych; szukano zazwyczaj takiego co miał przynajmniej ukończonych siedem oddziałów szkoły powszechnej. Wybierano jeszcze trzeciego, do pełnienia funkcji jakby brygadzysty polowego.

Następnie zaorywano wszystkie miedze i gospodarskie pola łączyły się w jedno. Konie i bydło zabierano do wspólnej obory. Ale ludzie mogli jeszcze trzymać u siebie świnię i drób. Prace rozdzielą przewodniczący z brygadystą. Przymusu pracy nie było w zasadzie, ale kto do pracy nie przyszedł, ten tracił dniówkę obrachunkową, a w końcu nie miał z czego żyć. Więc wszyscy przychodzili, mężczyźni i kobiety, a dzieci odsyłano do przedszkola. Jedzenie każdy jeszcze gotuje sam, ale coraz częściej mówi się o projekcie założenia wspólnej, kołchoznej kuchni.

Praca liczyła się na dniówki obrachunkowe, a normy były inne, niż w sowchozach, to jest PGR-ach. Nazywało się, że chłop może w jeden dzień wyrobić więcej niż jedną dniówkę obrachunkową, ale zwykle wyrabiał tylko 3/4. Chłopi zarabiali miesięcznie około 150 zł. Przydziałów mogli dostać tyle ile chcieli. Można było nawet dostać trochę gotówki na rozliczenie roczne, jeżeli spółdzielnia miała pieniądze w banku. Ale

— kiedy, po zakończeniu roku gospodarczego, obliczało się wypracowane dniówki obrachunkowe i ilość wybranych produktów — to zdarzało się, że chłop musiał jeszcze coś sprzedać i dopłacić spółdzielni produkcyjnej, bo miał minus na koncie.

Zarobki wynosiły zimą 4-5 zł., latem 7-8 zł. dziennie. Drób i jajka chłopci przeważnie sprzedają. Nieraz muszą sprzedawać coś z rzeczy, aby zakupić najniezbędniejsze produkty w sklepie kolonialnym. Robią to wtedy, gdy wiedzą, że już za dużo wybrali ze spółdzielni. Toteż często się zdarzało, że dzieci uciekały do pracy w PGR-ach, gdyż zobowiązanie do spółdzielni produkcyjnej podpisawali tylko rodzice. Okazywało się więc, że w spółdzielni brakuje rąk do pracy. Mają więc być wprowadzone jakieś ograniczenia dla dzieci. A w spółdzielni, choć praca nie jest uregulowana, pracuje się zwykle znacznie dłużej niż w PGR-ach: trzeba wspólnie spłacać maszyny i inwentarz.

Trudności i kłopoty wzrastają. Ludzie są przyciężeni.

“AKCJA Z”

Przeprowadzono ją w powiecie świdnickim, woj. wrocławskie, w kwietniu 1951 r. Była to “akcja” ściśle tajna, nakazana przez wojewódzkie władze partii. “Akcja Z” miała na celu dostarczenie żywności placówkom sowieckim. Oczywiście, chodziło o oddanie mięsa i innych produktów, przeznaczonych dla ludności cywilnej.

Pewnego dnia, w świdnicy, 15 ciężarówek sowieckich podjechało do PZGS (Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni). Przyjechały bez uprzedzenia i bez zamówienia. Rosjanie zażądali ziemniaków, ale ich w PZGS nie było. Dowodzącemu oficerowi sowieckiemu poradzono, aby pojechał do Lutomia, gdzie leży pewna ilość ziemniaków, które może zabrać, a resztę zobowiązano się dostarczyć w ciągu 3-4 dni. Spółdzielnia gminna w Lutomiu mogła dać tylko to co miała, a tego Rosjanom było za mało. Żołnierze sowieccy obstawili więc kilka zagród i zaczęli rozwałać kopce. Wywiązała się bójka z chłopami. Dwu czy trzech Rosjanie zabili. Innych aresztowano następnego dnia. Skazano ich potem na kary więzienia.

Jedna trzecia ludności w Świdnicy — to NKWD i wojsko sowieckie.

“AKCJA KRAKOWSKA”

W marcu i kwietniu bieżącego roku, przygotowano w powiecie Chojna, woj. szczecińskie, tzw. akcję krakowską. Polegała ona na urządzeniu i remontowaniu większych gospodarstw, przeznaczonych dla ludzi, przesiedlanych z Krakowskiego. Wyjechali więc w teren robotnicy z Państwowego Przedsiębiorstwa Budowlanego z Dębna.

Robotnik jest źle traktowany w tym przedsiębiorstwie. Podczas wyjazdów w teren nikt się nie troszczy o jego zakwaterowanie i wyżywienie. Każdy sam się stara coś dostać od okolicznych gospodarzy. A kierownictwo? Tych “nic nie obchodziło”. Nieraz robotnicy jedli suchy chleb i suche kartofle z solą.

Na uroczyny Bieruta urządzono zebranie w Myszkowicach i robotnicy musieli zaciągać “zobowiązania produkcyjne”. Któryś zakrzyknął: — “Wpierw powinniście się zapytać czy mamy co zjeść, a potem o zobowiązania!” Wszyscy obecni bili brawo. Wtedy 2-gi sekretarz powiatowy PZPR i miejscowy agitator orzekł, że ten, który to powiedział, jest “wrogo usposobiony do Polski ludowej”. I potem już wszyscy ucichli.

PLANOWANIE, SZKOLENIE KADR I NORMY

Z uwag młodego technika, który pracował w biurze planowania, w jednym z wielkich przedsiębiorstwach państwowych:

Podawane w Polsce wyniki wykonania planów produkcji odbiegają

znacznie od rzeczywistości. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest “blokowanie” materiałów bądź na takie cele jak budowa Domu Kultury i Sztuki w Warszawie, bądź też na wywóz, dla zaspokojenia potrzeb przemysłu sowieckiego i czechosłowackiego. W Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego i Przestrzennego zasiadają również Rosjanie, których zadaniem jest dopilnowanie, aby potrzeby przemysłu sowieckiego były zaspokojone. Raz na miesiąc odbywa się w Warszawie odprawa, po której wyjeżdżają w teren inspektorowie-specjaliści. Szukają oni materiałów, ukrytych bądź przez przedsiębiorstwa, bądź przez magazynierów, majstrów czy kierowników budowy. Zdaniem naszego rozmówcy, chodzi z reguły o materiały pół-szlachetne, o cement i karbid. Magazynowanie niewykorzystanych materiałów jest przestępstwem. Materiał musi być “upłyniony” tj. oddany do użytku innym przedsiębiorstwom, a często przesłany do ZSSR, którego przemysł odnosi korzyść z oszczędności, poczynionych przez polskie przedsiębiorstwa.

Aby uzyskać potrzebne materiały dla przedsiębiorstwa, poszczególni referenci planowania muszą się uciekać do podawania fikcyjnych danych, stąd planowanie samo jest często fikcją. Podobnie jest z planowaniem budżetu przedsiębiorstw.

Do szkolenia kadr używa się przeważnie “przedwojennych” inżynierów. Są oni na ogół bezpartyjni. Każdy z nich szkoli kilku młodszych, a ci na półtorarocznym kursie, mają przerobić program dowojenny. Uczniowie ci, podczas praktyki, muszą poświęcać wiele czasu na różnego rodzaju zebrania polityczne, “pracę społeczną” i masówki fabryczne. Po zakończeniu praktyki, ci młodzi ZMP-owcy otrzymują za zwyczaj tytuł kierownika oddziału fabryki, a ich nauczyciele są już wykonawcami ich zleceń. To w teorii. Bo w rzeczywistości, ów młody inżynier ogranicza się zwykle do podpisywania prac, wykonanych przez “przedwojennych” inżyniera. Wielu owych “przedwojennych” nie ujawnia swych inżynierskich dyplomów, aby nie narazić się na trudności.

Opinia robotnika-spawacza:

“Fachowcy ślusarze dostają ‘awans społeczny’, idą do biura, gdzie nic nie umieją robić. Na ich miejsce przychodzą inni, niefachowcy i tak ani jedni ani drudzy nic nie umieją”.

Inny ślusarz dodaje: “Gdzie tam może być dobrze, jak jest wyścig pracy?”

Jeszcze inny, smarowacz pasów transmisyjnych: “Robotnik musi wykonać normę, a jak chce więcej zarobić, to już cały w pocie. Ale jak wyrobił ponad normę, to znów biorą to jako normalne za te same pieniądze”.

BERLINCZYK.

KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH.

Bezpłatna wysyłka
Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

Kronika ukraińska

Z historii stosunków polsko-ukraińskich

Wiosna 1952 przyniosła ukraińskiej emigracji politycznej dotkliwie straty, wrywając z jej szeregów dwie postacie, które odegrały w życiu społeczności ukraińskiej niepoślednią rolę. W krótkich odstępach czasu zmarli b. premier Ukrainy — Izaak Mazepa i b. Wódz Naczelny — Omelanowych-Pawlenko. Obydwaj zetknęli się w ciągu swej długoletniej działalności i z problematyką stosunków polsko-ukraińskich.

Profesor Izaak Mazepa, ostatni premier niezawisłego państwa ukraińskiego i pierwszy premier rządu emigracyjnego po drugiej wojnie światowej, należał do tej generacji, która odnowiła i budowała niepodległość Ukrainy po wiekach moskiewskiej niewoli. Urodzony na Czernihowszczyźnie, Mazepa ukończył fakultet nauk przyrodniczych w Petersburgu, gdzie go w pamiętnym 1905 roku porwała fala rewolucyjnego zrywu. Wówczas to, jako młody student, wstępuje w szeregi Ukraińskiej Socjal-Demokratycznej Partii Robotniczej, z której wyszła cała plejada znakomych polityków ukraińskich. Po ukończeniu uniwersytetu, przed pierwszą wojną światową, Mazepa zostaje wysłany na studia polityki agrarnej do Austrii, Niemiec, Danii i Szwecji. W Austrii nawiązuje on kontakty z zachodnimi Ukraińcami, m.in. z obecnym premierem ukraińskiego rządu emigracyjnego, d-rem Baranem, które w następnych latach jeszcze się zacieśniły. Lata pierwszej wojny światowej zastają Mazepę przy Katerynosławskim gubernialnym Ziemstwie. Młody socjalista rozwija, w tym przemysłowym ośrodku Ukrainy, szeroką akcję konspiracyjną wśród mas robotniczych, aby w 1917 r. stanąć na czele walki wyzwolenczej na tym terenie. Organizuje zbrojne oddziały Ukraińskiego Wolnego Kozactwa do walki przeciwko bolszewikom.

Mazepa należał do tych socjalistów ukraińskich, którzy głosili bezkompromisową walkę przeciwko bolszewizmowi, wiedząc, że za złudnymi hasłami leninowskiego "samookreślenia narodów" ukrywa się niezmiennie i zgbne dla Ukrainy niebezpieczeństwo imperializmu rosyjskiego. Taką linię polityczną reprezentował Izaak Mazepa jako wybrany przez ludność Katerenosławszczyzny przedstawiciel na Wszechukraiński Kongres Pracujących w Kijowie w 1919 r., jako członek Komitetu Centralnego USDRP, minister spraw wewnętrznych, premier

rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej od września 1919 do maja 1920, czy też jako późniejszy minister spraw rolnych rządu UNR. Z inicjatywy Mazepy odbył się brawurowy "Zimowy Pochód" armii UNR głęboko na zaplecze bolszewików (6.12.1919—6.5.1920), wówczas to premier, przedarłszy się nielegalnie przez Rumunię, dzielił losy żołnierzy. Na emigracji, Mazepa nawiązuje we Lwowie kontakt z ukraińskimi socjalistami Starosolskim, Hankiewiczem, publikuje szereg książek i broszur, m.in. pracę "Bolszewizm a okupacja Ukrainy", po czym w r. 1924 przejeżdża na stały pobyt do Czechosłowacji, gdzie zostaje docentem Ukraińskiej Akademii Gospodarczej w Podiebradach. Jest nadal czynny w życiu politycznym i jako przywódca ukraińskich socjal-demokratów działa na terenie II. Międzynarodówki. Pracuje nad pamiętnikami, które ukazują się w Pradze, a następnie, na drugiej emigracji w Niemczech zachodnich, w trzech tomach pt. "Ukraina w ogniu i burzy rewolucyjnej". Dzieło to, niezwykle skrupulatnie opracowane, jest niewątpliwie najpełniejszym obrazem okresu odrodzenia państwowości ukraińskiej. Ujawnia ono wiele dotychczas nieznanych szczegółów i faktów historycznych z lat 1917-1921. W r. 1949 Mazepa wydał historiozoficzno-socjologiczne dzieło "Podstawy naszego odrodzenia", analizujące proces formowania się narodu ukraińskiego i jego dążeń niepodległościowych. Mazepa odegrał wydatną rolę w dziele konsolidacji ukraińskiej emigracji politycznej po drugiej wojnie światowej. Piastował, w ciągu trzech kadencji, stanowisko premiera rządu emigracyjnego. Zmarł w Augsburgu 18 marca 1952 r., w 68-ym roku życia.

Ze sprawami polskimi Mazepa miał wiele do czynienia i jako premier w latach 1919-20 jeździł, bodajże dwukrotnie, do Warszawy. Był to okres współpracy polsko-ukraińskiej, tzw. Układu Warszawskiego, wspólnego marszu na Kijów. Sprawom tym poświęca Mazepa wiele uwagi w swych pamiętnikach, nie szczędząc ostrych i krytycznych uwag. Oto kilka cytatów, m.in. z relacji o rozmowie z Piłsudskim, w czasie jego pobytu w Winnicy*).

"Sojusz polsko-ukraiński w r. 1920 był następstwem tragicznej sytuacji, która powstała na froncie ukraińskim jesienią 1919 r. Pod wpływem nadzwyczaj niepomysłnych warunków naszej ówczesnej walki, haliicy przywódcy uważali, że tylko w sojuszu z tą czy inną władzą rosyjską można będzie znaleźć wyjście w sprawie ukraińskiej. W możliwość porozumienia z Polakami Ukraińcy haliicy nie wierzyli. Natomiast naddnieprzańscy politycy odnosili się z niewiarą zarówno do "czerwonej" jak i do "białej" Rosji i dlatego, po listopadowej katastrofie 1919 r., zaczęli szukać porozumienia z sąsiednimi państwami na zachodzie — Polską i Rumunią. Co więcej, w czasie pertraktacji w Warszawie, przedstawiciele Ukrainy naddnieprzańskiej poszli na wielkie ustępstwa Polakom z myślą, aby tylko nie ustać w walce przeciwko moskiewskim okupantom.

... O podpisaniu układu polsko-ukraińskiego dowiedziałem się w Jampolu, w drodze z armii Pochodu Zimowego do Mohylowa. W przedzie dnia przybył do Jampola, z oddziałem konnicy, Omelanowych-Pawlenko. W mieście pracowała już ukraińska komendantura, bo gdzieś niedaleko na północny-wschód stały oddziały Udowyczenki, które razem z Polakami szły na bolszewików. Ani Omelanowych-Pawlenko, ani ja nic jeszcze nie wiedzieliśmy o treści układu polsko-ukraińskiego. Od przedstawicieli miejscowej władzy ukraińskiej dowiedzieliśmy się, że na podstawie porozumienia z Polską wojska polskie wraz z ukraińskimi rozpoczęły 25 kwietnia ofensywę na Ukrainie. Na lewym skrzydle armii polskiej operowała VI. dywizja ukraińska pod dowództwem M. Bezruczki, która została sformowana w Brześciu, a na prawym —

* Izaak MAZEPA. "Ukraina w ogniu i burzy rewolucyjnej", tom III, polsko-ukraiński sojusz — koniec zbrojnych wysiłków UNR, wydawnictwo Prometej, str. 5-25.

II. dywizja ukraińska pod komendą O. Udowyczenki. Otóż staliśmy wobec faktu układu polsko-ukraińskiego. Kiedy zapytałem Omelano-wycza-Pawienkę jak zapatruje się na ten sojusz z Polską, odrzekł:

— Nie znam treści układu, dlatego nie mogę niczego powiedzieć. Ale dla mnie jest jasne, że sojusz ten, prawdopodobnie, nie będzie przychylnie przyjęty w masach naszego narodu.

— Jakie następstwa, według pana, może mieć ten sojusz dla naszej walki? — spytałem go znowu.

— To będzie zależało od tego, w jakiej mierze zdołamy wykorzystać ten sojusz dla powiększenia swych własnych sił.

Kiedy następnego dnia przyjechałem do Mohylowa, tam już było wiadomo, że wojska polsko-ukraińskie wkroczyły poprzedniego dnia (7 maja) do Kijowa, a przed kilkoma dniami został zajęty Koziatyn i Chwastów. Z miejscowego komisariatu przyniesiono mi odezwy "do narodu ukraińskiego" — jedną z podpisem Petlury z 27 kwietnia i drugą, podpisaną przez Piłsudskiego, z 26 kwietnia. Z tych odezw dowiedziałem się, że ukraińscy przedstawiciele w Warszawie, oprócz układu politycznego, podpisali również konwencję wojskową.

... Wiadomości, które otrzymałem w Mohylowie, dawały jaskrawy obraz tego, czym był układ polsko-ukraiński z 22 kwietnia 1920 r. Nie miałem wątpliwości, że na Ukrainie układ ten nie znajduje sympatii i w masach ludowych wywoła tylko niezadowolenie pod adresem ukraińskiego centrum państwowego. Ale przy całym niepomysłnym wrażeniu, jakie uczyniła na mnie treść układu warszawskiego, nie przypuszczałem jednak, że Polacy pozwolą sobie tak grabieżczo postępować ze swoim sojusznikiem. Już podczas pobytu naszej armii w Pochodzie Zimowym Polacy powywozili z zachodnich powiatów Wołynia i Podola wszystko, co tylko można było, tak że obecnie, kiedy rozpoczęła się wspólna ofensywa na Ukrainie, nawet sam Petlura pozostał bez należytych środków lokomocji; musiał on teraz jeździć pociągiem, który składał się tylko z kilku zwykłych wagonów towarowych ("tiepiuszek"). Takim pociągiem przyjechał on i do Mohylowa. Kiedy ja, 9 maja rano, przyjechałem na dworzec mohylowski, aby powitać Petlurę, to o oznaczonej godzinie wjechał na stację pociąg, składający się z trzech lub czterech wagonów towarowych. Z jednego z tych wagonów wysiadł Petlura w towarzystwie swego adiutanta O. Docenki. (Jak mi później opowiadano, wagonem-salonką S 55, który Petlura miał przedtem do dyspozycji, jeździł teraz Piłsudski). Była to jaskrawa ilustracja stanu, w którym Ukraińcy znaleźli się obecnie "na naszej, nie swojej ziemi"... Po przyjęciu w Radzie Miejskiej, Petlura i ja pojechaliliśmy na przeznaczoną dlań kwatere, gdzie odbyła się pierwsza moja z nim rozmowa, po jego przyjeździe z Warszawy. Powinszowawszy mi z okazji pomyślnego zakończenia Zimowego Pochodu, Petlura przeszedł natychmiast do sprawy sojuszu polsko-ukraińskiego. W dłuższej rozmowie dowodził mi, że w warunkach, jakie powstały na naszym froncie po katastrofie listopadowej, jakiegokolwiek porozumienia z Polakami nie można było osiągnąć. Wystłuchawszy informacji i wyjaśnień Petlury, powiedziałem, że niezależnie od warunków, w jakich układ powstawał, mimo to został on podpisany wbrew dyrektywom rządu i dlatego ja, jako przewodniczący rządu, muszę poczynić odpowiednie konkluzje i złożyć me pełnomocnictwo. Petlura był przeciwny temu. Różnymi argumentami przekonywał mnie długo, że muszę pozostać na czele rządu. Twierdził, że udział socjal-demokratów w rządzie stwarza gwarancję przed awanturą pravicową i że ponadto musimy się w ogóle liczyć z rewolucyjnymi nastrojami po tamtej stronie frontu i nie dawać bolszewikom materiału do agitacji przeciw nam. Grupy pravicowe, mówił Petlura, pogodziły się z tym, aby nie zmieniać szefa rządu; również czynnik polskie odnoszą się przychylnie, szczególnie komisarz "kresów wschodnich" Minkiewicz po swym konflikcie z panem w Kamieńcu stał się pańskim wielkim zwolennikiem". Ten ostatni argument Petlura powtarzał kilka razy, pragnąc widocznie wpłynąć na moją ambicję. Odpowiedziałem mu, że

po tym wszystkim, co się stało, nie wierzę Polakom i myślę, że oni, nie zważając na żadne umowy i układy, będą czynili na Ukrainie, co zechcą. Na to Petlura odpowiedział: "Ja nie zapatruję się na sprawy tak pesymistycznie, nasz układ z Polakami został podpisany przy aktywnej pomocy Francji. Polacy więc nie będą mogli bez kontroli dyktować nam swej woli. A i Piłsudski jest przecież zwolennikiem niezawisłej Ukrainy. Jestem pewien, że przekona się pan o tym, kiedy go pan pozna. W ogóle — dodał Petlura — musimy patrzeć na układ warszawski jak na tymczasowe wyjście z trudnej sytuacji. Trzeba nam jakoś wzmocnić nasze siły, abyśmy mogli kontynuować walkę z naszym głównym wrogiem — Moskwą". (W przypiskach do swych pamiętników Mazepa wspomina na tym miejscu, jak Petlura powróciwszy 1. maja 1920 roku z Warszawy do Kamieńca, odpowiadając na powitanie przedstawicieli miejscowego społeczeństwa, powiedział m.in.: "Wiem, że wielu z was nie wierzy w nasz nowy sojusz. Tym odpowiem przysłowiem: 'Tato, a tam czort lezie w chatę' — krzyczy wystraszony syn, a na to ojciec spokojnie: 'A niech tam czort, byle nie Moskal!' Mazepa dodaje od siebie, że "tak oto patrzył Petlura na układ warszawski"). Rozmowa nasza trwała kilka godzin. Petlura uparcie podtrzymywał swój pogląd, że ja muszę pozostać na czele rządu, a ja swoje. Podczas mojej rozmowy z Petlurą "w kuluarach" kręcił się cały czas nowo wyznaczony attaché ministra spraw wewnętrznych, Józefski, niewielkiego wzrostu, młody jeszcze mężczyzna, Polak z Ukrainy, który przed rewolucją był członkiem nielegalnej "Polskiej Organizacji Wojskowej", na czele której stał Piłsudski, a później był wojewodą na Wołyniu. Przyjechał on tym samym pociągiem co Petlura i miał oczywiście polecenie z Warszawy, być polskim "okiem" w naszym rządzie. Wszystko to jeszcze bardziej nastrojało mnie przeciw pozostaniu w rządzie. Dlatego, po podróży wraz z Petlurą do armii Pochodu Zimowego w Jampolu, 11 maja wyjechałem do Winnicy z zamiarem wystąpienia z rządu.

Po zajęciu Kijowa przez wojska polsko-ukraińskie, Winnica stała się ponownie, na krótko, ośrodkiem życia ukraińskiego. Ze wszystkich krańców Ukrainy zaczęli się tutaj zbierać aktywni Ukraińcy, aby wziąć udział w pracy państwowej. O sprawie reorganizacji rządu zdecydowano wtedy, kiedy w kilka dni po zdobyciu Kijowa przyjechał do Winnicy Piłsudski. Właśnie w tym czasie dowiedziano się w Winnicy, że Polacy internowali oddziały halickie, które przeszły do bolszewików na stronę frontu polsko-ukraińskiego. Petlura podczas naszej rozmowy w Mohylowie nie powiedział mi nic na ten temat. O internowaniu oddziałów halickich dowiedziałem się po raz pierwszy dopiero w Winnicy od J. Makucha, który wraz z innymi członkami naszego rządu przyjechał wówczas z Kamieńca. Wszyscy patrzyliśmy na internowanie oddziałów halickich jak na symptom tych istotnych planów, z którymi Polacy szli na Ukrainę. Uważaliśmy, że przejście armii halickiej do nas odnawia front ogólnoukraiński przeciwko bolszewikom, a szczególnie likwiduje ów podział ukraińskich sił narodowych, który nastąpił jesienią 1919 r. Ale polski "sojusznik", oczywiście był zainteresowany w czymś wręcz przeciwnym. Wszystko to wzmocniło tak we mnie jak i w podobnie do mnie myślących ludziach nastroje, sprzyjające rezygnacji z dalszego udziału w rządzie. Ale ostateczną decyzję w tej sprawie odłożono do przyjazdu Piłsudskiego. Wśród odpowiedzialnych członków partii socjal-demokratycznej przeważał pogląd, że jeśli Piłsudski przyjmie pewne żądania naszego rządu i w ogóle wykaże gotowość do pójścia na kompromis z Ukraińcami, wówczas może to być jednym z motywów do pozostania socjalistów w rządzie. Konkretnie wysunięto myśl, aby premier naszego rządu, podczas rozmów z Piłsudskim, zażądał, aby Polacy nie ingerowali w nasze wewnętrzne sprawy i nie zgłaszali pretensji do swych kandydatów na członków naszego rządu, szczególnie zaś odnośnie kierownictwa ministerstwa spraw rolnych. O sprawie internowanych oddziałów halickich miał mówić z Piłsudskim Petlura.

Piłsudski przyjechał do Winnicy 16 maja. Polacy przyjęli go bardzo uroczyście. Mszą św. i kościelnymi dzwonami, w swym katolickim kościele na głównej ulicy Winnicy. Prosto z kościoła, Piłsudski przyjechał do Petlury, do jego mieszkania na ulicy Monasterskiej. Tutaj zebrał się celem powitania zwierzchnika Państwa Polskiego, wszyscy członkowie naszego rządu, którzy wówczas przebywali w Winnicy. Potem odbyła się w gabinecie Petlury, rozmowa z Piłsudskim, w której uczestniczyli Petlura i ja. Przedstawiłem krótko Piłsudskiemu wszystkie życzenia naszego rządu i wręczyłem mu na piśmie projekt unormowania stosunków między władzą ukraińską i polską na terytorium ukraińskim. Wysłuchawszy mnie, Piłsudski oświadczył, że wszystko to chętnie przyjmuje. Odnośnie kandydatów na kierowników poszczególnych ministerstw zaznaczył on, że jest to nasza wewnętrzna sprawa. Po mnie mówił Petlura w sprawie zwolnienia internowanych żołnierzy halickich. Piłsudski obiecał niezwłocznie zwolnić tych wszystkich oficerów i żołnierzy, którzy zgłoszą się do służby w armii ukraińskiej. Następnym tej rozmowy z Piłsudskim było, że zamiast Polaka Stempowskiego ministrem spraw rolnych został wyznaczony Ukrainiec, a z byłych żołnierzy armii halickiej stworzono wkrótce przy armii naddnieprzańskiej odrębną, tzw. chersońską dywizję, która składała się prawie wyłącznie z Ukraińców halickich. W ogóle Piłsudski zrobił na mnie dobre wrażenie. Wysoki, mocno zbudowany, z energicznym obliczem i szarobłękitnymi, głębokimi, przenikliwymi oczyma, należał on do tego typu ludzi, którzy wzbudzają do siebie zaufanie. Po rozmowie z Piłsudskim, począłem skłaniać się do myśli, że nasi przedstawiciele w Warszawie byli zbyt ustępliwi w pertraktacjach z Polakami i przy innej taktyce układ polsko-ukraiński mógłby inaczej wyglądać. Utwierdziłem się w tej myśli jeszcze bardziej, kiedy Piłsudski, tego samego dnia, na obiedzie, wydanym przez nasz rząd z okazji jego pobytu, wygłosił przemówienie, w którym wyraził swój pogląd na stosunki polsko-ukraińskie. Z początku przemawiał podczas obiadu Petlura. Mówił on w ogólnym duchu, o "naszej i waszej wolności". Odpowiadając Petlurze, Piłsudski powiedział w swym przemówieniu, że Polska i Ukraina przeżyły ciężką niewolę. Obydwa te kraje należą do tych, w których panował nieustanny terror. Już dzieci uczono tutaj, aby trzymali na wodzy swe myśli. Wolna Polska nie może być naprawdę wolną, dopóki dookoła panuje hasło podporządkowania woli narodów przemocy, Polska, zdobywszy największy skarb na ziemi — wolność — postanowiła jak najdalej odrzucić od swych granic to wszystko, co zagraża wolności. "Będę szczęśliwy, mówił Piłsudski, kiedy nie ja — mały sługa mego narodu — ale przedstawiciele Sejmu polskiego i ukraińskiego utworzą wspólną platformę porozumienia. W imieniu Polski wznoszę okrzyk: niech żyje wolna Ukraina!"

Podczas obiadu, w rozmowie ze mną (siedziałem bowiem obok niego) Piłsudski powiedział m. in.: "Wiem, że Ukraińcom brakuje własnej inteligencji dla pracy państwowej. A ja postanowiłem puścić Was na głęboką wodę, bo tylko tak można się szybciej nauczyć pływać". Na to ja odpowiedziałem Piłsudskiemu: "My, Ukraińcy, już trzeci rok pływamy na dosyć głębokich wodach, ale naszym wrogom nie bardzo to się podoba i dlatego chcą nas utopić". Tego samego dnia Piłsudski wyjechał z Winnicy".

Los chciał, że w dwa miesiące po zgonie byłego premiera Ukrainy, zmarł na emigracji jego najbliższy współpracownik z okresu rewolucji ukraińskiej, były naczelny wódz armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, generał-pułkownik Mychajło Omelanowycz-Pawlenko, który również zapisał się na kartce stosunków polsko-ukraińskich. Potomek kozaków, syn generała artylerii Wołodymyra Omelanowicza-Pawlenko i księżnej Aleksandry Korczbaszewej z gruzińskiego rodu, urodzony w Tbilisi na Kaukazie, 40-letni generał Mychajło Omelanowycz-Pawlenko, b. oficer sztabowy armii carskiej, jako naczelnik Katerynosławskiego Okręgu Wojskowego, przeprowadza

samorządnie ukrainizację byłych carskich oddziałów wojskowych i zostaje mianowany wodzem naczelnym armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. Kieruje wojskowymi operacjami na czele Korpusu Zaporożskiego na odcinku frontu Wapniarka-Odesa, a później, jako "komandarm" wojsk UNR, dowodzi w tzw. Zimowym Pochodzie, w którym stacza 50 większych bojów i potyczek z bolszewikami. Kiedy w r. 1920 nawala bolszewicka groziła zalewem Polsce i Europie, wówczas na prawym skrzydle armii polskiej walczyła ofiarnie armia ukraińska pod dowództwem generała Omelanowicza-Pawlenki. W ciągu całego okresu wojny polsko-rosyjskiej Omelanowycz-Pawlenko, na czele armii ukraińskiej, a później i kawaleryjskich pułków wolińskich kozaków Donu i Kubania, koordynując swą akcję z VI armią polską i wojskami rumuńskimi, osłaniał Lwów przed inwazją bolszewicką. Za tę kampanię otrzymał Omelanowycz-Pawlenko stopień generał-pułkownika. Po podpisaniu Traktatu Ryskiego pomiędzy Polską a rządem sowieckim, który społeczeństwo ukraińskie przyjęło wówczas tak, jak 20 kilka lat później Polacy powitali Jałtę — generał i bohater kampanii antybolszewickiej Omelanowycz-Pawlenko zostaje internowany przez władze polskie. Rozgoryczony, wyjeżdża do Czechosłowacji, gdzie organizuje centralną organizację kombatanów ukraińskich i poświęca się pracy teoretyczno-wojskowej — ogłaszając szereg dzieł z dziedziny wojskowej oraz wspomnienia z okresu ukraińskich walk wyzwoleniczych. Po drugiej wojnie światowej, zajmował gen. Omelanowycz-Pawlenko stanowisko przewodniczącego Wyższej Rady Wojskowej, jako nadrzędnego wojskowego czynnika ukraińskiej emigracji politycznej.

W tym samym mniej więcej czasie, co generał Omelanowycz-Pawlenko, zmarł również naukowiec ukraiński, prof. dr Zenon Kuzela, prezydent Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki. W osobie zmarłego społeczeństwo ukraińskie straciło nie tylko filologa sławistę, etnografa i antropologa, który po ukończeniu gimnazjum w Brzeżanach studiował w Lwowie i w Wiedniu u czołowych ukraińskich, polskich i niemieckich sławistów, ale również niezmordowanego pracownika w dziedzinie społecznej, który w ciągu 10-leci będąc lektorem na uniwersytecie w Czerniowcach, w Pradze, w Berlinie, a ostatnio w Paryżu, był patronem kilku pokoleń ukraińskiej młodzieży studiującej na uniwersytetach europejskich. Zasługą prof. Kuzeli było w wielkim stopniu odnowienie na emigracji tradycyjnego lwowskiego Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki, którego był prezydentem, oraz wydanie ukraińskiej encyklopedii na emigracji. Prof. Kuzela był również przewodniczącym ukraińskiej sekcji w utworzonej niedawno Międzynarodowej Wolnej Akademii Nauk w Paryżu, zrzeszającej naukowców z krajów okupowanych przez Rosję sowiecką. Stąd też odnowił prof. Kuzela dawne kontakty, datujące się jeszcze z Czerniowiec i Lwowa z nauką polską.

BEO.

Der MONAT

MIĘDZYNARODOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKYEGO

Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.
Cena egzemplarza — 1 DM.

Le Comte Jean SZEMBEK

Ancien sous-secrétaire d'Etat aux Affaires étrangères de Pologne

JOURNAL

1933-1939

Traduit du polonais

par M^{me} J. RZEWUSKA et T. ZALESKI

Préface de LEON NOEL

Ambassadeur de France

Le « Journal » du comte Szembek qui s'arrête à la date fatidique du 31 Août 1939 est le témoignage capital apporté par un patriote ardent, mort en exil en 1945.

L'édition française

est la seule actuellement publiée.

Un volume in-8° carré. Prix 1.200 frs. 504 pages.

— P L O N —

Książki

Archiwum ministra Szembeka

Jan Szembek był podsekretarzem stanu w Ministerstwie spraw zagranicznych w krytycznych sześciu latach wiodących ku wojnie. Na tym stanowisku był on stałym współpracownikiem Józefa Becka, pierwszym jego doradcą, prowadzącym z ramienia rządu rozmowy z ambasadorami państw obcych, koncentrującym relacje głównych przedstawicieli Rzeczypospolitej zagranicą. Obecnie wydana jego pośmiertna książka jest tedy bezpośrednim i najdonioślejszym świadectwem o przedwojennej polityce Polski. Jest to jej kronika z dnia na dzień, rejestr jej spraw i poczynań, a zarazem, dzięki świetnej zdolności formułowania i krytycznemu zmysłowi autora — pogląd na polityki tej całość i bezcenna informacja o jej źródłach.

W oczach historii nie zastąpi bezpośredniego świadectwa i dokumentu współczesnego. Pod tym względem książka Becka nie była wystarczająca: pisana po wypadkach, była rzutem oka wstecz, i autor w braku dokumentacji polegać musiał głównie na swojej pamięci. Natomiast książka Szembeka jest dziennikiem i zawiera bezpośrednio, współcześnie spisywane notatki. Widzimy jak płyną chwile, jak odbijają się w nich wypadki, jak formują się opinie i zamierzenia, jak wynikają działania.

Niestety, trzeba stwierdzić zaraz na wstępie: wydanie notat i papierów Szembeka nie jest zupełne — i to nie z winy autora. Jest to wina polska zbiorowa, spowodowana przedziwnym układem naszych politycznych stosunków. Nie znalazł się mianowicie wydawca na całość archiwum Szembeka; nie zatroszczyły się o tę spuściznę czynniki, których obowiązkiem było przejąć ją jako własność narodową, opatrzyć komentarzami i wydać z całą starannością, nie pomijając niczego, co jest z polskiego

Comte Jean SZEMBEK. *Journal*, 1933-1939. Préface de Léon Noël. Paris, Librairie Plon (1952). Str. 2 nlb., XI, 504 i portret. Cena egz. 1.200 fr.

punktu widzenia istotne. Wydawca francuski miał inne przed sobą zadania: z konieczności musiał dać tylko wybór, ograniczyć się do rzeczy najważniejszych, o międzynarodowym raczej znaczeniu.

Kto dokonał tego wyboru? Kto wziął odpowiedzialność za poczynione skróty? Co zostało opuszczone lub pominięte? Jakie kryteria wzięte zostały przy tym za podstawę? — Tego wszystkiego nie wiemy; a jednak, analizując opublikowaną treść, czujemy braki, stwierdzamy pozostałe luki. Pierwszą tedy reakcją polskiego czytelnika jest podniesienie głosu za tym, aby przygotowane zostało i pojawić się mogło jak najrychlej pełne i opatrzone naukowym komentarzem wydawnictwo — Archiwum Ministra Szembeka.

Od pierwszych stron «Dziennika» wchodzimy w odmęt trudności i przeciwieństw, wśród których kształtowała się i torowała sobie drogę polityka polska. Od razu trudności te występują w wyliczeniu przez Piłsudskiego, w rozmowie z Leonem Barthou 23 kwietnia 1934, głównych problemów Polski — a wśród nich, na pierwszym miejscu, «stosunków z dwoma wielkimi sąsiadami». Jedenaście dni przedtem, w czasie odprawy sztabowo-politycznej, Marszałek sformułował ten problem w sposób następujący: «z tych dwóch państw, które jest lub stać się może bardziej dla Polski niebezpieczne?»

Jak widzimy, u podstaw naszej polityki nie było złudzeń. Od tej wczesnej chwili aż do samego końca, do groźnych dni sierpniowych 1939, podstawową kwestią było, które niebezpieczeństwo, wschodnie czy zachodnie, jest dla nas większe i bardziej bliskie, któremu z nich możemy i w jaki sposób stawić czoło.. Wojna była dla Polski prawdziwą *ultima ratio*: kraj był w odbudowie i zadaniem polityki było rozwiązywać zagadnienia, utrzymując pokój.

Od zachodu, od samego początku, najbardziej powołani obserwatorzy stwierdzali dynamiczny rozrost Niemiec. W trzecim roku istnienia paktu polsko-niemieckiego o nieagresji, generalny inspektor armii, Rydz-Śmigły zwraca uwagę na niepokojące zbrojenia Rzeszy i konstatuje, że zwracają się one przeciw Polsce (Śmigły, 30.VI.36*). W okresie *Anschluss*'u Śmigły powtarza, iż «należy zawsze się liczyć z ekspansją, agresywnością i dynamizmem niemieckim», z tym, że po Austrii, Czechosłowacji, «mogą się one zwrócić przeciw Polsce» (Śmigły, 12.III.38). W tymże czasie uderza na alarm z powodu zbrojeń niemieckich i budowy umocnień w Prusach Wschodnich konsul z Królewca (Warchałowski, 3.III.38), przepowiadając ekspansję «kolonialną» Rzeszy, poprzez Polskę i Litwę, na wschód. Najbardziej jaskrawo ostrzega, począwszy od 1935, generał Sosnkowski (1.II.35,

* Celem ułatwienia czytelnikowi sprawdzenia odnośnych cytat, autor recenzji podaje przy każdej z nich nazwisko rozmówcy i odnośną datę.

24.I.36, 23.II.38). Ale i Beck również, od lata 1935, zadaje sobie pytanie, jaka jest właściwie polityka Niemiec w stosunku do Polski, czy nie skorzstają one z dezorientacji po śmierci Piłsudskiego i nie przedsięwzją agresji (Beck, 7.VIII.35).

Z przeciwnego kierunku, od wschodu, groziło nie mniejsze niebezpieczeństwo. Wprawdzie minister Eden, po powrocie z Moskwy, osądzał, że Rosja «w zasadzie nie reprezentuje żadnego niebezpieczeństwa», że «sprawia wrażenie organizmu bardzo słabego», zaś agresję z jej strony odkładał «co najmniej na pięćdziesiąt lat» (Raczyński, 2.IV.35*); jednakże ambasador amerykański Bullitt był odmiennego zdania i uważał, na dwa lata przed wojną, «zagrożenie Polski przez Rosję za większe, aniżeli przez Niemcy» (14.XI.37). Laval wracał z Moskwy w maju 1935 pod silnym wrażeniem: «to typ wielkiego formatu, mówił w Warszawie o Stalinie: to rodzaj azjatyckiego zdobywcy, coś niby Czyngis chan». (18.V.35).

Polscy obserwatorzy dali ostry wyraz swej opinii o sile rosyjskiej, różnej od zdania Edena: doceniali rozrost potęgi sowieckiej. «Nikt nie powinien wydawać sądu o Rosji, mówił Piłsudski do Edena, nie znając jej w sposób głębszy i w samej jej istocie». Między naszymi rzeczoznawcami wybija się na pierwsze miejsce uwaga posła Władysława Neumana. Na trzy i pół lat przed wojną, «zastanawiał się on, jakie będzie położenie Polski w razie, jeżeli Stalin pochwyti dyktaturę i dojdzie do porozumienia z Hitlerem... Jeżeli obserwować, dodawał, ciągle przemiany zachodzące w Sowietach, oraz fakt że polityka sowiecka kroczy coraz wyraźniej po śladach polityki carów, ewentualność taka nie wydaje się wcale wykluczona» (18.IV.36). Drugi wybitny obserwator, ambasador Grzybowski, po kilku miesiącach pobytu w Moskwie, dochodzi do «podstawowej konkluzji»: konstatuje olbrzymią dynamikę państwa sowieckiego. Dynamika ta prowadzi do agresji, przy czym wybór chwili właściwej jest już tylko sprawą taktyki... Sowiety wybiorą moment ataku, jak i kiedy zechcą, albowiem są panami sytuacji; reprezentują potęgę olbrzymią, niestychanie niebezpieczną, zwróconą w znacznej mierze przeciwko nam... Ekspansja jest samą racją bytu Sowietów. Rosyjski imperializm toruje sobie drogę za pomocą wyzwania proletariatu. Metoda, jaką stosuje, to zaostrzanie wszystkich antagonizmów europejskich... Dążeniem jego jest opanowanie całego kontynentu Europy. Sowiety — to przede wszystkim Rosja; pomimo ich zapewnień o chęci ustanowienia dobrosąsiedzkich stosunków, ich nienawiść do Polski utrzymuje się w całej mocy, a ich parcie naprzód zwraca się w rzeczywistości przeciwko nam» (4.XI.36).

Kierunek anty-polski polityki sowieckiej prowadzony był

*) Inne zdanie brytyjskiego ministra: «Le chancelier Hitler a fait sur (Eden) l'impression d'un homme extrêmement habile. Lorsque j'ai demandé si c'était de l'habileté sous la forme de ruse, il a protesté... qu'Hitler avait des apparences sympathiques» (2.IV.35).

osobiście przez Stalina: konstatuje to po wizycie w Moskwie Laval, stwierdzając że Stalin starał się podniecić w nim nieufność do stosunków Polski z Niemcami. Od zarania 1935 czujemy stale rękę Sowietów w podrażnianiu Francji przeciwko Polsce, w krzyżowaniu polskich czynności dyplomatycznych w Europie środkowej i w Rzymie, w przygotowaniu paktu wschodniego; zresztą, Sowiety za dużo o każdej naszej akcji wiedzą, będąc stale informowani przez Paryż. Wykonawczą rolę spełnia wówczas Litwinow, który już w 1935 wieje złością do Becka (Cudały, 11.X.35). «Maxim» Wałach-Litwinow ma jednak swój własny kompleks polski. Ten komisarz sowiecki, którego «kooperację» z Zachodem i z Ligą Narodów wspomniła z rozrzewnieniem, po niedawnej jego śmierci, prasa anglo-saska, był urodzony w Białymstoku. — Nie słyszałem, aby pan był Polakiem — mówi doń Bullitt w pociągu, gdy razem przejeżdżają te strony: «Litwinow, mocno zirytowany, odpowiedział, że wszystko to nie jest Polską lecz Rosją i do niej jeszcze powróci» (Bullitt, 14.XI.37). Tak mówił o Polsce, w dobie paktów o nieagresji, umów o poszanowaniu granic, bolszewik pro-zachodni. Czegoż mogliśmy oczekiwać od innych?

Polityka polska zdawała więc sobie sprawę z podstawowych tendencji, jakie istniały po obu stronach, na wschodzie i na zachodzie, a to pomimo unieważnienia dzieła rozbiorów. Dążyła zatem do reasekuracji, najpierw francuskiej, później brytyjskiej.

Sojusz polsko-francuski stanowić miał, zgodnie ze świadectwem jego współ-autora, Sosnkowskiego, «przeciwwagę i gwarancję» i miał uchronić Polskę od izolacji. W oczach Francji natomiast miał on oznaczać wejście Polski do wysuniętego na wschód francuskiego systemu obronnego. Obustronnie, istniały od samego początku niejasności i niedomówienia — źródła nieporozumień. Polska nie mogła wziąć pełnego udziału w systemie wschodnim Francji, bez uzgodnienia stosunków z Małą Ententą, czyli bez wyrównania sporu z Czechosłowacją. Francja zaś uważała wszelkie gwarancje za nieefektywne, dopóki nie przyłączy się do nich Rosja. Dzisiaj wiemy już, iż naczelne autorytety wojskowe Francji — Foch i Weygand — sprzeciwiały się w 1921 udzieleniu gwarancji Polsce. Wiemy także, iż następnie budowanie linii Maginota i wycofanie wojsk okupacyjnych z Nadrenii oznaczało rezygnację Francji z ofensywy — a zatem z myśli o skutecznej pomocy Polsce. Ambasador Léon Noël przedstawił sam, bez ogródek, swoje starania o wypowiedzenie sojuszu przez Francję. Podobne tendencje szerzyły się jeszcze wcześniej, we wpływowym kręgu Wielkiego Wschodu, w otoczeniu prezydenta Herriota: liczne ich echa przewijają się przez rozmowy Szembeka, w szczególności ze związanym najwidoczniej z tymi kołami Anatolem Mühlsteinem.

Przed opuszczeniem Warszawy długoletni i Polsce życzliwy ambasador Laroche uzasadnił rewizję polityki francuskiej z lat

trzydziestych: «interesy Francji, mówił, znajdują się poza Europą; na kontynencie, Francja posiada wyłącznie interesy zachowawcze» (21.I.35). Rezultatem takiego stanowiska była zupełna obojętność w stosunku do północnych interesów Rzpltej, niechęć do polskiej polityki bałtyckiej, przeciwstawianie się Polsce w sprawach litewskich, a w końcu, za wszelką cenę, powrót na utarte szlaki aliansu rosyjskiego. Następcą Laroche'a, Noël, ujął różnicę wzajemnych stanowisk w inny jeszcze sposób: Francja, zarówno jak Polska, obawia się powrotu Niemiec na tory Rapalla; «podczas gdy Polska, aby zażegnać to niebezpieczeństwo, uznała za właściwe zbliżenie do Niemiec, Francja widzi lepszą gwarancję przeciw temu samemu zagrożeniu w zbliżeniu się do Rosji» (15.X.35). Wobec takiego rozminięcia dróg w sprawie głównej, polityka obu krajów krzyżowała się wzajem, w Pradze i w Wiedniu, w Kownie i w Rydze, a nawet w Hiszpanii i w Belgii. W sojuszu z Francją Szembek zaczął upatrywać niebezpieczeństwo «automatycznego pójścia na łańcuch franko-rosyjski» (27.VI.35). Kiedy indziej (15.X.35) przypominał ambasadorowi, że to Francja — Barthou, Paul-Boncour — wprowadziła Sowiety do Europy». Niedługo potem Beck konstatuje lakonicznie: «Francja optowała całkowicie za Rosją... Jej polityka nie jest niczym innym, jak narzędziem w rękach Kominternu, realizującego swe cele już nie z Moskwy, a z Paryża» (20.V.36).

W tymże czasie, jeden z wpływowych polityków przedwojennej Francji, minister oświaty Jan Zay, zagadnięty na zebraniu przedwyborczym o stosunek paktu z Sowietami i aliansu polsko-francuskiego, w odpowiedzi swej «ograniczył się do skonstatowania faktu, że w rzeczywistości granica wschodnia Niemiec jest granicą między Niemcami a Rosją» (August Zaleski, 27.IV.36).

Zbliżenie Polski z Anglią nastąpiło dopiero po śmierci Piłsudskiego i było dziełem osobistym Becka. Istnieje jeden zastanawiający epizod w tej trudnej, urywanymi zdaniami prowadzonej, rozmowie Piłsudskiego z Edenem, ostatniej rozmowie Marszałka z politykiem obcym (Protokół Szembeka z konferencji w Belwederze, 2.IV.35). Piłsudski zbyt łatwowerne opinie Edena o Rosji, po czym wyraził «niejakie zdziwienie, że Wielka Brytania, mając interesy tak rozległe i rozproszone po całym świecie, miesza się tak bezpośrednio do spraw, obchodzących jedynie Europę wschodnią». — «Czy uważa pan, panie Marszałku, odparł z nonszalancją Eden, że powinniśmy pozostać na naszej małej wyspie?» — Jest to jedyna wskazówka, jaką rozporządząmy, że Piłsudski, nieufnie patrzący na politykę angielską, nie zawierzyłby jej z taką łatwością w cztery lata później.

Beck na jesieni tegoż 1935 roku doszedł w Genewie do generalnego porozumienia z Edenem «co do wpływu rozmaitych sił międzynarodowych, a w szczególności Moskwy, na politykę europejską» (Beck, 20.X.35). Porozumienie to nie mogło być istotne: właśnie w Genewie Eden związany był z zupełnie in-

nymi siłami międzynarodowymi i wprowadzał w życie całkiem odmienną doktrynę polityczną; zaś w lipcu 1938 ambasada w Londynie donosi Szembekowi, że Leeper działa przeciw Beckowi i zdołał obrócić przeciw niemu Edena (Raczyński przez Podoskiego, 7.VII.38). Otóż Leeper grał rolę w *Foreign Office* równoległą, jak się zdaje, do roli Léger'a na *Quai d'Orsay*.

W poglądach na politykę angielską rysuje się jedyna może poważna różnica zdań między nimistrem, a jego najbliższym współpracownikiem. W styczniu 1936 Szembek notuje swe osobiste wrażenie: «jednym z celów polityki angielskiej jest dojść do porozumienia z Niemcami... Londyn sądzi, że Niemcy, izolowane od Polski, okażą się łatwiejsze dla negocjacji. Najlepszym sposobem... jest sprowokować konflikt między Polską a Niemcami w sprawie Gdańska. Konflikt taki posiadałby w oczach Londynu podwójną wartość: odsuwając nas od Niemiec, dostarczyłby Anglii doskonałego atutu dla rozmów z Berlinem; porozumienie z Niemcami byłoby zapłacone Gdańskiem, gdy nie można go opłacić ani korytarzem, ani Austrią, przynajmniej bez przeciwstawienia się Francji» (8.I.36).

W ten sposób, Polsce groziło stałe niebezpieczeństwo, że tak jak Gdańsk, terenem «eksperymentowania» przez Anglię (Raczyński, 23.XII.35), albo przetargu z innym mocarstwem, stać się może każda żywotna nasza sprawa, wraz z Pomorzem i kwestią granic. Obok prądów Polsce wprost przeciwnych, istniały na szlakach naszej polityki rafy podwodne. W tym czasie Szembek zapisuje najgłębsze uzasadnienie paktu z Niemcami i jego «podstawowej wagi» dla Polski: «jego istnienie jest dla nas gwarancją, że Anglia nie zakwestionuje 'Korytarza' w swoich pertraktacjach z Niemcami» (22.XI.35).

Polska lawirowała tedy — okręt w pośrodku nadciągającej burzy — pomiędzy Scyllą a Charybdą; i zmuszona była jednocześnie dbać o to, aby jej «wśród najlepszych przyjaciół» nie rozszarpano i nie pożarto. Uderzająca jest analogia między koniunkturą anglo-niemiecką w 1935/6 i koniunkturą anglo-sowiecką w 1943/5.

Z właściwością umysłów ukształconych na wzorach łacińskich Szembek umiał zdefiniować, jak może nikt inny, wytyczne i motywy polityki polskiej. Obserwując wzrastające konflikty światowe, powstałe nie tylko z powodu sprzeczności interesów, lecz może, więcej jeszcze na gruncie różnic ideologicznych, polityka polska założyła sobie «nie wiązać się z żadną z grup przeciwnych, aby zachować, możliwie jak najdłużej, neutralność w stosunku do dwóch przeciwstawiających się wzajem obozów» (Szembek w rozmowie ze Śmigłym, 30.IX.36). Marszałek Piłsudski przewidział chaos, ogarniający stopniowo całą Europę: «polityka polska trzyma się z dala od tego chaosu, a to za pomocą układów, nie podlegających żadnemu czynnikowi obcemu»; jednakowoż, «bilateralizm tak ukształtowany nie nosi żadnego

charakteru doktrynalnego» (Beck, 20.V.36), czyli że był otwarty dla innych umów, nie naruszał pełnego zastosowania układów dotychczasowych, nie wykluczał załagodzenia stosunków z Rosją. Jak długo można było takie odchylenie od rzeczywistości europejskiej utrzymać? — Szembek zdaje sobie w pełni sprawę z tego, że «gdy sytuacja się zaostrzy, stanowisko takie nie będzie mogło trwać długo» i zauważa, że «jednym z podstawowych błędów przedrozbiorowej polityki polskiej było trzymanie się z daleka od wielkich rozgrywek w Europie (30.IX.36).

To było punktem wyjścia, ze strony polskiej, deklaracji polsko-niemieckiej z 26 stycznia 1934. Było to w gruncie rzeczy, dla Polski, zabezpieczenie zachowawcze. «Polityka odprężenia z Niemcami stanowiła najlepszą gwarancję przeciwko wszelkim projektom zmierzającym do zapłażenia przez nas za to, co nazywają pacyfikacją Europy» (Szembek w rozmowie z generałem Stachiewiczem, 14.XII.37). Tu jednak także tkwiło źródło nieporozumienia między obu układającymi się stronami: albowiem pogląd niemiecki na zadania i cele umowy był na pewno odmienny. Celem polskim była równowaga i pokój. Celem niemieckim była ekspansja i wojna: wojna z Rosją sowiecką, wspólna wyprawa na Ukrainę — po żywność, surowce, kolonie.

Formalnej propozycji niemieckiej, jak się zdaje, nie było. 23 kwietnia 1934, w rozmowie z ministrem Barthou, Piłsudski z całą otwartością oświadczył: «poważne propozycje współpracy dotychczas nie miały miejsca... *je les attends toujours*». Propozycje nie nastąpiły; w styczniu 1935 Göring był w Polsce; w rozmowie z nim Piłsudski, na trzy i pół miesiąca przed swą śmiercią, uchylił się od rozmowy na temat współpracy przeciw Rosji.

Po śmierci Marszałka nie ustawały dalsze próby niemieckie — zawsze jednak w formie ostrożnych aluzji albo pośrednich manewrów. W lipcu 1935 Hitler sugerował w swej rozmowie z Beckiem «konsolidację sytuacji obecnie istniejącej między Polską a Niemcami tak, aby w razie niebezpieczeństwa grożącego jednemu z nich móc utworzyć przyjaźń — *Freundschaft* — w obliczu zagrożenia» (Lubiński, 5.VII.35). W pół roku potem, admirał Canaris wystąpił do ambasadora w Berlinie z propozycją, z ramienia generała Blomberga, zacieśnienia «koleżeństwa» między obu armiami (Lipski, 10.II.36). Jeszcze po pół roku Hitler, w rozmowie z Szembekiem, odsuwa na plan drugi inne kwestie i trudności: «obecnie, mówi, stają przed Polską i przed Niemcami problemy tak doniosłe i groźne, że cała uwaga powinna być zwrócona w ich kierunku (12.VIII.36); tego samego dnia Göring kładzie nacisk na niebezpieczeństwo zbrojeń sowieckich i zapowiada bliską agresję z tej strony. Oczywiście, wszystkie te manewry miały na celu układ wojskowy z Polską, przewidujący rozprawę z Sowietami. Strona polska odpowiada na sugestie zupełnym milczeniem; ale jeszcze w listopadzie 1937 Göring zwraca się do bawiącego w Berlinie Szembeka i oświadcza mu, że nic nie rozumie: «dlaczego niepokoić

się tym Gdańskiem, gdy nasze cele zwracają się w zupełnie innym kierunku?» (4.XI.37). Na koniec, w lutym 1938, na parę tygodni zaledwie przed ekspedycją na Austrię, Göring przybywa do Warszawy i przywozi w imieniu Hitlera zaproszenie Śmigłego do Berlina (Rozmowa w obecności Szembeka, 23.II.38). I znowu, na te awanse niemieckie nie było ze strony polskiej żadnej pozytywnej odpowiedzi.

Jest rzeczą jasną, że Polska nie mogła przyjąć oferty Hitlera. Zanadto nieludzki, degradujący był ustrój narodowo-socjalistycznego państwa, zanadto obcy i tradycjom, i charakterowi Polaków. U Szembeka gromadziły się raporty, relacje, świadectwa, dotyczące nie tylko postępowania z obywatelami polskimi, lecz w ogóle nowego pojmowania godności człowieka i prawa do życia. Świat nie posunął się jeszcze wtedy tak daleko na drodze do obojętowania, aby przykłady hitleryzmu nie budziły naturalnego wstrętu. Nie ma w książce Szembeka — ani w równoległym studium Becka — śladów planu pójścia wraz z *Führer'em* na bolszewię. Trudno jest wypędzać szatana belzebubem.

Ale istniała inna także przyczyna, dla której politycy polscy nie przyjęli planu Hitlera: była to niechęć i nieufność szerokich kół do Niemiec w ogóle. Nic nie jest bardziej obce psychice naszego narodu, jak rzadzenie się kalkulacją, bez nastrojów uczuciowych. Na tych strunach łatwo grały w Polsce agentury obce: różne komórki podejrzanych wpływów, międzynarodowe mafie, usiłowały rozsadzić od wewnątrz niełatwą, oscylującą między niebezpieczeństwami, politykę zagraniczną polską. Poprzez drugą część dziennika Szembeka — lata 1938/9 — przesuwają się ciągle echa wystąpień, kampanij, demonstracyj, podjętych w widocznym celu sabotowania polityki umiaru, ostrożności i równowagi.

Ironią dziejową wyda się dzisiaj, że taka właśnie polityka polska — wstrzemięźliwa, nie angażująca się, nie odpowiadająca na pokusy Hitlera — wzbudzała podejrzenia, wywoływała plotki i hipotezy nie mające nic wspólnego z rzeczową obserwacją, ani z obiektywnym sądem. Ambasador Léon Noël w swojej znanej książce podaje, że «niektórzy z wysokich urzędników Quai d'Orsay... zadawali sobie pytanie... czy nie istniał... układ tajny, ściślejszy» między Polską a Niemcami; sam zresztą, świadek zdawało by się poinformowany, takiemu przypuszczeniu jeszcze w 1946 wcale nie zaprzecza*). Tę złośliwą insynuację można obecnie zestawić z szeregiem innych przyjacielskich manewrów. Zarówno w kryzysie austriackim jak czeskim tendencją pewnych czynników francuskich, podobnie jak brytyjskich, było wystawić Polskę na sztych, wplątać ją w zagadnienia Europy środkowej, sprowokować zerwanie porozumienia polsko-niemieckiego. Rozszerzenie fałszów o nieistniejącym układzie tajnym polsko-niemieckim spełniało też samą rolę: podniecało Polaków do nie-

potrzebnych wypowiedzi, angażowało ich w spory obce, a nadszła światową burzę sprowadzało wprost — i przede wszystkim — na Polskę.

Potrzeba było tej równowagi, jaką odznaczało się kierownictwo polityki polskiej, aby owe prowokacje wyminąć, a konflikt z Niemcami — gdy konflikt stał się już nieuchronny — przyjąć na gruncie własnych życiowych interesów.

W rozmowie z Beckiem, 3 lipca 1935, Hitler głosił, że «byłoby szaleństwem», w stosunku do «narodu zdrowego i w pełnym rozkwicie», próbować «wydrzeć mu terytoria lub odepchnąć go od Bałtyku» (Łubieński, 5.VII.35). Lecz cóż? — Dzieje dają niejedyn przykład zbiorowego czy indywidualnego szaleństwa. Żaden zapewne z tych przykładów nie jest tak uderzający, żadne w długim szeregu człowieczych szaleństw nie było tak nieobliczalne w swojej istocie, nieogarnione w swych bliskich i dalekich skutkach, jak obłąkanie Hitlera w 1939. Przez nie zrunował Polskę, a zgubił Niemcy.

Nie ma rzeczy bardziej zawodnej, jak rekonstruowanie możliwości historycznych, sąd o tym, co by się stało, jeśli by działania odpowiadały intencjom ludzi. Piłsudski kiedyś, w przededniu chwili, gdy los miał mu dać ponownie władzę, chciał spisać to co zamierzył i porównać z tym co wykonał. Może to odskok między tym, co było jego zamierzeniem, a tym co się stało w maju 1926, uniemożliwił Piłsudskiemu przeprowadzenie planowanej pracy. Pomimo to, dla nas, badających nieodwrotną przeszłość, usiłowanie rekonstrukcji ułatwić może analizę przyczyn, dać miarę dla oceny pobudek w rozgrywce pomiędzy ludźmi i narodami.

Pytanie dotyczące Hitlera można sformułować w sposób następujący: czy zamiysł zaatakowania i zniszczenia Polski istniał od początku, w samym założeniu, czy też powstał z czasem, jako zmiana tego założenia, pod wpływem ludzi i okoliczności? — czy porozumienie ze Stalinem tkwiło w naturze rzeczy, jako podstawowy warunek planu przeciw Polsce, czy też powstało koniunkturalnie, użyte jako fortel taktyczny? — W dzienniku Szembeka znaleźć można szereg elementów tego zagadnienia.

Opinie polskie i niemieckie co do zagrożenia Europy przez Sowiety były równoległe*). Zamiary niemieckie współdziałania wojennego z Polską przeciw Rosji były istotne: powtarzane wielokrotnie, uparczywie, utrzymane zostały w ścisłej tajemnicy — dotychczas zapewne nie wszystko o nich wiemy — nie były więc kamuflażem; zresztą, Polacy je odrzucili, a nie Niemcy cofnęli lub zdradzili. Pozostaje wrażenie, że plany te związane były u Hitlera z osobą Piłsudskiego, i że po jego śmierci nie zostały wprawdzie porzucone, ale podległy pierwszej rewizji.

*) Por. całkowicie mylne przedstawienie tej sprawy przez Noël'a, l.c. str. 83 sq., który bez żadnych podstaw utrzymuje, że Polacy, podobnie jak Zachód, nie doceniali sił sowieckich.

*) Léon Noël. *L'agression allemande contre la Pologne*. Str. 76. (Ed. Flammarion, Paris, 1946, pp. 509).

Zresztą, Piłsudski ich nie przyjął, objaśniając Göringowi, że żołnierz, wzdłuż tysiąco-milowej granicy, nie może spać z karabinem na ramieniu. Później, deklaracja polska z 7 marca 1936, ofiarująca Francji ewentualną pomoc, spowodowała drugą rezerwę pierwotnego zamysłu.

Gdańsk był od początku powodem poważnych różnic, i nie mogło być inaczej z Hitlerem, wodzem nacjonalistycznego ruchu. Pomimo to Hitler ogłaszał — nie Polsce, a swemu narodowi — że gotów jest uczynić wyjątek. W poufnej rozmowie z Niemcem, własnym mężem zaufania, miał szczęśliwe sformułowanie: «Gdańsk powinien się stać mostem, nie zaporą» (Forster do Burckhardt'a, Beck 19.XII.37). Ze strony polskiej, przez parę lat przed wojną mówi się o konieczności gruntownego, całkowitego rozmówienia się z Niemcami co do Gdańska, ale nigdy to do skutku nie dochodzi, żadna «wielkoduszna» koncepcja się nie pojawia. Cała sprawa pozostaje w nieomówieniach, i w końcu Hitler konstatuje impas: «nie należy, mówi do Szembeka, ruszać» istniejącego stanu rzeczy (12.VIII.36). Co zaś do kwestii autostrady przez Pomorze, poruszonej po raz pierwszy — jako «wielki plan Hitlera» — już w listopadzie 1936 przez Göringa (Łubieński, 3.XI.36), nie było o niej potem przez dwa lata rozmów oficjalnych, istnieje tylko zastanawiająca późniejsza wypowiedź ambasadora Moltkego: «było tak łatwo ją rozwiązać, dawniej, gdy ją (sam ambasador) poruszał i gdy nikomu jeszcze nie przychodziło na myśl żądanie eksterytorialności» (w rozmowie z Szembekiem, 6.II.39).

Wojna Hitlera przeciw Sowiетom była zamierzona od początku, odpowiadała założeniom programowym i postulatowi ideologicznym i, co najważniejsza, doszła przeciw do skutku. Jej celem zawsze, z Polską, czy bez Polski, była Ukraina: jej ziemię, jej surowce. Istnieją w tym względzie doniosłe szczegóły z końca 1938 w rozmowach ze Smal-Stockim po jego przyjeździe z Berlina, w ciekawym pośrednictwie ambasadora japońskiego z końca grudnia. Zbiegają się one w czasie z równie ciekawymi informacjami ze źródeł amerykańskich o usiłowaniach brytyjskich skierowania «huraganu agresji niemieckiej» przeciw Sowiетom (Biddle, 15.XII.38). Cała ta ciemna jeszcze sprawa wymaga osobnego opracowania.

W konkluzji niepełnych jeszcze danych, nieskrystalizowanych rozmów, niedopowiedzianych zamierzeń i planowań, można postawić następującą hipotezę. Hitler zamierzał, przynajmniej do 1938 roku, wspólną z Polską wojnę przeciwko bolszewii. Polska całym swym ciężarem miała się zwrócić na południowy wschód, Niemcy — na wschód i północ. Dla Niemiec stać miał otworem, poprzez Polskę, może i przez Ruś Podkarpacką, rynek Ukrainy. Dla Polski stać miało otworem wybrzeże Czarnego morza. Wzajemian za te nabytki i inne wyjście na morskie szlaki, Niemcy zażądałyby we właściwym czasie od Polski zrezygnowania z dostępu do Bałtyku, odstąpienia jego brzegów dla własnej ekspansji.

Wszystkie te plany i zamiary związ z powierzchni ziemi «huragan agresji», zwrócony przeciw Polsce. Decyzja zapaść musiała w związku z rozstrzygnięciami w Europie środkowej, które nie napotkały żadnego oporu, z szaleńczym zamysłem zwasalizowania Czech, które zerwało wszelkie tamy. Powstał miraż jedynej potęgi w świecie, złudzenie, że wszystko jej wolno. Wczesną wiosną 1939 sztab polski zaczął się liczyć ze wzrastającym «czynnikiem nieodpowiedzialności» (Stachiewicz, 4.IV.). Można było już skonstatować, że «zasada etnograficzna, rządząca polityką światową w ciągu dwudziestu ostatnich lat, ustępuje miejscu zasadzie imperializmu», czyli przemocy (Grzybowski, 12.IV.39). W tymże czasie Hitler przyjął wyciągającą się doń rękę Stalina, i fakt ten rozstrzygnął o agresji: bowiem kluczem sytuacji nie były już plany niemieckie lecz plany sowieckie. Omyłką w kalkulacji obserwatorów francuskich było stale powtarzane przypuszczenie, że Hitler planuje od dawna super-Rapallo, że zamierzył od początku związać się z Rosją, że prowadzi tajne konszachty i ich powodzenie zależy tylko od tego, czy Stalin się na nie zgodzi. Rzecz się miała przeciwnie: to Stalin zwiabił w swą sieć Hitlera, to bolszewicy zagrali na kartę niemiecką, aby podpalić świat. Obserwatorzy polscy widzieli to jasno i zawczasu: ambasador Patek w 1934, przewidujący porozumienie Sowiетów z Niemcami (konferencja u Piłsudskiego z Barthou, 23.IV.), poseł Neuman, dostrzegający w 1936 rękę dyktatora Stalina, wyciągniętą do dyktatora Hitlera; ambasador Łukasiewicz, konstatujący, w tymże czasie, że «Sowiety odwracają się od Dalekiego Wschodu, aby powrócić ofensywnie na swe zachodnie granice» (27.II.36); ambasador Grzybowski, stwierdzający jesienią tegoż 1936 roku, że «ekspansja jest racją bytu Sowiетów».

«Dziennik» ministra Szembeka został uzupełniony dziwną przedmową pióra p. Léona Noël'a. Jak wiadomo, ten był ambasador Francji w Polsce żywi uraz na punkcie Józefa Becka i do dzisiejszego dnia, po latach trzynastu, nie umie urazu tego przezwyciężyć, ani zdobyć się na obiektywizm. Czy wydawnictwo papierów najbliższego współpracownika Becka było właściwą sposobnością do ponownych napaści, trzeba zostawić taktowi dyplomaty i wytrawności polityka. Ale próba przeciwstawienia Szembeka Beckowi, stworzenia między nimi różnic politycznych, nie tylko mija się z prawdą, ale w ogóle nie może się udać; a to z tej prostej przyczyny, że sam dziennik Szembeka, na zbyt wielu stronach temu fałszowi zaprzecza. W najważniejszej sprawie, dotyczącej porozumienia z Niemcami, polityka obu mężów stanu była jednolita i jednomysłna, a spisane przez Szembeka rozmowy z ambasadorem Francji stanowią najlepsze, jakie dotychczas znamy jej uzasadnienie i obronę. A jeśli chodzi o stosunek do osoby Becka, wystarczy zacytować jedno. Gdy ambasador Francji przyszedł kiedyś na Wierzbową skarżyć się na ataki prasy opozycyjnej na osobę Léona Bluma, Szembek po-

wolał się na istniejącą w Polsce swobodę prasy i dodał: «my sami jesteśmy nieprzyjemnie zaskoczeni ciągłymi atakami prasy francuskiej przeciwko polityce i osobie Becka», rozmowa z Noëlem, 19.V.37).

Drobne usterki wydawnictwa — nawet w nazwiskach i określeniach funkcji — świadczą, że nie przeszło ono przez niezbędną kontrolę fachowych czynników polskich*). Natomiast zdumienie musi wywołać zamieszczenie jako jedynej mapki — szkicu Czechosłowacji. Wydawało by się, że do obrazującej całość polityki polskiej książka pasować mogła jedynie dobra i przejrzysta mapa polityczna Rzeczypospolitej. Przydałaby się ona dla czytelników kraju, którego przedstawicielem na pogrzebie Piłsudskiego zastanawiali się podobno: — cóż to? więc Polacy mają swoją flotę wojenną... a gdzie oni mają swój port?

Książka Jana Szembeka pozostanie wzorem, jak należy traktować sprawę własnego państwa, nie dać się powodować przez wrogów ani przyjaciół i stać niezmiennie na straży swoich permanentnych interesów.

Michał SOKOLNICKI.

*) Razi między innymi nieustalenie terminu "Ruthenie" albo "Russie subcarpathique": w książce polskiej nie powinien być używany odnośnie do Rusi Podkarpackiej, wprowadzający w błąd termin "Russie". — Poza tym: nie wiemy, co oznacza słowo "Piłsudsiście" (str. 242).

Generał Catroux

W świeżo wydanej swej książce*), generał Catroux, bliski współpracownik de Gaulle'a, Wysoki Komisarz Syrii w czasie wojny, od 1945 do 1948 ambasador Francji w Moskwie, daje w zakończeniu wymowne ostrzeżenie pod adresem Francji i zachodniego świata. Francja, jego zdaniem, omyliła się, zawierając w grudniu 1944 swój "pakt przymierza i wzajemnej pomocy" z Rosją Sowiecką: "tak bywa z paktami, zawieranymi z diabłem: są po to, aby was spętać, nigdy ... aby ich dotrzymać". Francja myliła się wraz z całym Zachodem, sądząc, że rewolucja bolszewicka się skończyła i że państwo sowieckie stało się państwem podobnym do innych: podstawowy fakt sowiecki i polega na tym, iż państwo jest identyczne z rewolucją. Sowiety pozostały w ciągu wojny, prowadzonej wspólnie z państwami kapitalistycznymi, "ich tajnym i zdecydowanym wrogiem":

*) Général Catroux, *Ambassadeur de France. J'ai vu tomber le Rideau de Fer, Moscou 1945-1948*. Hachette (Paris 1952), str. 318.

kontynuowały swą walkę o realizację własnych celów rewolucyjnych i prowadziły swą strategię, będącą "na służbie ich polityki", tak aby zająć "regiony obwodu sowieckiego i uczynić z nich bazy dla ekspansji komunizmu na zachód"; po czym, "udało im się w Jałcie zalegalizować te zabory ideologiczne przez swych aliantów, a zarazem uzyskać od nich korzyści w Azji, które obrócili następnie przeciw nim, a na korzyść rewolucji".

Ów tedy "Termidor rewolucji", podjęty przez Lenina i kontynuowany przez Stalina pod postacią "socjalizmu w jednym tylko kraju", był iluzją umysłów Zachodu, a w rękach władców Kremla — chwytem taktycznym, "oddaniem, by lepiej odebrać". Taktyka Stalina polegała na utworzeniu potężnej bazy, uzbrojonej w przemysł, zamieniającej naród rosyjski w skupioną siłę, w taran służący do "rozprzestrzenienia rewolucji". Nie jest to wprawdzie już marksizm, ani realizacja zamierzeń Lenina: państwo neo-sowieckie nie ma nic wspólnego z "równością"; odpowiada za to temu, co jeszcze Proudhon nazwał "źródłami ukrytymi w sercu narodu rosyjskiego" i jest urzeczywistnieniem proroczej wizji Bakunina, utrwalonej przez autora w cytacie z Ksawerego Branickiego — państwa krańcowego despotyzmu, państwa-maszyny, regulującego "naukowo" całą społeczność, wszystkie jej funkcje. "Państwo sowieckie, utworzone przez Stalina, utożsamia się z rewolucją, a rewolucja ta planuje przewrót powszechny". Jest to rodzaj Islamu w rozkwicie jego ekspansji zaborczej i Catroux przyrównuje pochodź zdobywczego komunizmu do owego "jeźdźca Allaha", który, dotarłszy do Atlantyku, gnał swego rumaka w fale morza, biorąc "Boga za świadka, że nie pozostało mu już więcej ziem dla podbojów".

"Niech świat nie popada w omyłkę, iżby śmierć Stalina mogła przemienić ducha i kierunek polityki sowieckiej", konkluduje autor i cytuje Ateńczyków, których apostrofował Demostenes, mówiąc: "wychodźcie codziennie na plac publiczny i pytacie jeden drugiego, co czyni Filip Macedoński, czy czasem nie umarł i czy co najmniej nie jest chory". Stalin widzi Catroux jako drugiego i straszniejszego Filipa, zaś Kreml jako nowego Sfinksa. Maszyna, jaką nastawił Stalin, jest kompletna i przetrwa swego regulatora.

Tej mądrości w poglądzie na Czerwoną Moskwę nie nabył generał Catroux od razu. Słusznie zresztą stwierdza, że polityka międzynarodowa wymaga znajomości rzeczy, trzeźwego spojrzenia na przyjaciół i wrogów, takich, jakimi w rzeczywistości są, nie zaś takich, jakich byśmy sobie życzyli. Autor opowiada swe pierwsze lata w Moskwie, gdzie jako dobrze ułożony dyplomata, starał się okazać maksimum dobrej woli i szukał dobrej woli u swych partnerów; gdzie sam nastawał na uprzedzające zrozumienie ich życzeń i na ustępstwa dla ich wymagań; gdzie łowił odcienie zachęty lub zawodu na twarzy Mołotowa i przerażał się niewczesnym, jak mu się zdawało, zbyt obcesowym sposobem rokowań, prowadzonych przez Marshalla. Gdy któryś z kolejnych ministrów spraw wewnętrznych miał dosyć pano-

szenia się agentów sowieckich we Francji i manu militari położył koniec porywaniu przez nich ludzi z obozu przejściowego w Beauregard, Catroux, poprawny do końca, zgorzszony tak niespodziewaną stanowczością władz francuskich, uważał ją za utrudnienie rozmów dyplomatycznych i jeszcze pisząc swą książkę, akcentuje niewłaściwość tak porywczych kroków. Opisując niekończące się i nie przynoszące żadnego rezultatu negocjacje londyńskie, paryskie i moskiewskie z Sowietami, wykazuje w całej pełni słabość i dezorientację dyplomacji zachodniej, wymownie przedstawia jej "chodzenie do Canossy"; ale jeszcze "doktrynę Trumana" uważał za "błąd psychologiczny" i "omyłkę polityczną" i skłonny był jej przypisywać zamach sowiecki na Węgrzech — zamiast uważać tolerowanie tego zamachu za brak konsekwencji w nowej polityce amerykańskiej. Potem w "Planie Marshalla", w stanowczości delegata St. Zjedn. na konferencji londyńskiej w grudniu 1947 widzi genezę Kominformu i powód zamachu stanu w Pradze — ale znowu stanął wobec tych wypadków bezradnie i nic nie wskazuje na to, aby doradzał jedyną zbawczą na nie odpowiedź: represję, stanowczość. Teraz, w konkluzji swojej książki, wzywa Zachód do pogotowia, domaga się decyzywności w odparciu zamachów na cywilizację, i sam widocznie nie zdaje sobie sprawy z tego, jak daleko i on, i cały świat zachodni odszedł od tych lat, kiedy w odpowiedzi na skinienie Sowietów, albo na brutalne z ich strony pociżki, próbowano tylko perswadować, uspokajać, łagodzić. Jeszcze widocznie i dzisiaj na Zachodzie, nawet ludzie z tym poczuciem godności narodowej, co Catroux, nie zdali sobie sprawy z tego, że ustępliwość, ugoda, brak oporu i brak odwetu, wywołują i potęgują arogancką pychę i zarozumiałą czelność dyplomacji sowieckiej.

W jednej dziedzinie autor nie miał od początku żadnych złudzeń — w ocenie roli odgrywanej przez satelitów, a w szczególności przez polskich agentów Kremla. Generał Catroux nie towarzyszył generałowi de Gaulle w grudniu 1944 do Moskwy, ale utrwała raz jeszcze; ku pouczeniu czytelników, tę dramatyczną chwilę, gdy w nocy 10 grudnia przetraktacje o sojusz francusko-sowiecki omal nie uległy zerwaniu i gdy Stalin zażądał, aby Francja, wzamian za zobowiązanie pomocy przeciw Niemcom, uznała Komitet Lubelski jako prawowity rząd Polski. "Nie była to najmniejsza z osobliwości rozmów moskiewskich — ów dialog, w którym, gdy jeden z rozmówców wymieniał Niemcy, drugi odpowiadał mu, wymieniał Polskę". Tak ponownie i niespodziewanie dla negocjujących Francuzów pomiędzy Francją a Rosją sowiecką stanęła raz jeszcze — Polska.

Jak gdyby to pierwsze doświadczenie nie wystarczało i trzeba było dać lekcję pogładową nowemu ambasadorowi Francji, Mołotow, w sam dzień pierwszej wizyty generała na Kremlu, 24 lutego 1945, zaprosił go na przyjęcie, wydane dla dyplomacji, i, posadziwszy go, jako nowego alianta, przy honorowym stole, zaraz przyprowadził tamże i uczcił w podobny sposób "amba-

sadora" Modzelewskiego. Catroux był "zażenowany" i jakkolwiek nie wyjaskrawia wytworzonej sytuacji, niemniej daje do poznania, w swym finezyjnym języku, jak odczuł zestawienie go z agenturą "na usługach Kremla". Działo się to w dwa tygodnie po decyzjach Jałty, w których Francja nie wzięła udziału, i Mołotow wskazywał jej w ten sposób warunki, na jakich zgadzał się ją dopuścić do stołu "Wielkich".

Nieuczestniczenie Francji w zbrodni jałtańskiej, popełnionej na Polsce, stanowiło kapitał moralny, a takie kapitały procentują w przyszłości. Niestety, rozmieniono go na drobną monetę. Wydawało się przecież, że Polska została definitywnie wprzeżona w orbitę rosyjską i że rację mieli ci politycy francuscy, co się domagali od dawna, by sojusz z Rosją przechodził, w skali ważności, przed sojuszem z Polską. Toteż w lipcu 1945 rząd de Gaulle'a znajdował się w pierwszym rządzie tych, co uznali reżim Bieruta; a jakkolwiek zaraz potem, w Poczdamie, Francuzi znowu znaleźli przed sobą drzwi do konferencji zatrzęsnięte, to jednak decyzje poczdamskie w sprawach polskich przyjęli bez sprzeciwu.

Generał Catroux zdawał sobie całkowicie sprawę z tego, czym jest ów "rząd przyjacielski", jaki Stalin urządził sobie w Polsce. Pomimo to musiał wyciągać konsekwencje z raz obranej linii — z polityki francuskiej bez Polski. W początku 1946 "miał powody sądzić, że alians francusko-polski dogadzałyby Moskwy, która wielokrotnie dała nam to do poznania: po raz pierwszy w grudniu 1944, w czasie negocjowania naszego paktu; następnie, gdy Stalin, komentując w kwietniu 1945 znaczenie sojuszu jaki zawarł z Polską, proponował nam związanie się z tym krajem; w końcu, gdy przy różnych okazjach wysocy urzędnicy Narkomindiełu zapytywali mnie, kiedy Francja zamierza odnowić swój alians z Warszawa? W istocie, jeszcze w końcu lutego 1946, po kolei Dekanozow i Mołotow wrócili z naciskiem do kwestii związania Francji z Bierutem jako wypełnienia jednego z jej zobowiązań względem Sowietów. Catroux przedłożył tedy swemu rządowi potrzebę zawarcia nowych raktów z Polską i Jugosławią, widząc w nich "utrzymanie równowagi" i uniknięcie akcentowania "pierwszeństwa Zachodu" w polityce francuskiej: ale "sugestie te nie zostały podjęte" przez Paryż. De Gaulle wybrał już Zachód. Catroux nie zdawał sobie, jak się zdaje, sprawy z istotnego celu dyplomacji sowieckiej: związanie się z Bierutem miało umocnić reżim sowieckiej agentury w Polsce, a jednocześnie Francję samą wprowadzić w krąg sojuszków bloku wschodniego. Takim był ostatni obrót koła historii w trójkącie Francja—Polska—Rosja.

Należy z przyjemnością stwierdzić, że książka generała Catroux wolna jest od kompleksu, będącego cechą znamioną publikacji dyplomatów i polityków francuskich z ostatnich czasów. Przyzwyuczaliśmy się już prawie do odgrywania roli kozła ofiarnego: cokolwiek polityka francuska zrobiła nieszcześliwie, lub, na swoje nieszczęście, omieszkała zrobić, w czwartym i piątym

tym dziesięcioleciu tego wieku, przypisywane było z reguły udziałowi — lub brakowi udziału — Polski. Książka Catroux — dobrego generała, wytrawnego dyplomaty i niepośredniego pisarza — wolna jest od tych nonsensów, jakie każdy kompleks stwarza i może stanowić punkt wyjścia do dyskusji rzeczowej o ważnych sprawach, jakie porusza.

Nie podobna nie wyrazić na zakończenie jednej sugestii: czyby pisarze polityczni i wydawcy francuscy nie zechcieli zwrócić baczniejszej uwagi na zachowanie właściwej pisowni nazw i nazwisk cudzoziemskich? — Czy jest to zresztą tylko brakiem poprawności w druku, jeśli autor obstaje przy nazywaniu Komitetu lubelskiego jako utworzonego "à Lwow"? — Jakkolwiek to tłumaczyć, u gen. Catroux p. Mikołajczyk figuruje jako "M. Micolaidzik", komunistyczny premier rumuński Groza nazywa się "M. Grosza", a nawet na motto, wziętym z Korczaka-Branickiego, Korczak pisze się "Korsach". Czy ta niepoprawność stosować się ma z reguły do Europy środkowo-wschodniej? — Ale w takim razie dlaczego Mołotow nie jest nazwany "Matokow", Dekanozow — "Dodekanezem", a Wyszyński — "wszysynem"? — Więc może zły obyczaj stosuje się tylko do "małych" państw, do последнего gatunku nacji?

Michał SOKOLNICKI.

Krym

Od unii polsko-litewskiej dzieje nasze rozwijały się w trzech płaszczyznach: zachodnio-niemieckiej, wschodnio-moskiewskiej oraz południowo-tureckiej. Z biegiem czasu charakter i znaczenie tych kierunków geopolitycznych ulegały daleko idącym przemianom i dziś, z perspektywy blisko 600 lat, widzimy jak małe ongiś zagadnienie Moskwy potężniało z każdym stuleciem, urastając do największego problemu współczesności, zaś równoległe, najpoważniejsza dla nas ongiś sprawa obrony przed Germanami schodziła z wolna na drugi plan.

Najciekawszą ewolucję obserwujemy w dziedzinie stosunków polsko-turecko-tatarskich, które przeszły kompletną transformację, wprowadzającą elementy bliskości i przyjaźni w miejsce dawnej wrogości. Proces ten ciągnął się wiekami i już w XV stuleciu pierwsze objawy rozwoju terytorialnego W. Ks. Moskwy zmuszały jej sąsiadów do szukania wzajemnej współpracy i zbliżenia. Wiele setek listów władców Krymu, Porty i Kazania,

*) Edige Kirimal. *Der nationale Kampf der Krimtürken mit besonderer Berücksichtigung der Jahre 1917-1918*. Wydawnictwo Lechte, Emsdetten (Westf.). Stron XXXIX+374+5 ilustracji+3 mapy.

świadczących o tych tendencjach, kryją archiwa polskie i wschodnie. Do najwcześniejszych bodaj należy jartyk chana Krymu Hadżi Gireja, pisany w r. 1461 do Kazimierza Jagiellończyka. Do najciekawszych zaś zaliczyć musimy, spośród znanych, zwrócenie się w r. 1506 chana Kazania Mahmedymena do Wielkiego Księcia Litwy Aleksandra z propozycją wspólnej, uzgodnionej z Krymem, wyprawy przeciwko Moskwie.

Wszystkie jednak dążenia te i plany nie dały realnych wyników. Przecenianie przez Tatarów własnej potęgi i niedocenywanie Moskwy, wyrosłe z tradycji władania wschodnimi Słowianami, a z drugiej strony niechęć Polaków do wszelkich wypraw wojennych poza granice państwa, stanęły na przeszkodzie aktywnej współpracy. Jedno musimy stwierdzić, iż poczucie konieczności ustalenia wspólnego planu obrony rosło z każdym wiekiem, wylewając się w niepisany, lecz zrozumiały dla szerszych nawet kół politycznych obu społeczeństw, pakt polsko-turecko-tatarski w walce z imperializmem Moskwy. Tak więc Porta nigdy nie uznała rozbiorów Polski, tysiące zaś Polaków znajdowało na jej gościnniej ziemi prawo azylu i, co było ważniejsze, możliwość pracy politycznej.

Narody muzułmańskie zamieszkujące obszary Imperium Rosji z reguły odnosiły się do Polaków-emigrantów, szukających kawałka chleba, do zesłańców i uchodźców — z sympatią i przyjaźnią. Dochodziło na tym tle do bliskiej współpracy, niekiedy nakazywanej z góry, przez czynniki kierujące walką niepodległościową, jak na przykład w wypadku współudziału Polaków w walkach Szamila na Północnym Kaukazie w połowie ubiegłego stulecia.

Tatarzy polsko-litewscy — ogniwo łączące Polskę ze Wschodem muzułmańskim — odegrali w zbliżeniu polsko-tatarskim doniosłą rolę. Pomimo ich małej liczby setki tatarskich nazwisk spotykamy w spisach uczestników wszystkich polskich akcji wojskowo-niepodległościowych, jak i z kolei, w latach 1917-20, w walkach niepodległościowych Krymu, po części Azerbejdżanu.

O organicznej zdaje się chwilami bliskości polsko-turecko-tatarskiej świadczy fakt drobny lecz niezwykle symptomatyczny. W listopadzie 1920 r. pełnomocny delegat Krymu Džafer Seydahmet — wystąpił wobec Ligi Narodów z żądaniem przyjęcia młodej republiki Krymu pod mandat Ligi proponując, by Polska pełniła z jej ramienia funkcję mandatariusza.

«Polska — podkreślał delegat Krymu — jako obrończyni Europy przeciwko agresji hord bolszewickich, zarówno w przeszłości jak i w teraźniejszości, zawsze respektowała wolność ludów; w związku (zaś) z jej położeniem geograficznym jest ona szczególnie odpowiednim kandydatem na przekazanie jej tego mandatu».

W latach 1917-18 dziesiątki tysięcy Polaków w Turkiestanie, na Krymie i na Kaukazie głosami swymi i sympatiami wspierało ruchy niepodległościowe lub autonomiczne miejscowych narodów turecko-tatarskich. W dobie 1920-39 państwo polskie

udzielało w niezwykle liberalny sposób prawa azylu oraz ułatwiało prowadzenie pracy politycznej uchodźcom z Kaukazu, Krymu, Turkiestanu jak i innych nierosyjskich obszarów Rosji.

Wiele miejsca zabrałyby wyliczanie objawów współpracy Polaki z ludami turecko-tatarskimi. Już tych jednak kilka zdań tłumaczy dlaczego z tak wielkim zainteresowaniem bierzemy do ręki solidny tom pracy Dr Edige Kirimala, widząc w nim jeszcze jedno ogniwo łączące Polskę ze światem turecko-tatarskim. Uwagę zwraca także osoba autora. Urodzony na Krymie, około 1930 r. przybył do Polski i w Wilnie, w polskim środowisku, oraz w stałym obcowaniu z czołowymi przywódcami emigracji politycznych z obszarów Rosji, przebywającymi w Polsce, wyrosł na pisarza i działacza politycznego. Okres drugiej wojny światowej uzupełnił jego wcześniejsze doświadczenie. Znalazszy się po niemieckiej stronie barykady, odwiedził on zajęty w owym czasie przez Niemców Krym i razem ze swymi rodakami przeżył wloty najwyższych nadziei, miejsce których wkrótce zajęło głębokie rozczarowanie w mądrość polityczną Niemiec, twórców obecnej potęgi Moskwy.

Sama książka jest wynikiem wieloletniej pracy i dowodem niezwyklej sumienności autora. Poprzedza ją obszerny wstęp Dżafera Seydahmeta, przywódcy Turków krymskich i jednego z czołowych działaczy turecko-tatarskich, oraz wstępne uwagi niemieckiego turkologa profesora G. von Mende, autora pracy «Der nationale Kampf der Russlandtürken» (1936). Książka posiada obszerny spis bibliograficzny oraz trzy rodzaje indeksów: imienny, nazw geograficznych i problemów. Po treściwym omówieniu okresu odrodzenia Turków Krymskich w drugiej połowie XIX wieku, pod wpływem pracy wielkiego reformatora Ismaila Gasprały, autor analizuje rozwój idei narodowych w latach 1900-16, aby następnie, z całą dokładnością i wszystkimi niezbędnymi szczegółami odzwierciedlić przełomowy okres lat 1917-18. Końcowe rozdziały poświęcone są okresowi okupacji Krymu przez białe armie rosyjskie, latom okupacji bolszewickiej oraz walce o wolność w okresie ostatniej wojny jak również analizie klęski i deportacji Krymców przez bolszewików po wyparciu Niemców z Sowietów.

Wydarzenia na Krymie rozwijały się jak w kalejdoskopie. Ich natężenie, szybkość przemian, silne barwy wypadków politycznych i gwałtownych reakcji wszystkich biorących udział czynników czynią z omawianego studium rodzaj romantycznego żywota narodu, którego walki i nadzieje, sukcesy i straszliwe klęski budzą wiele silnych uczuć a przede wszystkim uczą i ostrzegają. Wartość książki podnosi również fakt, iż jest ona odbiciem tych wszystkich zjawisk, tendencji i wydarzeń, jakich świadkami i uczestnikami są inne narody turecko-tatarskie Imperium, a więc Turkiestańczycy, Azerbejdżańczycy, Turko-Tatarzy Kazania, a nawet częściowo Górale Północnego Kaukazu. Czytając książkę Kirimala ma się jednocześnie przed oczyma historię wszystkich wymienionych ludów w jej zasadniczych rysach.

Różnica między nimi a Krymem polega jedynie na różnym stopniu nasilenia tych samych w istocie procesów. To co na Krymie występuje jaskrawie, gwałtownie, doprowadza do szybkiego wybuchu, ujawnia się na innych pokrewnych obszarach słabiej, wolniej, z opóźnieniem. Lecz spoglądając na procesy zachodzące na tych obszarach poprzez szkła najnowszej historii Krymu, widzi się jak na dłoni końcowe punkty tych przemian, które i tam się odbywają.

Jakież to są procesy i jaka jest ich wersja krymska? Kilkanaście przykładów zorientują czytelnika. Autor pisząc o podboju Krymu przez Rosję w r. 1783 zatrzymuje się nad emigracją znacznej części ludności półwyspu nie mogącej znieść reżimu ucisku. Emigracja ta w dużym stopniu zmieniła oblicze narodowościowe kraju, którego ludność, sponad 1 miliona w końcu XVIII wieku, spadła pod koniec wieku XIX, do około 280 tysięcy. W ten sposób powstało wielkie uchodźstwo liczące obecnie, razem z potomkami pierwszych «dipisów» krymskich, około 2 miliony skupiające się w Turcji, rumuńskiej Dobrudży, Bułgarii oraz na obszarach Rosji. Rewolucja 1917 r. zastała więc skomplikowane stosunki narodowościowe w kraju przypominające kaukaskie oraz środkowo-wolżańskie: wielu zadomowionych Rosjan, Ukraińców, Greków, kolonistów niemieckich itd. i zaledwie około 300.000 krymskich Turko-Tatarów, stanowiących «największą mniejszość» tego kraju mniejszości. Szanse krymskie pomnażał jednak z góry opracowany i świetnie przygotowany plan akcji na wypadek rewolucji w Rosji. Już w roku 1916 cały Krym był pokryty gęstą siecią komórek tajnej organizacji niepodległościowej «Watan» (Ojczyzna) założonej w 1908 r. przez dwóch najwybitniejszych działaczy krymskich Celebi Cihana i Dżafera Seydahmeta. Dzięki temu zaledwie w parę tygodni po abdykacji cara, 7 kwietnia 1917 r., zwołany został Wszechkrymski Kongres Muzułmański, który proklamował autonomię kulturalną Turków Krymu, przejął z rąk administracji rosyjskiej majątki religijne (wakfy), w miejsce występującego się Rosjanom muftiego obrał nowego, dokonał rewolucyjnej, pierwszej w tym zakresie w świecie Islamu, reformy równoprawnienia kobiet i wybrał namiastkę lokalnego rządu autonomicznego w postaci Komitetu Wykonawczego Kongresu, do którego weszła również jedna kobieta — Tatarka polska — Ajsza Ischakowa.

Przewrót bolszewicki w październiku 1917 r. oraz powstanie Ukraińskiej Republiki Ludowej zmieniły sytuację. Tatarzy w nowych warunkach odrzucili plan autonomii w ramach państwa rosyjskiego i ogłosili program pełnej suwerenności kraju. Nastąpiło to 26 grudnia 1917 r. na mocy uchwały nowozwołanej Konstytuanty. Pozostającą jednak na obszarze Krymu bazą rosyjską w Sewastopolu, wsparta przez silną flotę czarnomorską, uznającą bolszewicki rząd w Piotrogradzie, stała się główną przyczyną wybuchu konfliktu zbrojnego i pierwszej wojny bolszewicko-krymskiej. Przeważające siły rosyjskie zadały klęskę

tworzącym się dopiero siłom zbrojnym Turko-Tatarów i opanowały kraj, terrorem likwidowały zwolenników niepodległości. W trzy miesiące później Niemcy wyparli bolszewików i umożliwili względnie nieskrępowaną działalność parlamentu krymskiego. Wyłoniono rząd Seydahmeta, po jego zaś ustąpieniu rząd polskiego (Tatara generała Sulkiwicza*). Uchwalona została ustawa ułatwiająca reemigrację dawnych uciekinierów i emigrantów z Krymu, próbowano zbudować siły zbrojne, czemu sprzeciwili się Niemcy, podobnie jak i na Ukrainie, co w przyszłości ułatwiło bolszewikom reokupację tych krajów.

Upadek Niemiec i kapitulacja Turcji, dwóch krajów które uznały niepodległość państwa, pociągnęły za sobą upadek republiki Krymu pod ciosami Denikina (15.XI.1918). Turcy Krymu próbowali w nowych warunkach obronić przynajmniej zasadę autonomii kulturalnej, nastąpił jednak drugi najazd bolszewicki i przejściowa okupacja kraju przez komunistów wypartych z kolei 25 czerwca 1919 r. przez armię Wrangla. Po ewakuacji wranglowców w listopadzie 1920 r. wznawia się terror bolszewicki. Straszliwy głód pociągający za sobą około 100.000 ofiar rozpoczął okres 20-letnich nieprzerwanych rządów bolszewickich. Po okresie anarchii i terroru 21 października 1921 r. ogłoszono Autonomiczną Republikę Sowiecką Krymu, pod której egidą, w okresie 1924-7, usiłowano zjednać ludność drobnymi kulturalnymi ustępstwami i lokalnym samorządem. Kolektywizacja i industrializacja, zapoczątkowane w 1928 r. zniweczyły nadzieje na stabilizację pseudo-liberalizmu i zapoczątkowały nową falę terroru politycznego. Likwidowano resztki swobód religijnych, niszczone wszelkie ślady tradycji turecko-tatarskiej.

Wybuch wojny rosyjsko-niemieckiej w 1941 r. obudził nowe nadzieje i armię niemiecką okupującą Krym witano entuzjastycznie. Polityka Berlina sprawiła jednak ogromny zawód Krymcom, podobnie jak i wszystkim innym ludom państwa rosyjskiego. Niemcy, rozumując w wąskich ramach egoizmu narodowego, planowali skolonizowanie półwyspu nadmiarem swej ludności, a nawet o nadaniu krajowi charakteru czysto germańskiego. Nawet nazwy miast i wsi miały ulec germanizacji. I tak Sewastopol miał otrzymać nazwę Teodorichshafen, Symferopol — stolica kraju — Gotesburg, na pamiątkę dawnych pragermańskich Gotów, mieszkańców tego kraju. Tatarską ludność traktowano jako niższą rasę i mobilizowano na roboty do Niemiec, w walce z partyzantami spalono 128 wsi tatarskich w rejonach górskich. Wycofując się w 1944 r. z Krymu Niemcy dokonali aktu czystego wandalizmu: zniszczyli Alhambrę Tauridy, starożytny pałac chanów krymskich w Bachezy Saraju. Polityka Berlina ule-

*) Do rządu Sulkiwicza weszło jeszcze trzech polskich Tatarów: Achmatowicz, przysły senator polski, Milkowski i Bohuszewicz. Około tysiąca Tatarów polskich zajmowało różne stanowiska w aparacie krymskim. Powstał nawet Związek Tatarów Litewskich na Krymie, zacięcie walczących o niepodległość kraju. Nawiązał on ścisłą współpracę z "Ogniskiem Polskim" na Krymie.

gła zmianie dopiero w przede dniu całkowitej klęski, w marcu 1945 r., kiedy to próbowano uznać prawa i dążenia polityczne ludów nierosyjskich i w tej liczbie Krymu.

Dalsze dzieje półwyspu są znane czytelnikowi polskiemu. Sowiety dekretem Rady Najwyższej z 25 czerwca 1946 r. skasowały Autonomiczną Republikę Krymu, zaś jej ludność nierosyjską, głównie turecko-tatarską, przesiedlili wiadomą metodą do różnych, słabo zaludnionych rejonów państwa, sprowadzając na jej miejsce rdzennych Rosjan. Krym turecko-tatarski przestał istnieć, podobnie jak kilka małych republik autonomicznych na Północnym Kaukazie oraz autonomiczna republika Kałmuków i Niemców Powołża.

Przed emigracją turecko-tatarską z Krymu powstało zagadnienie nowej drogi politycznej. Autor książki jest wyrazicielem poglądu, iż duża i patriotyczna emigracja krymska stwarza nadzieje na odbudowę turecko-tatarskiego charakteru półwyspu. W warunkach nowego kateklizmu politycznego Krym może ulec returkizacji zwłaszcza, iż sprawa ta obchodzi cały świat turecki. W tych warunkach zagadnienie przyjaźni z Ukraincami nabiera wielkiego znaczenia. Autor poświęca tym sprawom szereg stron swej książki, podkreślając zarówno jasne jak i czarne ich karty.

Tych kilka urywków określają jedynie kanwę, na której autor rozstrzuwa niezwykle bogaty materiał informacyjny zaczerpnięty z archiwów niemieckich, krymskich, tureckich, ze źródeł polskich i innych jak i z własnych doświadczeń i przeżyć. W dziedzinie zagadnień ludów turecko-tatarskich Rosji praca jego jest pierwszą, w pełni udaną próbą szczegółowej syntezy określonego wycinka problemu.

Włodzimierz BĄCZKOWSKI.

Trzy etapy niedorozwoju gospodarczego Europy Środkowej

Nowoczesna historia gospodarcza, graniczająca niemal z ekonomią opisową, to temat nie tak łatwy jak się na pozór zdaje. Bogactwo literatury i źródeł (kurtyna tajemnicy statystycznej zapadła tak niedawno!), stwarza z jednej strony niebezpieczeństwo zbytniego rozdrobnienia się i zagubienia w szczegółach, z drugiej strony zaś pozorna wyrazistość faktów, rozgrywających się niejako na naszych oczach, bywa pokusą do syntezy zbyt pochopnych i zbyt banalnych.

Eugeniusz ZALESKI: *Les courants commerciaux de l'Europe Danubienne*. Librairie Générale de Droit et de Jurisprudence. Paris, 1952.

Umiejętność właściwego przedstawienia zagadnień polega na równomierności potraktowania poszczególnych aspektów niezależnie od stopnia łatwości uzyskania danych, a jedynie wedle ich rzeczywistości wagi w kształtowaniu rzeczywistości gospodarczej. Stosując tę zasadę, czyli innymi słowy rzeczywistości panując nad materiałem źródłowym, oraz zachowując jasną konstrukcję, osiągamy to do czego dążyć powinien każdy pisarz historyczny: synteza zamykająca dociekania i analizy szczegółowe wyrasta organicznie z całości pracy, jako kropka nad i, którą odczytujemy nawet wtedy, kiedy nie została postawiona.

W dziedzinach tak bardzo związanych z naszym działaniem politycznym, wyciągnięcie wniosków bywa przy tym równoznaczne z uzasadnieniem koncepcji.

Trzeba stwierdzić, że autor omawianej książki, młody ekonomista polski, o którym niewiele się dotychczas słyszało, wytknął sobie cel ambitny i potrafił go osiągnąć. Analiza prądów handlu zagranicznego krajów naddunajskich przeprowadzana była dotychczas odrębnie dla jednego z trzech etapów: literatura dawniejsza, niemiecko-austriacka, dotyczyła przeważnie koncepcji «Mitteleuropy», czyli inaczej niemiecko-austro-węgierskiej unii celnej, tak jak się to zagadnienie przedstawiało do pierwszej wojny światowej. Literatura późniejsza dotyczyła właściwego obszaru naddunajskiego, łącznie z Rumunią, Jugosławią i Bułgarią, z Polską stojącą jakby na uboczu zarówno z przyczyn geograficznych jak i z powodu braku świeżych tradycji konstruktywnej polityki naddunajskiej, może także z powodu niechęci niektórych państw tego obszaru. Wreszcie od czasu drugiej wojny światowej zagadnienie naddunajskie jest już tylko częścią problemu Europy Środkowej i trudno w dziedzinie handlu zagranicznego wyodrębnić zagadnienia specyficznie polskie, które by nie były równocześnie zagadnieniami całej Europy Środkowej. Z tego powodu włączenie do pracy zagadnień polskich od czasu pierwszej wojny światowej jest uzasadnione, jakkolwiek tytuł pracy może nieco wprowadzać w błąd czytelnika. Trzeci etap, to gospodarka państw tak zwanej demokracji ludowej.

Autor dostrzegł i wykazał, że w trzech różnych etapach stałe przed nami to samo zagadnienie w jego rozwoju historycznym: zagadnienie znalezienia właściwych form współpracy i współdziałania gospodarczego krajów tej części Europy, której kraje były dotychczas raczej przedmiotem niż podmiotem polityki gospodarczej. Łączy się z tym niestałość warunków rozwoju gospodarczego Europy Środkowej, uniemożliwiająca rozwiązanie dotychczas istniejących trudności w sposób zapewniający rozwój dobrobytu na tym obszarze, osiągnięcie jego stabilizacji oraz jego celów polityczno-gospodarczych.

Basen naddunajski był najpierw przedmiotem polityki wielkoprzestrzennej niemieckiej, a monarchia austro-węgierska w coraz większym stopniu stawała się jej narzędziem.

W następnym etapie niepodległych państw narodowych najpierw decydującym czynnikiem były polityczne aspiracje młodych państw, które nie dość jasno i nie dość wcześniej zrozumiały, że nie sposób prowadzić politykę w oderwaniu od rzeczywistości gospodarczej. Próba rozwiązywania przez każde państwo naddunajskie swych zagadnień na własną rękę, przy wyraźnym podziale na dwa bloki zwalczające się na terenie politycznym, musiała znowu doprowadzić do zwycięstwa koncepcji niemieckiej «Grossraumwirtschaft», która zatriumfowała, zanim jeszcze cała Europa Środkowa znalazła się pod faktyczną okupacją Rzeszy Niemieckiej.

Po wojnie tzw. współpraca gospodarcza demokracji ludowych z Rosją Sowiecką obejmuje nie tylko wymianę handlową lecz również, i to w znacznie większym stopniu niż w wypadku współpracy gospodarczej z Niemcami, wszystkie dziedziny działalności gospodarczej. Nie jest to więc zagadnienie wymiany handlowej sensu stricto, lecz zagadnienie przystosowania całej gospodarki do współpracy gospodarczej z Rosją i do uzupełniania braków tej ostatniej. «Logicznym wnioskiem z tego stanu rzeczy — pisze autor — musi być zupełne scalenie wszystkich obszarów gospodarki planowej w jedną całość, przypominającą żywo gospodarkę wielkoprzestrzenną i kierowanych przez jeden wspólny plan» — dodajmy i przez jeden ośrodek planowania.

W dziedzinie wymiany handlowej z zachodem można myśleć najwyżej o kontynuowaniu zakupów dóbr inwestycyjnych i surowców tak długo, jak długo realizacja planów inwestycyjnych nie doprowadzi do osiągnięcia daleko idącej samowystarczalności, która jest celem każdej gospodarki planowej wielkoprzestrzennej — o czym niektórzy ludzie na Zachodzie starają się nie wiedzieć.

We wnioskach końcowych autor stwierdza, że stałe niedomagania gospodarcze Europy Środkowej wynikały stąd, że jej źródła zaopatrzenia i rynki zbytu były niestałe i zmienne, że zmiany nie były logicznym wynikiem wewnętrznego rozwoju gospodarczego państw tego obszaru, że każde włączenie do czyjegós systemu wielkoprzestrzennego łączyło się z zrywaniem więzów z gospodarką światową.

Zewnętrzne stosunki wymienne były po prostu raczej wynikiem przemian politycznych.

W tych warunkach trudności przybierały tak groźne rozmiary, że dla zapobieżenia doraźnym niebezpieczeństwom trzeba się było uciekać do zarządzeń i posunąć na długą metę raczej szkodliwych.

Nie wystarczy, jak to słusznie podkreśla autor, uniezależnić politycznie Europę Środkową od supremacji Rosji czy Niemiec, by uczynić z niej zdrowy składnik gospodarki europejskiej. Rozkawałkowanie Europy Środkowej na szereg odizolowanych gospodarstw narodowych uczyni z niej źródło ciągłych trudności, wywołanych relatywną znikomością siły jej poszczególnych składników.

Obecne, szczególnie przez autora zanalizowane, przemiany w wymianie handlowej oraz w gospodarce krajów Środkowej Europy, realizujących długoterminowe plany gospodarcze, niewątpliwie podnoszą jej zdolności wytwórcze w dziedzinie przemysłu dóbr produkcyjnych, jednak kosztem nieproporcjonalnie wielkich ofiar, wynikających z uprzywilejowanego stanowiska Rosji, wyrażającego się na przykład w warunkach wywozu węgla polskiego do Rosji. Wyświetlenie tego zagadnienia w pracy p. Zaleskiego wydaje mi się najpełniejsze ze znanych mi.

Jakkolwiek autor postawił sobie zasadniczo inne zadania, praca jego daje dużo materiału do zrozumienia roli Europy Środkowej w gospodarce systemu kierowanego przez Moskwę. W tej dziedzinie dużo jest do zrobienia na zachodzie, który nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, że polityka zagraniczna Rosji jest funkcją stopnia realizacji zamierzeń gospodarki rosyjskiej w Europie Środkowej. Nie tylko ze względów geograficznych, ale ze względu na swoje możliwości wytwórcze jest ona niezbędną bazą każdej aktywnej polityki Związku Sowieckiego w skali światowej. Jednym słowem, oddanie Rosji do dyspozycji zasobów gospodarczych tego obszaru jest koniecznym warunkiem zabezpieczenia niepokoju światowego.

I vice versa.

P. DUNIN.

«Oder-Neisse Line»

Pod powyższym tytułem ukazało się studium Z. Jordana wydane nakładem P.R.W. "Niepodległość i Demokracja".

Przede wszystkim należy podkreślić, że "Oder-Neisse Line" jest pracą zbiorową wzorowaną w pewnej mierze na publikacjach Chatham House. Poziom opracowania, obiektywizm, przestrzeganie zasady "balanced view" (w tym wypadku przedstawienie problemu również i ze strony niemieckiej), przejrzysta, logiczna konstrukcja całości — czynią z pracy Dr Jordana prawdziwie zachodnio-europejską publikację polityczną.

Wydanie w chwili obecnej studium w języku angielskim o granicy na Odrze i Nisie było rzeczą konieczną i to zarówno z uwagi na sytuację na Zachodzie, jak i w odpowiedzi na anty-emigracyjną kampanię reżimową w Kraju. Tego politycznego nakazu nie wypełniło nasze ministerstwo spraw zagranicznych, lecz jed-

Z. Jordan. *Oder-Neisse Line*. Polish Freedom Movement "Independence and Democracy", London 1952.

no z ugrupowań opozycji. Jest to szczególnie nie pozbawiony charakterystycznej wymowy.

Studium Dr Jordana stanowi doskonały przykład monografii politycznego problemu. Na 130 stronach zamknięto nie tylko całość materiału informacyjnego i porównawczego — ale przedstawiono problem Ziem Odzyskanych w jego aspektach politycznym, gospodarczym i ludnościowym — uwypuklając w omówieniu końcowym zasadnicze powiązania tego problemu z przebudową i organizacją Europy.

Całość gamy argumentów przytoczonych przez autora jest bezsporna i dyskusji poddać można jedynie pewne założenia taktyczne.

Politycy niemieccy wysuwają stale argument, że ziemie nadodrzańskie są naturalnym spichlerzem Niemiec. Niektórzy pisarze idą nawet tak daleko, że twierdzą, iż Stalin wywianował Polskę tymi ziemiami, między innymi i w tym celu — by biedne Niemcy doprowadzić do chaosu i nędzy, a tym samym stworzyć w sercu Europy podatny grunt dla komunizmu.

Przypowieść o ziemiach nad Odrą i Nisą jako spizarni Niemiec jest bardzo popularna na Zachodzie. Jordan — w dużej mierze w oparciu o autentyczne źródła niemieckie — wykazuje całkowitą bezpodstawność argumentu o spichlerzu. W rzeczywistości bowiem, ziemie te, jako baza żywnościowa odgrywały — zwłaszcza w stosunku do przedhitlerowskich Niemiec — wręcz znikomą rolę.

Z drugiej jednak strony trzeba powiedzieć, że w obecnej sytuacji przywrócenie Niemcom Ziem Odzyskanych umożliwiłoby im w przyszłości zorganizowanie nad Odrą i Nisą wielkiej bazy żywnościowej, co w konsekwencji stworzyłoby dla przemysłu niemieckiego znakomite perspektywy rozwojowe. Mając pod dostatkiem taniej żywności Niemcy mogłyby w krótkim czasie stać się bardzo groźnym konkurentem, zwłaszcza w stosunku do krajów tego typu co Anglia, której główną "bazą żywnościową" jest jej eksport towarów przemysłowych.

Argumentacja Dr Jordana idzie po linii, że utrata ziem nadodrzańskich nie zrujnowała żywnościowej równowagi Niemiec. Lecz argument, który głosi, że przywrócenie Niemcom tych ziem wyposażyło by ich w przyszłości w wielką bazę żywnościową, stwarzając idealne warunki dla ich przemysłowej supremacji — jest tylko pozornie sprzeczny z argumentem poprzednim. Argument drugi, stanowiący w pewnym sensie odwrotność pierwszego — dotyczy bowiem przyszłości. Oparty jest poza tym na relacji cen wytworów przemysłowych, do cen żywności — co stanowi charakterystyczny moment powojennego ekonomicznego układu światowego.

Nie można dziś wyrokować na temat doboru argumentów. Taktyka obrony zależeć będzie od sytuacji międzynarodowej.

Lon.

Literatura pod panowaniem «Dyrektorów»

Odnawiając niedawno znajomość z głośną książką Jamesa Burnhama «The Managerial Revolution»¹⁾, stwierdziłem z melancholijnym a mało racjonalnym zdziwieniem, że oto już dziesięć lat jak uciał minęło od jej pierwszego wydania w Anglii.

Polacy kochają się w rocznicach, niechże więc to będzie pretekst do przypomnienia i... uczczenia tej olśniewającej książki.

Przyswojenie jej sobie przez umysły polskie nie może być łatwe. Już samym tytułem broni się ona przed spolszczeniem. Jak przełożyć «managera»? Z pięciu odpowiedników podanych przez słownik Stanisławskiego: «kierownik», «zarządca» «administrator», «przełożony» i «dyrektor» — tylko ten ostatni może być z biedą przyjęty. I znamienne: to jest też wyraz obcy.

Ten kłopot językowy nie jest wcale błahy. Jest on znakiem obcości podłoża. «Manager», w tym znaczeniu w jakim tego słowa używa Burnham, jest wytworem końcowego stadium kapitalizmu, to jest okresu, do którego Polska, nie będąca nigdy państwem całą gębą kapitalistycznym, nie doszła. Z zacoфанego kapitalizmu historia wtrąciła nas nagle w piekło rewolucji czerwonych dyrektorów. Jeśli przyjąć tezy Burnhama, wyzwolenie Polski nie może oznaczać końca tej narzuconej rewolucji. Zmieni się tylko kolor dyrektorów.

Najstosowniejszą formą uczczenia burnhamowskiej rocznicy byłoby przypomnieć tezy książki i skonfrontować je z wydarzeniami ostatnich dziesięciu lat. Druga część tego zadania, to wdzięczne pole do popisu dla ekonomisty, socjologa, polityka, przerasta jednak skromne możliwości literata. Może on tylko wyrazić swe osobiste przekonanie, że choć niejedno przypuszczenie Burnhama nie potwierdziło się, choć tempo przepowiadanych przezeń przemian okazało się na ogół wolniejsze — to jednak ich zasadniczy kierunek został wytyczony z przenikliwością bliską jasnowidztwa.

Burnham, były trockista a dziś wróg nr 1 komunizmu, wychodzi z arcy-marksistowskiego założenia: świat, w którym żyliśmy od Odrodzenia do pierwszej wojny światowej, świat kapitalizmu, ma się ku końcowi. Lenin nie mylił się twierdząc, że kapitalizm nie jest już w stanie rozwiązać swych wewnętrznych sprzeczności.

Z tego, że kapitalizm nie jest wieczny, nie wynika jednak wcale, by jedyną alternatywą był socjalizm. By klasową demokrację dużych państw narodowych miało zastąpić bezklasowe, w pełni demokratyczne i międzynarodowe społeczeństwo so-

cialistyczne. Przeciwnie, jest to alternatywa najzupełniej nieprawdopodobna.

Rzeczywistą, i już spełniającą się alternatywą jest powstanie ustroju *dyrektorskiego* (managerial). Gospodarka nie będzie się opierać na pieniądzu w jego roli kapitału, na inicjatywie prywatnej, motywie zysku, rynkach zbytu, wolności w zawieraniu umów. Będzie to gospodarka planowa i totalistyczna. Ograniczoną ingerencją narodowego państwa kapitalistycznego zastąpi zupełna kontrola całej gospodarki przez nad-państwo obejmujące co najmniej jeden z trzech wielkich obszarów gospodarczych świata, jeśli nie cały świat.

Klasą panującą, w miejsce kapitalistów, którzy swego czasu wyparli feudalnych panów — to jest klasą, której członkowie będą mieli kontrolę nad dostępem do środków produkcji i uprzywilejowane stanowisko w rozdziale produktów — staną się organizatorzy produkcji, kierownicy upaństwowionego przemysłu, dyrektorowie. Już dziś, nawet w państwach kapitalistycznych, sprawują oni faktyczną kontrolę nad środkami produkcji, które coraz nominalniej tylko należą do kapitalistów. W Rosji sowieckiej rewolucja dyrektorów, jakkolwiek się ich tam tytułuje, już się dokonała.

Burnham przyznaje, że ta perspektywa totalitarnych nadpaństw dyrektorskich, nie jest różowa. Nie jest może jednak tak czarna, jak dziś wygląda, a zwłaszcza jak wyglądała dziesięć lat temu, gdy jedynymi państwami tego rodzaju były hitlerowskie Niemcy (niezupełnie) i bolszewicka Rosja. Te dwa potworne przykłady wieku przejściowego, «między-epoki», jakby powiedział nasz Wańkiewicz — nie wykluczają, zdaniem Burnhama, powstania później jakiejś formy demokracji, jakichś korektyw, które dojdą do głosu w dojrzałych ustrojach dyrektorskich.

W swej błyskotliwej analizie ideologii kapitalistycznych, do której jeszcze wrócimy, Burnham nie robi żadnych rozróżnień między ideologiami filozoficznymi, społecznymi, politycznymi, które w dużej mierze są nadbudową, racjonalizacją stosunków gospodarczo-społecznych — a ideologiami religijnymi, które jeśli są nadbudową, to w stopniu nierównie mniejszym. Nie przyznaje im nie tylko nadrzędności (jak to robi np. Toynbee), ale nawet niezależności. Tymczasem nie gdzie indziej jak w prawdziwej religii znaleźć się mogą korektywy nieludzkiego ustroju dyrektorskiego. Znamienne jest, że oba rewolucyjne państwa dyrektorskie były (a jedno jest) anty-religijne.

Przy założeniu, że teoria Burnhama jest w zasadniczym zrebie prawdziwa — jakich podstawowych zmian można oczekiwać w literaturze nadchodzącej epoki?

Skoro wszystkie ideologie kapitalistyczne, mimo swej różnorodności, posiadają pewne wspólne cechy, należy się spodziewać, że i literatura tej epoki, od Odrodzenia po... egzystencjo-

1) BURNHAM James, *L'ère des organisateurs*. Str. 261, Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1947.

nalizm, posiadać będzie znamiona łączące różnorodne jej kierunki, wyróżniające literaturę «nowożytną» zarówno od starożytnej i średniowiecznej jak i od literatury przyszłości.

Wyliczmy najpierw za Burnhamem główne elementy wchodzące w skład każdej typowej ideologii kapitalistycznej. Na pierwszym miejscu wymienić należy *indywidualizm*. Znajdziemy go wszędzie: w luteranckiej «prywatnej interpretacji» Biblii, w purytańskim pojęciu «sumienia», w obrazie życia gospodarczego jako sumy działań milionów odrębnych jednostek, z których każda dąży do osobistego jak największego zysku, w indywidualistycznych geniuszach i bohaterach (Hamlet!) sztuki, w roli, jaką przypisuje się głosowi jednostki w demokratycznym głosowaniu... Z indywidualizmem łączą się dalsze elementy: nacisk na *inicjatywę prywatną* i pojęcie przyrodzonych *praw człowieka*. Do nich dochodzi *idea postępu*, rugująca teologiczną historiozofię i ściągająca raj z nieba na ziemię, z wzniesienia — w przyszłość.

Jest rzeczą jasną, że jak nie było i nie ma jednej ideologii kapitalistycznej, tak też powstaną rozliczne ideologie dyrektorskie. Ale wszystkie one będą się kręciły dokoła wspólnej osi. Już na przykładzie pierwszych, poronionych i potwornych, ideologii nadchodzącej epoki, to jest na przykładzie faszyzmu i bolszewizmu — potwierdza się myśl Burnhama, że w nowych ideologiach nacisk przesunie się z «jednostki» na państwo, lud, naród, rasę (i dodajmy od siebie: kościół, ludzkość...), z prywatnej inicjatywy na «socjalizm» (w ideologii, nie w praktyce!) czy kolektywizm, z wolności na planowanie, z praw człowieka na obowiązki. Burnham nie przewiduje, co się stanie z ideą «postępu», może dlatego że obie znane nam ideologie dyrektorskie przejęły po kapitalizmie i jeszcze rozděły tę właśnie ideę. Pozostaje to w związku z ich anty-religijnością. Odwrót od idei «postępu» zaznacza się już wyraźnie gdzie indziej: — w «stratosferze» najczulszych na epokę intelektualistów. Typowym przykładem może tu być Aldous Huxley.

Zagadnienie związku literatury z ideologiami ma podwójne oblicze. Z jednej strony, literatura, pospolu z innymi sztukami i z nauką, jest wyrazicielką ideologii. Z drugiej strony, wyrażając je i kształtując, sama jest przez nie kształtowana. Zmienia się więc nie tylko idee wyrażane przez literaturę, ale i sama jej koncepcja, pogląd na jej rolę i zadania, miary do niej przykładane, prawa nią rządzące, które dziś wydadają się nam niewzruszone.

Ten pośredni związek literatury z epoką i jej ideologiami jest zagadnieniem węższym, ale głębszym. Jest też zagadnieniem uchwytniejszym i bardziej specjalnym, specyficzniej — literackim. Do niego chcę ograniczyć dalej te rozważania.

Literatura ostatnich kilku wieków, mniej więcej od Odrodzenia po dzień dzisiejszy, ma pewne cechy tak oczywiste, że

dawno przestaliśmy je zauważać. Opiera się na pewnych milczących założeniach, które wydają się nam niemal prawami przyrody

Jak w gospodarce kapitalistycznej celem produkcji jest rzucenie wytworów na rynek zbytu, tak naturalnym i koniecznym uwieńczeniem dzieła literackiego jest dla nas publikacja. Ludzi piszących «dla siebie» — co najmniej podejrzewamy o grafomanię. Jakkolwiek byśmy się tego wypierali, skłonni jesteśmy wartość twórczości łączyć z jej oddźwiękiem wśród publiczności. Ten rynek zbytu zacieśniamy nieraz do elity, do wybranych, ale zawsze najwyższą rekompensatą pisarza jest — sława, zwycięstwo choćby za grobem.

Nie pisze się dla samego siebie, ale pisze się z zasady same-mu, bo samemu się będzie chodzić z aureolą sławy. Literatura nowoczesna jest literaturą jednostki i jest zasadniczo imienna; spółki autorskie uważamy za dziwolągi w rodzaju bliźniąt sjamskich a z anonimowością i pseudonimami autor godzi się zwykle tylko pod naciskiem konieczności (np. względ na bezpieczeństwo osobiste).

Proces tworzenia literackiego jest dla nas sprawą prywatniejszą jeszcze niż miłość, którą uprawia się bądź co bądź w dwoje. Jest to *par excellence* pole inicjatywy prywatnej. Nie dziwnego, skoro za naczelną cel sztuki pisarskiej uważa się wyrażanie osobowości pisarza. Im niezwyklesza ta osobowość, im bujniejsza, im większym jest spletem sprzeczności — tym większe jest dzieło. Geniusz — to maximum indywidualności, to jasna strona medalu, na odwrocie którego kłębi się ciemne szaleństwo.

Z tym łączy się kategoryczny imperatyw oryginalności, często — oryginalności za wszelką cenę. Stworzyć coś nowego, pchnąć literaturę na nowe tory w jej nieustannym rozwoju (kłania się nam idea «postępu») — to naczelną obowiązkiem pisarza. Za to przyznajemy mu prawa, wobec których niczym są «prawa człowieka i obywatela». Oburzamy się na ograniczanie swobody pisarza, na oficjalne i nieoficjalne cenzury, wzdrygamy się przed zaprzęgnięciem literatury w służbę nie tylko polityki, ale nawet moralności i religii. Przyznajemy literaturze zupełną autonomię. Jedynym zadaniem pisarza jest tworzyć dzieła literackie. Nie zauważamy już tautologii: celem literatury jest... literatura!

Każdy historyk literatury zgodzi się chyba z tym, że te cechy, choć obecne i w innych epokach, nigdy przedtem nie zajmowały tak poczesnego miejsca. Jest prawdopodobne, że niejedna starożytna epopea była dziełem zbiorowym. Trudno byłoby o bronie twierdzenie, że św. Franciszek z Asyżu czy Jacopone da Todi niemniej niż Słowacki pałali żądzą sławy. Genialny liryk z Asyżu bodajże w ogóle swoich utworów nie «publikował». Autor «Naśladowania Chrystusa» tak ustrzegł swej bezimienności, że ciągle przedmiotem sporu jest, czy był nim św. Tomasz à Kempis. Św. Markowi żaden wydawca nie opublikował

by jego ewangelii (która przecież jest arcydziełem, także literackim!) z obawy przed procesem o plagiat, jaki mógłby mu wytoczyć św. Mateusz. Ale już Molier, choć zrzynał niemilosiernie, uważał za stosowne tłumaczyć się z tego procederu. Ciekawą ilustracją zmienionych pojęć o autonomiczności literatury, obok takich truizmów jak powołanie się na dramat sakralny czy na długi szereg «przed-kapitalistycznych» arcydzieł pisanych na zamówienie — może być odmienne stosowanie przez nas pojęcia «literatury pięknej» do literatury nowo — i starożytnej. Nikt nie kwestionuje przynależności do literatury pięknej dzieł metafizyka Platona, historyka Liwiusza i adwokata Cyserona, ale gdy w czasie pewnej dyskusji literackiej w Londynie rzuciłem zdanie, że największymi pisarzami współczesnymi są Simone Weil i profesor Toynbee, zarzucono mi zaraz, iż równie dobrze do największych pisarzy XIX wieku mógłbym zaliczyć Darwina!

W tych częściach świata, których rodzimej kultury kapitalizm jeszcze nie przeorał, wiele naszych pojęć o sztuce uważane jest wprost za dziwactwa. Na Cejlonie, twierdzi profesor A. K. Coomaraswamy (cytuję za A. Huxleyem), sztuka jest ciągle jeszcze «normalna»; artyście nie przychodzi tam nigdy do głowy podpisywać swego dzieła ani wystawiać go gdziekolwiek indziej poza miejscem (np. świątynią) dla którego było przeznaczone.

Jeśli burnhamowska diagnoza przemian, przez jakie przechodzi dziś ludzkość, jest trafna, należy się spodziewać, że wymienione wyżej cechy naszej literatury powinny w ustrojach dyktorskich stracić przynajmniej swój charakter praw przyrodzonych, swą bezsporność i powszechność.

Jeden taki ustrój jest już dostępny obserwacji. Przykładając do literatury sowieckiej powyższe miary możemy sprawdzić, czy i o ile ta literatura oddaliła się od naszej, «kapitalistycznej».

Jest oklepanką, że straciła ona autonomię, że została bezlitośnie podporządkowana doktrynie i taktycznym wygibasom polityki. Nie została jeszcze skolektywizowana, choć były próby organizowania twórczości «zespołowej», jest jednak upaństwowiona i «inicjatywa prywatna» nawet w dziedzinie formy została podporządkowana wymaganiom czerwonych dyrektorów (sorealizm). Wyrażanie osobowości jest w pewnych granicach tolerowane, ale i w teorii i w praktyce straciło rangę naczelnego celu literatury i głównej miary jej wartości. Oryginalność, choć nie potępiona oficjalnie, na pewno nie byłaby dobrze widziana. Nic dziwnego więc, że jej nie widać. Wstydlivość «prywatnego» procesu twórczego zastąpiły bezwstydną «samokrytyki», dążenie do sławy — ubieganie się o uznanie nie publiczności, lecz — żdanowów.

Teza Burnhama i na tym polu sprawdza się z przejmującą dokładnością. Ale — powie ktoś — literatura sowiecka odrzucający kanony «kapitalistyczne» przestała być w ogóle litera-

turą, a więc te kanony są nie do odrzucenia. Pierwsza część tego twierdzenia jest prawdziwa, druga jednak nie wytrzymuje krytyki historycznej. Ustrój sowiecki jest ustrojem rewolucyjnym, w którym cechy ustroju dyktorskiego zostały zaostrome do potworności, nie wiadomo jednak, czy w dojrzałych ustrojach dyktorskich nie powstanie literatura oparta na innych kanonach, na tych, których *karykaturą* są kanony literatury sowieckiej.

Bezosobistość pisarza nie musi wynikać z braku silnej osobowości czy ze strachu przed jej pokazaniem. Może, jak u mistyków, z których tyłu pozostawiło arcydzieła literatury pięknej, wypływać z takich przesłanek, o jakich pięknie mówi mistrz Eckhart, jeden z twórców literackiej niemieczyny: «Bóg żąda od ciebie jednej tylko rzeczy: abyś swoje stworzone «ja» stracił z tronu i pozwolił Jemu być Bogiem w tobie». Odwrót od oryginalności może wynikać z pokory, a nie z bezsilności, nie z niemożności znalezienia własnego wyrazu. Niewiara w postęp może się wyrazić w niewolniczym naśladownictwie wzorów, może być niewiarą we własne siły, w żywotność własnej epoki — ale, może też być płodnym pogłębieniem stosunku do tradycji, opartym na przekonaniu, że to co jest naprawdę ważne i prawdziwie wielkie, jest niezmiennie, wieczne. Wyrzeczenie się autonomii literatury może być narzucone siłą albo też być wyrazem niedocenienia jej roli przez samego pisarza — ale może też płynąć ze zrozumienia, że choć literatura jest wielką rzeczą, są jednak rzeczy od niej większe. W Sowietach literatura zamiera, bo poddana tam została rzeczom, które są od niej mniejsze: polityce, bonzom partyjnym... Dość jest przykładów historycznych, że podporządkowanie sztuki — religii daje często odwrotne wyniki.

Zdaniem Burnhama, cały świat, nie tylko państwa faszystowskie i nad-państwo stalinowskie — wszedł już dość głęboko w epokę dyktorską, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę. Ciekawą rzeczą byłoby więc prześledzić, czy poza literaturą sowiecką pojawiają się już oznaki odwrotu od kanonów «kapitalistycznych». Temat ten przerasta ramy niniejszego szkicu i wymaga znacznie szerszego niż moje odczytania. Chciałbym jednak dla zilustrowania tego, co się rzekło powyżej, rzucić jeden przykład.

Przykład ten — to jedyne, o ile mi wiadomo, zjawisko na szczytach sztuki pisarskiej, które wyraźnie nie mieści się w ramach «kapitalistycznej» koncepcji literatury. To twórczość Simone Weil.

Indywidualność to niezwykła, a jednak «indywidualizmu» w niej ni śladu. Jej zatracająca o obsesję odraza do wszystkiego co «społeczne», odraza, która nie pozwoliła jej przekroczyć progu kościoła katolickiego, mimo wiary w jego naukę — nie była odrzą indywidualisty ludzkiego się, że byle mu zawarować «prawą jednostki», uwolni się go od nacisku społeczności. Miarą, jak Simone Weil odczuwała ten nacisk, jest jej wyznanie, że

gdyby, ona, Żydówka, znalazła się w gronie hitlerowców śpiewających swe pieśni, to jakaś część jej duszy z nimi by współbrzmiała. Ciężko jej zło społeczne, «domena szatana», ale ciężko jej też własna jednostkowa dusza i nie w niej szukała ucieczki. «Nie jest moją rzeczą myślenie o sobie. Ja mam myśleć o Bogu. A Bóg niech myśli o mnie».

Mistycyzm Simone Weil nie był mistycyzmem pustelnicznym. Od swego udziału w wojnie hiszpańskiej, poprzez dobrowolne zdeklasowanie się: zrzeczenie się kariery naukowej i przyjęcie pracy niewykwalifikowanej robotnicy, poprzez pracę na roli po klęsce Francji, aż po okres londyński, gdy jako urzędniczka komitetu «Wolnej Francji», wymierzała sobie w Londynie racje żywnościowe równe tym, jakie otrzymywali więźniowie obozów koncentracyjnych — całym swym krótkim życiem dawała świadectwo tragicznej solidarności ze zbiorowością.

Oprócz kilku młodzieńczych artykułów Simone Weil nie napisała niczego «do druku». Nie ma w jej pośmiertnie wydanych pismach nie tylko śladu myśli o sławie, ale nawet — o publikacji. Jestem przekonany, że w historii prozy francuskiej zajmie miejsce obok Pascala, pomimo że nie miała najmniejszego zamiaru stworzyć «dzieła literackiego». Jej piśmiennictwo było środkiem porozumiewania się (listy do o. Perrin), «pracami zleconymi» przez biuro w którym pracowała, modlitwą, a przede wszystkim pomocą w «myśleniu o Bogu». Dbała o formę tylko wtedy, gdy pisała nie tyle «dla kogoś» ile «do kogoś». «Myśli o dobrym użytku nauki szkolnej²⁾, które są arcydziełem precyzji i jasności wykładu, miały służyć gromadce młodzieży pod opieką o. Perrin. Jej notatki «dla siebie» zawierają myśli o klarowności i sile zdumiewającej (z takich składa się znany wybór wydany pod tytułem «Ciężenie i łaska»³⁾, ale całość tych «zeszytów» jest pełna powtórzeń, myśli niedomyślonych, miejscami zupełnie niezrozumiałych.

Oryginalność myśli i stylu łączy się z pełnym o nią niedbaniem. Zewnętrznym znamieniem tego jest powódź przytoczeń. Odnosi się chwilami wrażenie, że pisarka mówi swoimi słowami tylko wtedy, gdy jej olbrzymia erudycja nie podsunie jej żadnego cytatu.

W związku z ostatnią w naszym ujęciu cechą literatury nowożytnej — z ideą jej rozwoju i postępu, zwróćmy wreszcie uwagę na szczegół charakterystyczny: Simone Weil ma bardzo rozległą znajomość literatury nowożytnej ze współczesną włącznie, ale źródłem jej najgłębszych przeżyć jest literatura przede wszystkim — antyczna, a potem — średniowieczna. Pomyłką byłoby jednak sądzić, że mamy tu do czynienia z jakimś «neo-klasycyzmem» czy «nowym średniowieczem». Nie ma chyba żadnego «aktualnego» i typowego dla naszej epoki problemu, na którym

bodaj przez chwilę nie zatrzymałaby się myśl Simone Weil. Mistycyzm zwykliśmy kojarzyć ze średniowieczem, niesłusznie zresztą, ale tu wyrażony jest on językiem, chciało by się powiedzieć, nauk matematyczno-przyrodniczych, niemal ujęty w formę wzorów algebraicznych.

W «bezosobistym» i niesobiepańskim piśmiennictwie Simone Weil widzę pierwsze potwierdzenie nadziei, że jeśli rzeczywiście wchodzimy w nowy trudny świat, to wśród znanych i kochanych rzeczy, z którymi przyjdzie się nam rozstać, nie będzie literatury. Może inna, ale niemniej wielka i godna — ona dotrzyma nam towarzystwa.

Michał SAMBOR

«Łzy potęgi drugiej»

Książki o nieszczęściach, okrucieństwach wojny ostatniej nie znajdują już dzisiaj łatwo czytelników. Ze zniechęceniem ludzkie wołają: «Wiemy, wiemy, dajcie nam o tym zapomnieć», albo: «wiemy, wiemy, ale to jest przeszłością». Tę odruchową niechęć do książek, które o tych sprawach piszą, odczułem sam otrzymując «Łzy i światło Oradour», opowiadanie o wsi francuskiej spalonej wraz z jej mieszkańcami, prawie wyłącznie kobietami i dziećmi, przez Niemców w 1944 roku.

Był jeszcze jeden powód mego oporu wobec tej książki. Oradour, ileż takich było w Polsce. Gdyby każdy z nich miał swoją książkę, starczyło by na dobrą bibliotekę. Czy wielu we Francji o tych Oradourach chciało wiedzieć, pamiętało?

«To nieprawda, że Niemcy mordują dzieci», woła cytowany przez p. Mayran, Paryżanin, w 1944 roku na wiadomość o Oradour! Już w 39-ym wiedzieliśmy, że Niemcy mordują dzieci, już w 40-tym w tejże Francji pisał Baliński swoją «Kolendę» o dzieciach, które wśród gruzów Warszawy «padły bez tchu».

Kiedy opuszczałem Rosję sowiecką, jechałem z garstką uratowanych dzieci. Wchodząc do wielkiej lory napelnionej tym maleństwem złapałem się na gorzkim odruchu oschłości: «cóż z tego» — myślałem — co znaczy ta garstka uratowanych na tysiące i tysiące polskich dzieci zamordowanych przez Niemców, zagłodzonych, zamarznętych na przestrzeniach Rosji! Dopiero jadąc z nimi, patrząc w ich twarze, zrozumiałem znaczenie uratowania tej garstki, wartość absolutną kaźdęgo życia, zrozumiałem, że sam uległem zagubieniu w sobie współczucia. Zatarło się one we mnie w abstrakcyjnej, ilościowej ocenie ofiar.

MAYRAN Camille, Larmes et lumière à Oradour. Préf. G. Marcel, Ed. Plon, 1952, str. 250, cena 420 fr.

2) WEIL Simone, Attente de Dieu. Str. 139, La Colombe, Ed. du Vieux Colombier, Paris, 1950.

3) WEIL Simone. La pesanteur et la grâce. Str. 238, Ed. Plon, Paris, 1947.

Mój odruch niechętej obojętności do leżącej przede mną książki był tego samego gatunku. Dopiero wczytując się w nią poczułem wstyd za moją reakcję, jak tam na lorze pod Aszhabadem, zrozumiałem, że dotykamy istoty cierpienia nie przez statystyki, że cierpienie jest zawsze nowe i jedyne, umiejscowione, obrysowane w sercu ludzkim i tylko przez spojrzenie na te wypadki pojedyncze możemy ich ciężar i dotkliwość odczuć. Szlachetnie Iwan Karamazow Dostojewskiego "odmawiał biletu do raju" jeżeli jest okupiony jedną łzą niewinnego dziecka.

Tragedia Oradour jest ujęta przez autorkę wyłącznie od strony ofiar, a nie sądu i kary. Nie można było napisać o tym z większą czujnością serca, zebrać wszystko co z opowiadań świadków, rodzin pomordowanych, mogło dać ewokację czym był Oradour, opowiedzieć o tym tak bez woli zemsty i naświetlić wypadki duchem prawdziwie chrześcijańskim bez cienia kaznodziejstwa i retoryki.

Pomimo grozy faktów opowiedzianych, książka zaraża nie buntem ale, niezrozumiałe jakby dla samego czytelnika, miłością życia. Ile twarzy niezapomnianych, ile pracy, wierności, namietności, serca w tej wsi, jednej z tysięcy sobie podobnych.

Michel Forest, 20-letni syn profesora z Montpellier, zamieszkały w pobliżu Oradour, który z braciśkiem w dzień masakry wypadkowo tam się wybrał aby się ostrzyć i który, sądząc po notatkach po nim odnalezionych, miał prorocze przeczucie swego końca. Postać starego księdza spalonego razem ze swymi parafianami, wśród których nikt poza paru starymi kobietami do kościoła nie chodził, proboszcza obsługującego dwie parafie, starca mdlejącego po drogach z wyczerpania, któremu, gdy wracał bezsilny z wędrowek po chorych i umierających, nikt pieca nawet nie rozpałił, zupy nie zagrzak. Został otoczony dopiero od 1939 serdeczną opieką rodziny alzackich wygnańców, żarliwych katolików. Ich chora córka i syn, który, tylko co wyswięcony na misjonarza do Afryki, przyjechał do Oradour, by się z siostrą pożegnać, zostali oboje spaleni również.

Dwudziestoczteroletnia Denise w tej wsi urodzona, która jako nauczycielka do swojej wsi wróciła i pracując w szkole w surowym dla siebie entuzjastycznym (świadczą o tym resztki odnalezionego dziennika) mieszkała nadal w biednej chacie, śpiąc razem z matką w jednym łóżku. I ona zastała spalona w kościele z trzydziścioro siostrami swoich uczniów. Trupa jej odnaleziono z trupem jednej z uczennic w ramionach; umarła jak w Polsce "Doktor Anioł", jak Korczak, który szedł na śmierć z najmłodszymi dziewczynkami "Naszego domu" w ramionach.

Wspominam zaledwie parę istot, które nam pani Mayran wierną i czułą kreską nakreśliła, ileż tam twarzy jeszcze ludzi, których tyle widzi się **nie widząc** na naszej drodze.

Entuzjastyczny wstęp Gabriela Marcela daje komentarz filozoficzny, teologiczny nawet, stylem polemicznym kontrastuje z tekstem autorki, którego cała siła polega na opowiadaniu jakby z ukrywaniem drżeniem, najprostszymi słowami, faktów najniklej-

szych, codziennych, które u progu katastrofy ukazują swą ostateczną ważność.

Między wierszami całej książki jest jeszcze wątek inny, nieustannie zapytanie **co znaczą, co znaczą** te ofiary niewinne, wszystkie ofiary niewinne? Autorka stwierdza, że byli ludzie, którzy pod ciosem tych mordów zwątpili w Boga na zawsze, bo jak fakty takie powiązać z wszechmocą i miłosierdziem Boga, jak nie w uczonych rozprawach, ale w sercu rozdartym przyjąć tę sprzeczność z otwartymi oczami, bez buntu?

Te dzieci, których rodzice, wiele ponosząc ofiar, dla bezpieczeństwa przywieźli z Marsylii, z Paryża, te dzieci, które dnia tego wypadkowo tam przyszły, lub zaledwie parę dni wcześniej zjechały, te, które wiedzione dziwnym przeczuciem błagały rodziców, aby je stamtąd zabrać. "Jeżeli tu zostanę, mam, to umrę" mówi do odjeżdżającej do Paryża matki jedenastoletnia Marguerite Simon.

Książka przynosi różnic faktów (zebranych nie tylko z uważną ścisłością, ale z wyraźną wolą by nawet zbytnim podkreśleniem czy akcentem nie zgrubić tych danych) — szereg **znaków ostrzegawczych**, które miały miejsce, przeczucie dzieci na tę śmierć skazanych (nik o go od śmierci nie uchroniły) i w związku z tym jakby przyspieszonego dojrzewania religijnego u niektórych, u dwudziestoletniego Michela Foresta dosięga to dwa dni przed śmiercią stanu iluminacji, który sam spisał.

Wsluchując się w ton opowiadania autorki czujemy, że na ten świat męki niewinnej i krzywdy można spojrzeć nie tylko "zwracając bilet do raju", jak Karamazow, nie tylko jak "człowiek zbuntowany" Camusa, ale że jest postawa inna, nieskończenie trudniejsza, na którą nas nie stać bo nie mamy czystości i głębi wiary pani Mayran. "Człowiek, którego by cała rodzina zginęła w torturach — pisze Simone Weil — który sam był torturowany w obozach koncentracyjnych. Albo Indianin z XVI-go wieku sam jeden uratowany od eksterminacji całkowitej swego narodu. Tacy ludzie jeżeli wierzyli w miłosierdzie Boże, już w nie nie wierzą lub je pojmują całkiem inaczej niż poprzednio. Nie przeszedł przez takie rzeczy. Ale wiem, że istnieją, więc cóż za różnica? Muszę dążyć aby mieć o miłosierdziu Bożym pojęcie, które się nie zaciera, które się nie zmienia cokolwiek by los na mnie nasłał i które by mogło być przekazane każdej istocie ludzkiej".

Wyrывая tragedię Oradour z tego, co Gabriel Marcel nazywa "kręgiem abstrakcji statystycznych" autorka dała nam możliwość przeżyć nie tylko losy mieszkańców jednej wsi francuskiej, ale znowu sercem nas zbliżyła do tych ofiar niezliczonych, o których nikt książki nie napisze i o których każdy z nas pamięta za mało i w chwilach małodusznych chciałby zapomnieć. Żąda dla nich nie pomników, nie propagandy ani zemsty, ale "łez potęgi drugiej".

«Si quelqu'un tue Cain»

Jest taki ustęp w «La Paix des Profondeurs» Aldous Huxley'a, gdzie bohater powieści, Anthony Beavis, kreśli w swym notatniku szereg uwag na temat socjologicznych konsekwencji faktu upowszechniania się u ludzi obserwowania przez nich samych swych reakcji psychologicznych i psychicznych uzasadnień ich postępowania. Do niedawna jeszcze — twierdzi Beavis — domena dociekań psychologicznych dostępna była jedynie szczupłemu gronu wybranych jednostek, posiadających intuicyjny aparat wyczuwania i rozumienia właściwych pobudek, kierujących postępowaniem ludzi. Byli to nieliczni pisarze, filozofowie, poeci. Wiek 19-ty jednak, a szczególnie wiek 20-ty przyniosły ze sobą spopularyzowanie doświadczeń z dziedziny psychologii, otworzyły przed ludźmi szerokie pole życia podświadomego, gdzie mogą oni, bez pomocy uczulonej intuicji, hasać dowolnie. Zachęta i udostępnienie obserwowania siebie samego doprowadziły ludzi do całego szeregu znamiennych odkryć. Przeprowadzane przez nich analizy psychologiczne ukazały, że za fasadą tak zwanych wartościowych i szlachetnych nastawień kryją się najczęściej pobudki niskie, płaskie, egoistyczne, że elementy tak zwanego dobra i zła przemieszane są w postępowaniu ludzkim tak dalece, że przeprowadzenie granicy między nimi jest często niemożliwe. Popularyzacja obserwowania siebie samego doprowadziła w rezultacie do obalenia mitu osobowości, do rozlecenia się w gruzy ideałów dobra, za którymi kryją się mało szlachetne pobudki, do pasji odbronzowania, do ogólnego zniechęcenia, pesymizmu, krytycznego interpretowania każdego zjawiska. Z punktu widzenia socjologicznego rozszerzenie świadomości psychicznej w masach było katastrofą.

Dzisiaj, z perspektywy 15 lat, które dzielą nas od chwili ukazania się książki Huxley'a, uwagi Beavis'a wydają się niewątpliwie słuszne i przekonujące. Zresztą, jak pamiętamy, cała powieść «La paix de profondeurs» napisana została dla zilustrowania i udowodnienia tej tezy. Dodać należy, że Huxley na ostatnich stronach swej powieści co prawda próbuje znaleźć wyjście z sytuacji tej, próbuje wykuć broń przy pomocy której można by było podjąć walkę z druzgotaniem ideałów. Lecz jakże próba jego jest nieśmiała i mało przekonująca. Nie ulega też wątpliwości, że walkę o przywrócenie mitu jednolitej osobowości i katerycznych wartościowań podjął w innych rozmiarach, z nieco innym rozmachem i nieco inną stanowczością — kto inny: Wschód i komunizm.

Ale na zachodzie, w dziedzinie literatury, bo nie chcę mówić o ruchach społecznych i ideologicznych, czyż nie było, lub nie

ma szukania ścieżek powrotu do pomnikowych postaci? Wydaje się, że próby takiego powrotu odbywać się mogą na dwu płaszczyznach. Pierwsza z nich, prymitywna i stanowiąca, polega na katerycznym odrzuceniu doświadczeń psychologicznych z dziedziny podświadomości i na dążeniu w konsekwencji do rysowania charakterów jednolitych, zdecydowanie czarnych lub białych. Druga możliwość, to szukanie w ramach osiągniętych już doświadczeń psychologicznych jakichś dróg wyjścia. Sprawa ta jest znacznie trudniejsza i bardziej skomplikowana. I otóż z przyjemnością stwierdzić muszę, że niedawno natrafiłem na taką próbę odnalezienia nowej drogi i to tej trudniejszej, takiej, gdzie jednocześnie zachowany został skomplikowany labirynt rozszczępień psychologicznych. Jest to książka młodej autorki francuskiej, pani Stephane Frontès, pt. «Si quelqu'un tue Cain».

Powieść Stephane Frontès toczy się w jakimś imaginacyjnym mieście, w latach powojennych i w środowisku żydowskim. Dwie główne postaci powieści, to pisarz Józef Harmer i syn bogatego i przemożnego bankiera, David Nouné. Obie te postaci, zajmujące skrajnie przeciwstawne sobie pozycje ideologiczne, są właśnie symbolami tych dwu dróg, szukających wyjścia z obecnego impasu. Harmer, uwielbiany przez szerokie masy pisarz, głosił do niedawna w swych książkach i wystąpieniach publicznych hasła humanitaryzmu, poszanowania jednostki, pacyfizmu. Dzisiaj, po smutnych doświadczeniach wojennych, postanowił przekreślić swe uprzednie marzenia i zastąpił je tęsknotą za czynem, katerycznym podziałem ludzi na wrogów i przyjaciół, ideałem potęgi Izraela, zdobytej walką i terrorem. Dzisiaj też pracuje on aktywnie nad dostarczaniem Izraelowi broni i członków terrorystycznych organizacji. David Nouné zaś, to człowiek o przewrażliwionym aparacie wyczuwania swych reakcji psychicznych, świadom swych kompleksów i zahamowań, którego naturalną tendencją jest to, co Beavis nazywał zamiłowaniem do rozbijania w gruzy mitu jednolitej osobowości. I otóż, tenże David Nouné, który w myśl wszystkich pozorów logicznych zasad powinien by życie swe spędzić w pasywnym obłoku intelektualno-krytycznego szczydzenia, zrywa stosunki ze swym potężnym ojcem, którego działalność potępia, samodzielnie toruje sobie drogę i wreszcie podejmuje akcję przeciwstawienia się zamiarom Harmera. Świetność książki pani Frontès polega właśnie na tym, że umiejętnie ukazuje rozszczępienia wewnętrzne Nouné'a i że unika wszelkiej łatwizny w zarysowywaniu jego sposobu postępowania. Nouné mimo swych wątpliwości, mimo swych wahań, mimo pełnej świadomości swych kompleksów wybierze jednak drogę czynnego poświęcenia i drogę walki w obronie ideału poszanowania człowieka. I rzecz ciekawa z walki tej wyjdzie zwycięsko, podczas gdy jego przeciwnik Harmer zostanie pokonany. Jest to nieoczekiwana nuta optymizmu w literaturze francuskiej.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Rozcinając kupiony w londyńskim "Ognisku" ostatni numer "Kultury" ze zdumieniem stwierdziłem, że pomiędzy strony 58 i 59 wsunięto odbitą na powielaczu i podpisaną przez p. Dołęgę-Modrzewskiego ulotkę, zaprzeczającą w sposób niezbyt kurtuazyjny prawdziwości zredagowanej przez p. J. Mieroszewskiego notatki o olbrzymich wydatkach administracyjnych "Skarbu Narodowego".

W pierwszej chwili pomyślałem, że to może Redakcja "Kultury" już po wydrukowaniu notatki doszła do przekonania, że należy zdewaluować swego własnego korespondenta, co, niestety, zdarza się ostatnio na łamach prasy emigracyjnej.

Zważywszy jednak ostrożność i solidność, z jaką redagowane jest Pańskie pismo, odrzuciłem tę myśl jako absurdalną. Gdyby bowiem Redakcja nie miała zaufania do świetnego i sumiennego publicysty, za jakiego uważam p. Juliusza Mieroszewskiego (którego ulotka "Skarbu Narodowego" uznawała za anonima, choć wszystkim czytelnikom "Kultury" dobrze wiadomo, że podpisuje swe notatki pseudonimem "Londyńczyk") — to po prostu nie drukowałaby nadesłanego przez niego materiału.

Wobec tego natrętne wciśnięcie mi — jako czytelnikowi "Kultury", a nie biuletynów "Skarbu Narodowego" — wspomnianej ulotki zmuszony jestem uznać za niezwykle przykry objaw katastrofalnego obniżania się poziomu obyczajów w naszym życiu publicznym. Choć zawsze byłem zdecydowanym przeciwnikiem przedwojennych metod sanacyjnych, nie przypominam sobie, aby ówczesny reżim stosował tego rodzaju metody, choć miał do dyspozycji aparat kolportażowy, rozprawdzający wszystkie czasopisma.

Mam nadzieję, że Pan Redaktor wyjaśni całą sprawę. Obym się mylił w ocenie faktu. Byłbym szczęśliwy, gdyby okazało się, że chodzi tu o jakieś niedopatrzienie lub nieporozumienie.

Proszę przyjąć wyrazy szczerzego szacunku

Janusz JASIENCZYK.

Szanowny Panie Redaktorze,

"List z wyspy" Mieroszewskiego w czerwcowym numerze "Kultury" bardzo mnie zaciekał. Nie tylko dlatego, że p. Mieroszewski kruszy kopię w mojej obronie, ale ponieważ uważam, że problem rozvodu Polaków i współczesności jest bardziej istotny i bardziej groźny niż by można wnioskować z lektury polskiej prasy. Brak zainteresowania periodyków polskich sprawami naukowymi, filozoficznymi etc., nie jest objawem, który można analizować luzem, ale wiąże się organicznie z tym dziwnym zacołaniem, które każe Polakom myśleć o sprawach minionych a zamykać oczy na sprawy współczesne i które pozwala obcym zauważyć największy polski grzech narodowy — "an inveterate historical memory", niewidzialny dla polskich Izajaszów.

W moim liście do "Wiadomości" który wywołał krytykę p. Felsztyna i odsiecz Mieroszewskiego pisałem o tym samym problemie i zilustrowałem go tą dziwną niekonsekwencją, która kazała Polakom odrzucać deterministyczny pozytywizm w okresie gdy determinizm był rządzącą filozofią zachodu a która współcześnie, gdy nauki ściśle podniosły romantyczny sztandar indeterminizmu każe Polakom odwracać się od

nauk ścisłych. P. Felsztyn przeraził się mej nierewerencji i implikacji, że Polacy w 19-tym wieku mogli być — *horribile dictu* — przejąc się materializmem, a p. Mieroszewski odważnie broni zachodniości determinizmu i materializmu. Wydaje mi się, że ani p. Felsztyn ani p. Mieroszewski nie dotknęli zasadniczego zagadnienia.

Nie jest ważne czy cnoty lub przywary polskie znajdują się z tej czy z innej strony politycznej kurtyny lub w tej czy innej generacji. To są rzeczy względne, zależne od postawy obserwatora i od czasu obserwacji. Bezwzględne jest tylko pytanie DLACZEGO? Dlaczego Polacy, którzy tak się pasjonują "głębokim podkładem kultury łacińskiej", znajdują się zawsze po przeciwnej stronie barykady? Dlaczego entuzjastujemy się zachodnim szampanem a upijamy wódeczką? Gdzie jest źródło polskich kompleksów? Jakie są podstawy psychopatologii polskiego myślenia narodowego? Oto fundamentalne, naukowe pytanie i tylko odpowiedź na nie da praktyczne rozwiązanie w każdej sytuacji i w każdym czasie.

Ale odpowiedź na to pytanie nie jest gotowa. Nie może wyskoczyć jak Pallada z głowy Jowisza: dorosła i w zbroi! Zrodzić się może tylko z poważnej i intensywnej dyskusji, która jest jedyną witaminą postępu. I dlatego witam z satysfakcją wypowiedzi panów Felsztyna i Mieroszewskiego. Vivant sequentes.

Łączę wyrazy szacunku.

Henryk SCHOENFELD
London/Ont. (Kanada).

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem, jaki napisałem do "Wiadomości" w dyskusji z listem Schoenfelda, londyński korespondent "Kultury" aż na dwu jej stronach (Nr 6/56) zajął się moją osobą, twierdząc, że "w czasopiśmie polskich nikt zagadnień (naukowych) ani nie porusza, ani się nimi nie interesuje. Jeśli jednak znajdzie się taki śmiałek, to natychmiast zostanie skarcony i pouczony". Z dalszych wywodów wynika, że — w przekonaniu Mieroszewskiego — tym jedynym śmiałkiem, który odważył się poruszyć w czasopiśmie polskich "zagadnienia naukowe w sposób przystępny i zrozumiały" to Schoenfeld, a groźny cenzor, "karcący go i pouczający" — to ja.

Otóż tak jakoś się składa, że od lat ja, właśnie ja, zajmuję się popularyzacją wiedzy na łamach polskich tygodników i miesięczników. Pozwólę sobie przytoczyć kilka tytułów z ostatnich lat: "Nowe prawo Einsteina" ("Orzeł Biały" nr 393), "Bomba wodorowa" (nr 399), "Determinizm" (nr 493), "Kieszonkowa bomba atomowa" (nr 413), "Nowa kosmologia" (nr 418), "Spostrzeżenia pozazmysłowe" (nr 442), "Tajemnica życia" (nr 492), "Pokojuwe zastosowania energii atomowej" (nr 510), "Wirusy" ("Życie" nr 132), szereg artykułków na te tematy w "Poradniku świetlicowym", w "Gazecie Niedzielnej", artykuł dla młodzieży "Blaski i cienie nauki" w "Ogniwiu" (nr 52) i wiele innych.

Jeżeli więc Mieroszewski jako jedyną jaskółkę ujrzał list Schoenfelda w "Wiadomościach" (doskonały artykuł tego autora "O atomach i gwiazdach" pojawił się w "Wiadomościach" już po wspomnianym "Liście z Wyspy"), a licznych moich artykułów jakoś nie zauważył, to można mu powiedzieć, że — w myśl bajki Kryłowa — "słona to nie przymięł" (słonia nie zauważył).

Popularyzacja wiedzy parałem się nawet w niewoli sowieckiej, o czym mógłby Mieroszewskiego poinformować jeden z członków zespołu "Kultury". Jeśli więc właśnie mnie wybrał Mieroszewski jako tego przedstawiciela Ciemnogrodu, który wali w łeb każdego, kto ośmielił się poruszyć temat naukowy, to gorzej nie mógł trafić kulą w płot.

Nie wiem dlaczego Mieroszewski zaliczył mnie do "elity rządzącej". W Polsce przed wojną zajmowałem się pracą badawczą w wojsku i wykładałem na Politechnice Warszawskiej. Ani jedno ani drugie do funkcji rządzenia, jak wiadomo, nie należą.

Mieroszewski łaskawie poucza mnie, kim jest Schroedinger. W pokorze ducha przyjmuję to pouczenie, choć muszę przyznać, że — jako autor książki "Energia atomowa" (wydanej przez "Instytut Literacki"), prawdopodobnie coś niecoś o tym już słyszałem. Swego czasu nawet studiowałem jego mechanikę falową, choć zapewne nie tak gruntownie, jak Mieroszewski. Co więcej, wbrew kategorycznemu twierdzeniu Mieroszewskiego, że nikt "by nie zaryzykował omówienia na łamach polskich czasopism książek prof. Schroedingera" — napisałem do "Orla Białego" recenzję o jego książce "Science and Humanism" (nr 522), która w chwili, gdy okazał się Mieroszewskiego "List z Wyspy", od pewnego już czasu oczekiwała w redakcji swej koleżki druku. W recenzji tej, podkreślając pozytywne wartości tej niezmiernie ciekawej i głębokiej pracy, oczywiście polemizuję z tymi poglądami Schroedingera, z którymi się nie zgadzam.

Po tej recenzji Mieroszewski, który ma widocznie w głowie (wedle własnego eleganckiego wyrażenia) "smrodek dydaktyczny" zapewne skarci mnie ponownie, że "uważam za stosowne pouczać Schroedingera... czym jest fizyka". Otóż w pierwszym rzędzie w nauce na szczególności nie panują dotąd totalitarne zwyczaje padania plackiem przed autorytetami, lecz na odwrót jeszcze od czasów św. Tomasza z Akwinu obowiązuje zasada, że w dyskusji autorytet jest wart akurat tyle, ile warte są argumenty, jakie, on przytacza. Toteż nikt się nie gorszy tym, że nawet wypowiedzi Einsteina spotykają się z ostrą nieraz krytyką fizyków znacznie niższej, niż on, wagi naukowej. Ponadto, w myśl zasady logicznej, jaką jeszcze w latach 1920-21 głosił prof. Leśniewski na Uniwersytecie Warszawskim, w żadnym układzie nie wolno wygłaszać zdań, dotyczących samego układu, bez obawy antynomii. Do tego trzeba przejść do układu innego. Jeśli więc fizyk chce coś powiedzieć o tym, czym jest fizyka w ogólnym układzie, to musi przejść z fizyki do epistemologii, wygłasza więc swe poglądy nie jako fizyk, a jako filozof. Tym samym zaś opinie jego podlegają krytyce filozofów, choćby się oni znacznie mniej od niego znali na fizyce. I tak, gdy Jeans napisał swoją "Physics and Philosophy", odpowiedziała mu druzgocą krytyką filozofka L. S. Stebbing "Philosophy and the Physicists", choć niewątpliwie o fizyce wiedziała znacznie mniej, niż Jeans. I nikt jakoś jej nie zgromił, że ośmiela się "pouczać" Jeansa, czym jest fizyka. Jak bowiem słusznie napisał kiedyś na łamach "Discovery" E.M. Friedwald, z tego, że ktoś jest znamitością w dziedzinie akustyki, nie wynika bynajmniej, że musi on doskonale grać na skrzypcach.

Ponadto, jeśli w moim liście do "Wiadomości" jako przykład podałem Schroedingera, to właśnie dlatego (por. "Orzeł Biały" nr 522), że jest on nie tylko znakomitym fizykiem, ale równocześnie i człowiekiem o głębokim umyśle, rozległej wiedzy i szerokich zainteresowaniach. Jeśli więc człowiek tej klasy, szukający w naukach przyrodniczych rozwiązania zagadki kim i czym jest człowiek, w konkretnym wypadku znajduje wyjaśnienie jej na ich antypodach, w filozofii hinduskiej, to jest to najwymowniejszym dowodem, że nauki przyrodnicze same nie wystarczają, aby udzielić pełnej odpowiedzi, po prostu dlatego, że człowiek jest nie tylko istotą materialną, ale i duchową, nauki przyrodnicze więc, które z natury rzeczy zajmują się tylko jego stroną materialną, wszystkiego o nim powiedzieć nie są w stanie.

Mieroszewski potępia mnie za to, że jakoby odmawiam materializmowi i determinizmowi prawa do podkładu kultury łańciskiej. W liście moim napisałem, co Mieroszewski zresztą dosłownie cytuję, że uważam je za "chorobliwe wynaturzenia... na zdrowym pniu kultury zachodniej". W jaki więc sposób Mieroszewski wydedukował z tego, jakoby twierdził, że one z tego pnia nie wyrastają, to pozostać musi prywatną tajemnicą, osobliwej jego logiki. Pogląd zaś, że są one chorobliwymi

narostami, jest poglądem nie tylko moim, ale i wielu pisarzy znacznie bardziej ode mnie kompetentnych, jak Chesterton, Dawson, czy O. Bocheński ("Orzeł Biały" nr 311, "Cywilizacja Chrześcijańska"), który zresztą pisze dosłownie ("Zycie" nr 67), że "na tym polega część prawdy zawarta w teoryje moskiewskiej o "zgnięciu Europy": jest ona o tyle zgniła, o ile nie przyznaje się do nauki Chrystusa Pana".

Rozumiem doskonale, że Mieroszewski może się nie zgadzać z poglądami O. Bocheńskiego, wypowiedzianymi w obu cytowanych artykułach. I mogę go z góry zapewnić, że nie powiem mu w tym wypadku, iż on "poucza i potępia" O. Bocheńskiego, tak jak to on czyni, gdy ktoś inny nie zgadza się z tymi poglądami O. Bocheńskiego, które Mieroszewski podziela.

Mieroszewski stara się zmałdździć mnie autorytetem Russella, aby mi wykazać, że "nauki przyrodnicze wywierają wpływ na filozofię". Zbyteczny trud. Nigdy nie twierdziłem niczego innego. Szeroko zresztą dyskutuję ten problem zarówno w niedawno wydanej mojej książeczce "Zmierzch materializmu w naukach przyrodniczych", jak i w artykule "Powrotna fala scientyzmu", który pojawi się w jednym z najbliższych numerów "Zycia". I tu znów więc jest nieporozumienie. W dyskusji mógłbym bowiem z Schoenfeldem twierdziłem tylko (zgodnie zresztą z np. O. Bocheńskim, Jakubisiakiem, Maritainem, Stebbing, Sherwood Taylorem i. i.), że nauki przyrodnicze nie mogą być jedyną podstawą filozofii.

Na koniec dwie uwagi. List mój do "Wiadomości" podpisałem, jak zwykle, tylko imieniem i nazwiskiem. W omówieniu go Mieroszewski systematycznie dołącza do niego mój stopień wojskowy, mylnie zresztą, bo nie jestem oficerem dyplomowanym. Oczywiście nie mam powodu wstydzić się mego stopnia, uzyskałem go bowiem wieloletnią wyteżoną i ciężką, bardzo ciężką, pracą. Ale sądzę, że w dyskusji naukowej, jeśli w ogóle jakiś tytuł jest potrzebny, to raczej należałoby stosować tytuł naukowy, a nie stopień wojskowy. Rozumiem jednak dobrze, dlaczego Mieroszewski tego nie uczynił. Chodziło mu o udowodnienie tezy, że "ci panowie z nikim nie dyskutują, tylko pouczają i wyrokujeją". Do tego zaś trzeba było odpowiednio podmalować dramatis personae. Jest więc biały charakter, jedyny który w Ciemnogrodzie ośmielił się pisać coś o nauce, i czarny charakter, "pułkownik", a więc — w rozumieniu Mieroszewskiego — kompletny ignorant, który z racji swego stopnia wali biedny biały charakter pałką w łeb. Gdyby więc Mieroszewski był przytoczył mój stopień naukowy, cały efekt by oczywiście upadł. Wiadomo bowiem, że doktor filozofii ma prawo pisać o filozofii. I właśnie dlatego uważam, że tego rodzaju chwyt demagogiczny jest stanowczo poniżej poziomu kulturalnego "Kultury".

I sprawa druga, zasadnicza. Od szeregu już miesięcy Mieroszewski na łamach "Kultury" wszystkich trąca i roztrąca. Wydaje laurki i wyroki potępienia. Bezapelacyjnie i po dyktatorsku. Poucza i wyrokuje. Wszystko, z czym się on zgadza, jest "dyskusją", "liberalizmem", "obiektywną oceną". Wszystko, z czym on się nie zgadza, to "pouczenie", "gromienie", "parafianstwo", "smrodek dydaktyczny". I to wszystko dzieje się w imię "tolerancji". Widocznie należy on do tego osobliwego gatunku wolnomyslicieli, którzy uważają, że każdemu wolno myśleć, co chce, pod warunkiem jednak, aby myślał to, co oni myślą. Ponieważ zaś Schoenfeld miał szczęście mu się podobać, ja zaś nie — szczęście wygłoszenia poglądu, który nie "harmonizuje z konformizmem" jego "ustalonych wartości", moja więc spokojna dyskusja z jedną z wielu tez Schoenfelda jest dla niego "gromieniem" i "parafianstwem". Jeśli zaś on mieszka mnie z błotem, wymyśla mi, stara się mi wykażać moją rzekomą bezdenną ignorancję, łaskawie klepiąc mnie po ramieniu z wysokości swej jedynej wyroczeni prawdy i nauki (ze wstydem przyznając, że nie słyszałem o żadnej pracy naukowej Mieroszewskiego; jeśli zaś o moje chodzi, to ilość ich, opublikowanych przeze mnie przed wojną w języku polskim, francuskim i niemieckim znacznie przewyższa ilość Mieroszewskiego "Listów z Wyspy"), poucza mnie

świadczą aż nadto dowodnie, że dyskusja dotykała i omawiała zarówno sprawę wyższego, jak niższego rzędu. Była zatem mowa o federacji i jej formach, ale poruszaliśmy także obszernie sprawy takie, jak kompleksy tkwiące u podstaw świadomości obydwu narodów, ich przyczyny i drogi ich rozładowania. Tematem dyskusji — po raz pierwszy po zakończeniu drugiej wojny — była między innymi sprawa udziału Ukraińców w Powstaniu Warszawskim, przy czym wtedy, a nie teraz, po raz pierwszy padło oświadczenie ukraińskie stwierdzające, że Ukraińców w Warszawie podczas Powstania nie było, a w każdym razie, że nie było tam SS Galizien dywizji. Autor notatki w "Kulturze" albo nie pamięta tej dyskusji, albo nie zna jej szczegółów i przebiegu, jeśli twierdzi, że rozwijała się ona nieorganicznie.

Byłoby zbyt wielkim uproszczeniem, gdyby przyjąć, że dyskusja była bezcelowa, bo nie pozostawiła śladu i nie przyniosła konkretnego rozwiązania problemu polsko-ukraińskiego, albo bodaj nie dała innych rezultatów w formie, jak chce p. Bco, ośrodków prasowo-informacyjnych. Nie było to zadaniem tej dyskusji.

Jej znaczenie i rola były inne. Po raz pierwszy od zakończenia wojny światowej, jeszcze na zgłiszczach i wśród panującego, potwornego chaosu, po tragicznych przeżyciach, wspomnieniach i doświadczeniach na odcinku polsko-ukraińskim, w ogniu rozpalonych namiętności obu społeczeństw, dyskusja podjęta na łamach "Kroniki" była pierwszą, śmiałą próbą rozmowy między stronami przedzielonymi oceanem codo-piero utoczonej krwi. Nienawisć była jedynym uczuciem, które panowało w ówczesnej atmosferze.

P. Bco jest chyba pozbawiony poczucia rzeczywistości, która wówczas obowiązywała, jeśli w tej sytuacji podjęcie dyskusji publicznej pozwalającej na swobodną wymianę zdań uważa za wysiłek "bez śladu". A przecież — prócz tego — dyskusja ówczesna doprowadziła co najmniej do przekonania, że trzeba tych rozmów i dyskusji, aby znaleźć drogę wyjścia i nie zarzucać prób porozumienia. Obowiązywało zaś przedtem powszechne przekonanie po obu stronach, że wszelkie rozmowy są zbyteczne. Wśród społeczeństwa polskiego istniały kola, które jakkolwiek rozmowę uważały za przestępstwo.

Dyskusja polsko-ukraińska w latach 1947 i 1948 nie tylko zlikwidowała te uprzedzenia, ale postawiła problem polsko-ukraiński na porządku czołowych problemów obu zainteresowanych stron i to jest jej trwałą zasługą i śladem.

Ponadto określiła tematykę dyskusji polsko-ukraińskiej naszego okresu i chociaż jej nie wyczerpała i nie zakończyła, to jednak wyznaczyła jej zryby. Śmiem twierdzić, że nikt w najbliższym okresie aż do czasu zlikwidowania sowieckiego panowania w Polsce i na Ukrainie, nie dołoży w tej sprawie niczego nowego, co miałoby oznaczać zmianę torów dyskusji między Polakami a Ukraińcami.

Oto zatem są ślady tego wysiłku.

Jego zapleczem były działania, które mają swoją kartę. Pod auspicjami dyskusji prasowej i w jej rezultacie odbyły się w Niemczech pierwsze po wojnie rozmowy prowadzone przez przedstawicieli obu stron mających mandaty swoich upoważnionych ośrodków politycznych. Terenem współdziałania były organizacje tego typu, jak Prometeusz, Związek Prasy Uchodźców w Niemczech, Syndykaty Dziennikarzy, Klub Międzymorza, liczne konferencje, na których podejmowano próby zbliżenia i współpracy. Jeśli to wszystko nie dało od razu natychmiastowych i efektownych rezultatów, to trzeba powtórzyć, że działo się to bezpośrednio po latach, w których, prócz wspomnień rzezi, Powstania Warszawskiego, obozów koncentracyjnych, nie było żadnego konstruktywnego elementu do nawiązania współpracy. Brakowało nawet wzajemnego zaufania. Jeśli w tej dziedzinie przełamano choćby niektóre opory — zadanie wykonane zostało z nadatkiem. Uczestnicy tego wysiłku ze strony obu społeczeństw przełamując inne, nowe trudności, nawiązują na terenie amerykańskim do swej pierwszej inicja-

tyw z okresu niemieckiego i podejmują tu dalsze dzieło wzajemnej współpracy.

Szlaki i przyszłość tej sprawy są niewiadome, jak niewiadomy jest obraz tego, co nadchodzi.

Wydaje mi się jednak, że cokolwiek na tym odcinku się podejmuje i ktokolwiek to robi, wyrządza na pewno ciężką krzywdę samemu zagadnieniu rozpoczynając swoją inicjatywę w przekonaniu, że wszystko, co działo się w tej dziedzinie przedtem, było nieważne lub bez znaczenia. Nic bardziej mylnego w zagadnieniu polsko-ukraińskim, jak odkrywanie Ameryki przy sposobności każdego nowego artykułu prasowego na ten temat i rozpoczynanie sprawy za każdym razem od początku przy równoczesnym dyskwalifikowaniu poprzednich inicjatyw. Ta metoda musi nieuchronnie prowadzić do zniszczenia wszelkiego zaufania wobec każdej akcji mającej na celu rozwiązanie problemu.

P. Bco powinien zachować rolę kontynuatora pełnego ambicji posunięcia sprawy o jeden krok naprzód, a nie odkrywcy, który rozpoczyna nową erę. Pierwszy w niej krok został już bowiem zrobiony i cofnąć go nie można. I cofać nie trzeba.

Łączę wyrazy poważania i proszę o zamieszczenie niniejszego listu na łamach "Kultury".

Klaudiusz HRABYK.

New York.

Szanowny Panie Redaktorze,

Po przeczytaniu w czerwcowym numerze "Kultury" listu p. B. Starzyńskiej, będącego odpowiedzią na mój list do Redakcji, drukowany w kwietniowym numerze, postanowiłam w pierwszej chwili nie odpowiadać na argumenty p. Starzyńskiej, jako że wiadomo jest powszechnie, iż nikt nikogo nie przekonał w żadnej polemice, a czytelnicy pisma zawsze niewinnie cierpią. Później doszłam jednak do przekonania, że sprawy o które chodzi w naszej dyskusji, są zbyt ważne aby zbyć je milczeniem.

Moim głębokim przekonaniem jest w dalszym ciągu, że bohaterstwa — a w danym wypadku samouciestwienia i unicestwienia swoich najbliższych — można żądać od innych tylko wówczas, kiedy zdecydowało się podjąć samemu to brzemie. Nie wolno być bohaterem na cudzy rachunek. Otóż ci wszyscy tutaj, głoszący górne hasła walki z bolszewizmem w Kraju, są bohaterami na cudzy rachunek.

Wiem, że jest mnóstwo takich, którzy na żaden kompromis nie poszli. Mam takiego w najbliższej rodzinie. Literat, chory obecnie na gruźlicę, a więc nie nadaje się do żadnej fizycznej pracy. Szanse doczekania lepszych czasów bardzo słabe. Człowiek ten nie ma zresztą dzieci. Gdyby je miał — nie wiem czy wytrzymałby w oporze.

Możemy cieszyć się, że są "oporni" lub współczuć ich losowi. Nie mamy prawa żądać walki z bolszewizmem prowadzonej tak wielkim kosztem i z tak nikłymi wynikami.

A może żądze meczeństwa na cudzy rachunek zaspokoiliłyby masowe wywożenia "elementów opornych i niepewnych", które byłyby prostym skutkiem takiej "walki z sowietyzacją"; wywożenia podobne do tych, które odbyły się w latach 1939-1941 na ziemiach utraconych, a niedawno w Rumunii i na Węgrzech.

Jeśli mowa o "pomaganiu w sowietyzacji Polski" — to czy naprawdę może ktoś wierzyć, że ktokolwiek w Kraju bierze na serio owe ody na cześć Stalina, "chorążego pokoju"? Kraj wie doskonale o Katyniu, zna los żołnierzy A.K., wie co się dzieje z ludźmi znikającymi nagle z horyzontu. Przecież te wszystkie straszliwe ramoty pisane na cześć Stalina, "bratniej czerwonej armii" itd. — to zasłona dymna, która ma zamąć spojrzenie bolszewików na prawdziwy obraz nastrojów w

Polsce. Czyżby zamącała także jasne spojrzenie emigracji?! Czy może ktoś poważnie uwierzyć, że Polacy, naród skory do buntu, nieskłonny do uznawania narzuconych mu przemocą autorytetów, może przyjąć coś tak rdzennie obcego i wstrętnego naszej naturze jak azjatyckie bałwochwalstwo?

Miałam do czynienia bezpośrednio po wojnie zarówno z młodzieżą szkolną jako nauczycielką, jak i z robotnikami w charakterze bibliotekarki. Wiem, jaki był wówczas ich stosunek do bolszewików. Dzisiaj zaś, kiedy presja jest znacznie większa, opór wewnętrzny z pewnością wzrasta — nie maleje.

Nie sądzę, żeby chłop nasz, któremu komuniści chcą zabrać dwie rzeczy dla niego najcenniejsze — religię i ziemię — poszedł tak łatwo na lep ich nieudolnej propagandy, nawet w wypadku gdy syn jego otrzyma stypendium na wyższe studia.

Kiedy fala odpłynie z powrotem na wschód (a stanie się to na skutek przemyślanej i zorganizowanej akcji całego świata, a nie w rezultacie samobójczych ofiar jednostek), rozwieje się i dymna zasłona. I wówczas może przekonamy się, że wielu z tych potępionych literatów, którzy "wysługiwali się Stalinowi", pracowało jednocześnie nad dziełami obrazującymi proces wciągania ich w bagno bez dna, którym jest na dłuższy dystans każda współpraca z bolszewikami. Zrozumiemy wówczas całą tragedię tych ludzi. Sądzić ich nie będziemy jednak my, lecz ci którzy przetrwają i wytrwają w swoim oporze — w Kraju. Może być, że będą oni znali okoliczności łagodzące, które dla nas, z odległości żelaznej kurtyny, nie są znane.

Dalej zagadnienie teatru polskiego na ziemiach wschodnich w latach 1939-1941.

Nie wiem, czy p. Starzyńska była w tamtym okresie na tych ziemiach. Jeżeli nie, to rozumiem doskonale, że nie zdaje sobie sprawy z różnicy między okupacją niemiecką w Polsce centralnej, a bolszewicką na ziemiach utraconych.

Otóż w tzw. Generalnej Gubernii Niemcy mogli bezkarnie więzić, mordować i niszczyć wszystkie zdobycze kulturalne. Ale społeczeństwo stało murem przeciw nim i sami oni nie mogli zaprzeczyć, że była to ziemia polska. Przeciw Niemcom stały wówczas także potężne armie sprzymierzone, o czym w rozważaniach tych nie wolno zapominać!

Na ziemiach wschodnich sprawa przedstawiała się inaczej. Polska zniknęła jak za dotknięciem różdżki magicznej, urodziły się Białoruś Zachodnią i Zachodnią Ukrainą. Zawisłiśmy nagle w próżni. O nas i o te ziemie nie walczył wówczas nikt!

I w tych warunkach, dla ludzi bez Ojczyzny, zagubionych z ZSSR które przyszło niespodziewanie aby ich zalać, teatr polski, zorganizowany przez owego aktora, który nie miał odwagi aby sprostować sfałszowaną wypowiedź, ale miał odwagę i gorącą chęć wystawienia z pietyzmem i całym wysiłkiem twórczym polskich sztuk, teatr ów stał się jakby pierwszym punktem stałym, na który natrafiły grzeszące w bagnie nogi. Kiedy teatr ten przyjechał w lipcu 1940 r. do Pińska opustoszałego po kilkakrotnych wywożeniach, widownia zapełniła się ludźmi, którzy płakali głośno słuchając fragmentów "Dziadów" i "Improwizacji" Konrada, recytowanej przez cały zespół. Zaobserwowaliśmy wówczas, że ludzie, którzy wchodząc do teatru mówili po rosyjsku — wychodzili z niego rozmawiając głośno po polsku. Polski teatr zdjął z nich lęk i obudził wiarę, którą utracili, że Polska nie tylko była — ale jest i będzie!*)

*) Teatr ów wystawił prócz "Dziadów", "Zemstę" i "Dożywocie" Fredry, "Moralność pani Dulskiej" i "Pannę Maliczewską" Zapolskiej. Z niepolskiego repertuaru: "Wesele Figara" Beaumarchais'a, "Pygmaliona" Shaw'a i "Optymistyczną tragedię", rosyjską sztukę, narzuconą przez władze w Mińsku. Treścią jej był epizod z I wojny światowej, a problemem — przebudzenie się patriotyzmu w zbuntowanych marynarzach czarnomorskiej floty. Żadna z tych sztuk nie by-

Reżyser i aktor ów, Aleksander Węgierko, nie żyje. Został zamordowany przez Niemców.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga.

W 1939 r., kiedy większość naszych surowych sędziów spraw krajowych unosiła w popłochu głowy na bezpieczne miejsce, widziałam w lubelskim gospodarza orzącego pod krzącącymi bombowcami niemieckimi swe pole. "Cokolwiek będzie — tłumaczył mi — ziemię trzeba obsiać".

Pomyślałam wówczas: "To jest prawdziwy gospodarz tego kraju, bardziej zatroskany o los ziemi niż własny".

Zdania tego nie zmieniłam do dzisiaj. "Klerkowie" mogą zdradzać i nawracać się, opuszczać Ojczyznę i wracać do niej. Jest to bardzo ważne, ale nie najważniejsze. Inteligencja ma bogatszą wyobraźnię i jest bardziej nerwowa, dlatego w znacznym stopniu ulega psychologicznemu strachu. Winy swoje okupuje potem stokrotnie, ale w krytycznym momencie może się zalać.

Najważniejszym jednak jest, aby chłop kochał ziemię tak wielką miłością, by orał ją wśród bomb i prześladowań. Gdyby bolszewikom udało się wyrwać ten korzeń tkwiący głęboko w polskiej ziemi i przesadzić go gdzieś na przestrzenie Azji, wówczas Polska obumarłaby jak wyrwana z gruntu roślina. A może — powędrowałaby razem ze swymi najwinniejszymi, pokornymi dziećmi?...

To byłoby wszystko, co miałam do powiedzenia w związku z listem p. Starzyńskiej i na jego marginesie.

Łączę wyrazy szczerego poważania.

Maria BELINA.
Londyn.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze czerwowym "Kultury", w dziale listów do redakcji, p. Barbara Starzyńska, polemizując z p. Marią Beliną, wspomina, jak to w roku 1944 w Warszawie zamierzała wybrać się do Teatru Malickiej, na przedstawienie "Lekkomyślniej Siostry" Perzyńskiego. Gdy zwróciła się z tym swym krewnym, poradono jej, aby z tego zamiaru zrezygnowała, lecz nie potrafiono jej wyjaśnić dlaczego. Wyjaśnienia udzielił dopiero pewien ważny członek AK, który m.inn. oznajmił autorce listu, że teatry są pod bojkotem, a "Perzyński jest pod wyrokiem". Czytam i oczy przecieram. Pod jakim to wyrokiem w roku pańskim 1944 mógł się znajdować znakomity pisarz, szlachetny i czarujący człowiek, Włodzimierz Perzyński, który zmarł w roku 1930? Z pewnością nie podlegał już jurysdykcji władz Polski Podziemnej, skoro od kilkunastu lat spoczywał w kwaterach Zasłużonych na Powązkach. Ale o tym, że Perzyński umarł w roku 1930 wie tylko nasza, starsza generacja. Młodzież, wychowana na emigracji, mało o Perzyńskim słyszała i zdarzyć się może, że któryś z czytelników o działalności Perzyńskiego dowie się właśnie z czerwowego numeru "Kultury" i przedstawi go sobie w bardzo niekorzystnym świetle, bo wprawdzie p. Starzyńska wspomina, że wyrok był krzywdzący, ale sprawy dostatecznie nie wyjaśniła i łatwo o nieporozumienie, które doprowadzić by mogło do wyrażenia pamięci znakomitego pisarza wielkiej krzywdy. Dlatego też, aby tego uniknąć, proszę Szanownego Pana Redaktora o umieszczenie tych kilku słów wyjaśnień na łamach Swego poczytnego pisma.

Łączę wyrazy poważania

Halina WITTLINOWA.
New York.

ła "zafałszowaną propagandową interpretacją", co nawet władze mińskie zarzucały teatrowi, chwalać artystyczną stronę wykonania.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ciekawym artykule pt. "O polski «trzeci program»" (numer czerwcowy "Kultury") p. Michał Sambor, z pochohnością do wydawania pospiesznych sądów, często właściwą Polakom, mówi o audycji polskich radia monachijskiego, RFE, że wszystkie one są "na poziomie «Ikaca»". Pozwoli Pan, że jako dawny pracownik tego pisma, zapretęstuję przeciwko wywodom p. Sambora, zaznaczając z góry, że nie znając treści audycji monachijskich, nie mogę mieć sądu o ich poziomie i wartości. Chcę tylko stwierdzić, że opinia p. Sambora o poziomie "Ikaca" wydaje mi się lekkomyślna i nieoparta na poważniejszym przemyśleniu. Przypomina mi się tutaj atak wymierzony kiedyś przez londyński "Dziennik Polski" na moją osobę, kiedy tamtejszy plotkarz, zbiorowy czy jednostkowy, występujący jako "Bywalec" czynił mi przytyk, że w notatkach biograficznych jakimi prasa angielska opatruje moje artykuły, figuruję tam jako współpracownik dzienników kontynentalnych przed wojną. "Dziennik Polski" naigrawał się wtedy, że pod tym mianem figuruje "pocziwy «Ikac»", zapominając, że jego własny felietonista Zygmunt Nowakowski był ongiś podporą owego "pocziwego «Ikaca»" jak i o tym, że sam "Dziennik Polski" nie grzeszy wysokością poziomu, ani — poza Dr A. Bregmanem — nie ma do zaprezentowania w swej redakcji dziennikarzy i publicystów znanych kronikom polskiego dziennikarstwa przed wojną.

P. Samborowi chciałbym przypomnieć, że w tym właśnie pogardliwie potraktowanym "Ikacu" pisywał stale przez lata Konstanty Srokowski — pod pseudonimem Pomian, albo Pom — i że publicysta ten należy do najświetniejszych, jakiego miała Polska w ciągu ub. 40-lecia. Dowodem na to jasnowidząca książka K. Srokowskiego o elicie bolszewickiej, wydana przed 20-tu laty (drukowana w wyjątkach na łamach "Przeglądu Współczesnego"), która stanowi po dziś dzień jedną z najlepszych analiz rewolucji rosyjskiej. Na łamach owego "Ikaca" pojawiały się często artykuły wstępne Dr Ferdynanda Zweiga, sygnowane F.Z., który był i jest poważnym ekonomistą i którego prace w języku angielskim, poświęcone doli, pracy i rozrywkom robotnika angielskiego zyskały sobie uznanie w W. Brytanii i omawiane były w licznych recenzjach, nieraz niezwykle pochwalnych. Jest jednak rzeczą znamienną, że prasa polska na emigracji nie chce jakoś zauważać dorobku prof. F. Zweiga, chociaż notuje pozycje polskie o wiele mniejszej wadze i ciężarze. Felietonista tego to "Ikaca" był nie kto inny jeno Zygmunt Nowakowski, niewątpliwie jeden z najlepszych, jakiego znają dzieje polskiego felietonu. Stałym współpracownikiem tego pisma był Ksawery Pruszyński, polski Egon Kisch, najlepszy reportarzysta jakiego w ogóle mieliśmy. Członkiem redakcji tego koncernu był Juliusz Mieroszewski, który zabłysnął na emigracji jako jeden z najpoważniej myślących publicystów. "IKC" był oczywiście pismem o poziomie nierównym — jakby pomieszaniem "Neues Wiener Journal" i starej "Neue Freie Presse" — ale miał tę wielką zaletę, że dawał swoim współpracownikom pełną swobodę wypowiedzenia i nie zmuszał ich do obniżania poziomu. Wiem o tym dobrze z własnego doświadczenia, albowiem w czasie mojej pięcioletniej służby zagranicznej dla tegoż koncernu — naprzód w Berlinie, a potem w Londynie — nigdy nie krępowano mnie w wypowiedzaniu mego sądu ani nie naklaniano do pisanja "popularnych" artykułów. Pochlebiam sobie, że moja praktyka korespondenta zagranicznego koncernu "I.K.C." nie zaszkodziła mi w zamieszczaniu od lat artykułów, zarówno pod własnym nazwiskiem jak i pod pseudonimem, na łamach czołowych czasopism angielskich.

Przez kilka lat, będąc w redakcji koncernu "IKC" w Krakowie, pomagałem prof. Mieczysławowi Dąbrowskiemu w redagowaniu dodatku literacko-naukowego "IKC", który to dodatek p. Sambor traktuje już pobłażliwiej, mówiąc, że można tam było nieraz "przeczytać coś, czego by się nie powstydzili «Wiadomości Literackie»". Otóż chciałbym wytłumaczyć p. Samborowi, że dodatek literacko-naukowy "IKC" miał

przede wszystkim zadanie popularyzacyjne i że w tym dziele pomagali nam wszyscy prawie najwybitniejsi uczeni polscy. W tej dziedzinie dodatek literacko-naukowy "IKC" miał mało sobie równych w prasie europejskiej, zważywszy specjalne warunki naszego czytelnictwa, których nie sposób porównać z czytelnictwem Anglii, Szwajcarii, Francji czy Skandynawii. Chciałbym nieraz móc w bogatej Anglii przeczytać przy niedzieli dodatek tego typu — niestety poza "Observerem" i "Sunday Timesem" obraz niedzielnej prasy stolicy Anglii jest ponury, a codziennej nie lepszy (z chlubnymi wyjątkami "Timesa" i "Manchester Guardian" i kilku rzetelnych dzienników prowincjonalnych jak "Glasgow Herald", "Scotsman", "Yorkshire Post"). Zaletą dodatku lit.-nauk. "IKC" było to, że stał on otworem dla wszystkich, nie forytował żadnych talentów, że dawał okazję do wystąpienia młodym i nieznanym pisarzom, że nie tworzył klik ani kapliczek. Prof. Mieczysław Dąbrowski z moją skromną pomocą stosował zasadę "domu otwartego" i uważał, że każdy talent, znany czy nieznan, godzien jest poparcia. Ze współpracy z prof. M. Dąbrowskim nauczyłem się wiele w dziedzinie bezstronnego traktowania talentów, co znowu, jak sądzę, nie jest cechą wybitnie polską, albowiem momenty personalne przesłaniają zbyt często w ocenie Polaków istotne walory danych osób. Jestem do zgonnie wdzięczny prof. M. Dąbrowskiemu za tę cenną lekcję, podobnie jak Jego bratu, Marianowi Dąbrowskiemu za jego zawsze życzliwy stosunek do wszelkiej inicjatywy — co pozwoliło mu stworzyć własnym wysiłkiem największy warsztat dziennikarski w Polsce.

Proszę wybaczyć, że zająłem tyle miejsca na łamach Pańskiego świetnego pisma. Uważałem jednak, że obowiązkiem moim, jako dawnego współpracownika "IKC", było skorygowanie krzywdzącego sądu o tym piśmie i że odezwanie się p. Sambora ma szersze znaczenie i sens — zdradza bowiem cechę często, niestety, występującą w polskich dyskusjach, cechę, której serdecznie nie znoszę: lekkomyślnej niesprawiedliwości.

Londyn, 25.VI.1952.

Zbigniew GRABOWSKI.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dosyć licznie publikowane na łamach prasy polskiej — ostatnio w nr 6/56 "Kultury" — odgłosy sprawy p. Wyrwy przemilczają, jakby wstydliwie, zasadnicze zagadnienie. Istnieją bowiem dwa okresy tej sprawy. Pierwszy, po przyjeździe p. Wyrwy do Stanów, a przed wydaniem ustawy o mobilizowaniu cudzoziemców, drugi po wydaniu tej ustawy.

Moim zdaniem ocena postępowania i dyskusja opierać się musi na tych zasadniczych podstawach. O ile pierwsza akcja była słuszną a dopuszczalnym protestem, o tyle drugiej, już po uchwaleniu ustawy, brak moralnej podstawy. Również i gościa obowiązuje szacunek dla prawodawstwa kraju w którym przebywa.

Chodzi mi tu o taktyczne podejście do zagadnienia, którego niezrozumienie słusznie podkreśla "Londyńczyk". Zdaje mi się, że jakiegokolwiek zaskarżenie przed sądami St. Zjednoczonych czy forum międzynarodowym, choćby z góry skazane na niepowodzenie, propagandowo i zasadniczo miałyby lepszy skutek.

Łączę wyrazy szacunku.

Aleksander WASUNG.
Genewa.

Teatr «NASZA REDUTA»

W CHICAGO

pod kierownictwem **Lucjana Krzemińskiego**,
b. artysty Teatru Narodowego w Warszawie

ogłasza z dn. 1 lipca 1952 r. **KONKURS** na napisanie
s z t u k i d r a m a t y c z n e j.

WARUNKI: a) Konkurs obejmuje wszystkie kraje, gdzie tylko wiadomość o jego ogłoszeniu dotrze;

b) Termin nadsyłania sztuk do dn. 31 grudnia 1952 r. Obowiązują data stempla pocztowego. Wymagany maszynopis z oznaczeniem godła autora, do czego należy dołączyć zaklejoną kopertę z jego nazwiskiem i adresem;

c) Temat dowolny — język polski — piersem czy prozą — dramat, komedia czy farsa. Dezyderat: 3 akty, jedna dekoracja i niewielka obsada. Sugestia dla autorów z amerykańskiego kontynentu: na temat współżycia starej i nowej emigracji;

d) Nagrody: 1-sza dol. 200, 2-ga dol. 100 i 3-cia dol. 50. W razie nieprzyznania pierwszej nagrody, suma dol. 200 zostanie przeznaczona na następny konkurs;

e) Teatr "Nasza Reduta" ma prawo wystawienia nagrodzonych sztuk, pozostałe zaś prawa czy to wydania drukiem czy też grania przez inne teatry pozostają przy autorze.

Skład osobowy "jury": pp. Karol Piątkiewicz, Emil M. Pankiewicz, Jerzy Przyłuski, Leszek Chobot, dr Witold Fang, dr Włodzisław J. Wagner i ks. dr Stanisław F. Lisewski.

Sekretariat konkursu: **Lucjan Krzemiński**.

Adres: Teatr "Nasza Reduta", **L. Krzemiński, 1390 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. USA.**

U w a g a : Dla uniknięcia możliwych nieporozumień sekretariat konkursu zaznacza, że przytoczony w warunkach dezyderat co do skromnych ram sztuki lub sugestia co do tematu — nie powinny absolutnie krępować autorów, nagrody bowiem będą przyznane bez względu na zastosowanie się lub nie do życzeń Teatru "Nasza Reduta", wywołanych miejscowymi warunkami jego pracy.

Z dniem 1 sierpnia br. zostało utworzone w Londynie **BIURO REDAKCJI "KULTURY"**, którego kierownikiem został dotychczasowy korespondent londyński, p. **Juliusz Mieroszewski**.

Biuro będzie załatwiać na terenie Wielkiej Brytanii wszystkie sprawy redakcyjne pisma.

Adres: **Juliusz Mieroszewski, 21, Fentiman Road, London SW 8. Tel. REL. 41-33.**

Korespondent berliński: **Jerzy Prądyński. Adres: Hanauerstrasse 80. Berlin-Wilmersdorf. Telefon 83 42 23.**

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”, 12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e).
Directeur-gérant: M^{me} **Christiane Karasiewicz**.

Dépot légal: 3^e trimestre 1952.



KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: **1, Avenue Cornelle, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).**
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-rocza	Roczna
FRANCJA: Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV ^e . W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	150 fr.	900 fr.	1800 fr.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm	250 lir	1500 lir	2500 lir
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSC Schönau, U.S. Zone St. Mikiciuk, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	3 kr.	15 kor.	28 kor.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	2,50 DM	15 DM	25 DM
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 107 Rose Park Dr. Toronto/Ont.; Stan. L. Opolski, 880 Barton St. E. Hamilton/Ont. Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcell, Notre Dame de Grâce, Montreal/Que. Stan. L. Le-mański, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg/Man. Stanisław Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.	10 peso	60 peso	120 peso
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 808 Wager Str., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Ple-szczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyrowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.; S. Dziarczykowski, 3216 W. — 15 St., Los Angeles 19, California. S. Sokołowski, 4856 E. Stiles St. Philadelphia 37, Pa.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest. Nr konta pocztowego 7315-20.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	30 bfr.	145 bfr.	260 bfr.
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo	5 sh. (a.)	£A 1.7.6.	£A2.12.6.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lau-sanne, Genève	15 cruz	90 cruz	150 cruz
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin	0,75 cent.	4 dol.	6 dol.
	0,75 cent.	4 dol.	6 dol.

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: **Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Cornelle, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).**

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; ½ strony 6.000 fr. fr.

Zeszyty Krajowe «Kultury»

1. **Ramy życia w Polsce. Cz. I.**
CENA 750 fr
2. **Ramy życia w Polsce. Cz. II.**
CENA 800 fr (w druku)
(w przygotowaniu)
3. **Sowietyzacja kultury w Polsce.**
4. **Aparat wytwórczy i stosunki demograficzne.**

Nowości wydawnicze

M. SAMUEL BOGUMIŁ LINDE

SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO

Wydanie trzecie fotooffsetowe. — 6 tomów.

WŁ. TATARKIEWICZ

O SZCZĘŚCIU

WŁADYSŁAW POCIECHA

KRÓLOWA BONA. — CZASY I LUDZIE ODRODZENIA

2 tomy.

JAN MUSZKOWSKI

ŻYCIE KSIĄŻKI

JÓZEF W. REISS

MAŁA HISTORIA MUZYKI

FEDERICO GARCIA LORCA

WIERSZE

poleca

«LIBELLA»

SKŁADNICA

KSIAŻEK POLSKICH

12, rue St. Louis en L'Île — PARIS IV.

20

Cena 150 frs.